

C.S. LEWIS

KOŃ I JEGO CHŁOPIEC

Przełożył Andrzej Polkowski

DLA DAVIDA I DOUGLASA GRESHAMOW

ROZDZIAŁ 1

JAK SZASTA WYRUSZYŁ W PODRÓŻ

BĘDZIE TO OPOWIEŚĆ O PRZYGODACH, jakie wydarzyły się w Narnii, Kalormenie oraz krajach leżących pomiędzy nimi w Złotym Wieku, gdy Wielkim Królem Narnii był Piotr, a wraz z nim panowali sprawiedliwie jego brat i dwie siostry.

W owych to czasach na dalekim południu Kalormenu, nad małą zatoką oceanu żył sobie pewien ubogi rybak Arszisz, a z nim chłopiec, który nazywał go ojcem. Chłopiec miał na imię Szasta. Przez większość dni w roku Arszisz wypływał o świcie w morze, aby nałowić ryb, a po południu zaprzęgał osiołka do wózka naładowanego rybami i jechał na targ do położonej o milę na południe wioski. Jeśli udało mu się sprzedać ryby z zyskiem, wracał do domu w dość dobrym humorze, lecz jeśli zysk był lichej lub trochę ryb zostało, wyładowywał swą złość na Szaście, z byle powodu sprawiając mu tęgie lanie. O powód nie było trudno, bo Szasta miał wiele zajęć: naprawiał i płukał sieci, gotował obiad i sprzątał domek, w którym mieszkali.

To wszystko, co leżało na południe od ich chatki, nie budziło w chłopcu większego zainteresowania. Raz czy dwa był z Arsziszem w wiosce i już wiedział, że nie ma tam nic ciekawego. Spotkał tam jedynie brodatych, bardzo podobnych do jego ojca mężczyzn, noszących turbany, długie, brudne szaty i drewniane chodaki z wywiniętymi do góry czubkami, którzy rozmawiali ze sobą bardzo powoli o bardzo nudnych sprawach. Ciekawiło go natomiast wszystko, co leżało na północy, ponieważ nikt nie wędrował w tamtą stronę, a i jemu nigdy na to nie pozwalano. Kiedy siedział samotnie przed domkiem, naprawiając sieci, często patrzył z tęsknotą na północ. Nic tam zresztą nie było widać prócz porośniętego trawą zbocza płaskiego wzgórza i nieba, na którego tle fruwało niekiedy kilka ptaków.

Czasami, kiedy Arszisz był w domu, Szasta pytał: „O mój ojcze, co jest za tym wzgórzem?” Jeśli rybak był w złym nastroju, dawał mu w ucho, radząc, by zajął się swoją robotą. Jeśli miał lepszy humor, odpowiadał: „O mój synu, nie pozwalaj, by w twojej głowie leżały się takie jałowe myśli. Jeden z poetów powiedział bowiem: «Przykładanie się do swojego zajęcia jest korzeniem wszelkiego powodzenia, a ci, którzy zadają pytania nie mające z tym nic wspólnego, kierują okręt głupoty ku skale wielkiej biedy»„.

Szasta był przekonany, że za tym wzgórzem musi się kryć jakaś cudowna tajemnica, której ojciec nie chce mu zdradzić. W rzeczywistości rybak sam nie wiedział, co tam jest. I wcale go to nie obchodziło. Był po prostu bardzo praktycznie

myślącym człowiekiem.

Pewnego dnia nadjechał z południa przybysz zupełnie niepodobny do ludzi, których Szasta dotychczas spotykał. Przyjechał na wielkim, nakrapianym koniu z długą grzywą. Uzda i strzemiona wykładane były srebrem, a jeździec miał na sobie żelazną kolczugę i spiczasty hełm owinięty jedwabnym turbanem. U jego boku wisiała krzywa szabla w bogato zdobionej pochwie, na plecach połyskiwała tarcza nabijana ćwiekami, w prawej ręce trzymał lancę. Miał ciemną twarz, co nie było dla Szasty zaskoczeniem, bo wszyscy mieszkańcy Kalormenu są ciemnoskórzy. Zdumiała go natomiast broda mężczyzny, ufarbowana na purpurowo, ufryzowana i namaszczona pachnącym olejkiem. Arszisz poznał od razu po złotym pierścieniu, że był to jeden z Tarkaanów, kalormeńskich wielmożów. Padł przed nim na kolana, zamiatając brodą ziemię. Chłopcu dał znak, by uczynił to samo.

Przybysz zażądał noclegu, czego oczywiście rybak nie śmiał mu odmówić. Postawił na stole wszystko, co miał najlepszego (i nie sądzę, by gość się nad tym zastanawiał), a Szasta dostał kawałek chleba i musiał się wynosić z domu. Tak było zawsze, gdy rybak miał gości; chłopiec spał wówczas razem z osiołkiem na sianie, w małej, pokrytej strzechą stajence. Było jednak o wiele za wcześnie, aby iść spać, i Szasta, który nie miał dotąd okazji, by dowiedzieć się, że bardzo nieładnie jest podsłuchiwać, przyłożył ucho do szpary w drewnianej ścianie domku, aby posłuchać, o czym rozmawiają dorośli. I oto, co usłyszał:

- A teraz, mój gospodarzu - rozległ się głos Tarkaana - wyjawię ci swoje życzenie: mam ochotę kupić twojego chłopca.

- O mój panie! - odpowiedział rybak (Szasta poznał po przymilnym, służalczym tonie jego głosu, że w tej chwili chciwość zmieniła mu twarz) - jakąż cenę mógłby zaproponować twój sługa, choć jest tylko biednym rybakim, by sprzedać w niewolę swoje jedyne dziecko, krew ze swojej krwi? Czyż jeden z poetów nie powiedział: „Naturalne więzy są silniejsze niż głód, a potomstwo bardziej drogocenne niż rubiny”?

- I miał skądinąd rację - odparł sucho gość. - Ale inny poeta powiedział coś w tym rodzaju: „Ten, kto próbuje oszukać sądzących, już obnaża plecy przed chłostą”. Jest całkowicie oczywiste, że chłopiec wcale nie jest twoim synem, bo twoje policzki są tak ciemne jak moje, a ten jasnowłosy chłopak jest tak biały jak ci przekłęci, choć piękni barbarzyńcy, którzy mieszkają na dalekiej północy.

- Ach, słusznie powiedziano - odezwał się rybak - że przed mieczem można się zasłonić tarczą, lecz na nic się zda obrona przed spojrzeniem oka mądrości! Wiedz

zatem, o mój potężny gościu, że z powodu wielkiego ubóstwa nigdy nie poślubiłem kobiety i nie mam dzieci. Lecz w tym samym roku, w którym Tisrok (oby żył wiecznie!) rozpoczął swe dostojne i dobroczynne panowanie, pewnej nocy, gdy księżyc był w pełni, spodobało się bogom spędzić mi sen z powiek. Powstałem więc ze swego posłania w tej nędznej norze i poszedłem na brzeg, by odświeżyć się widokiem morza i księżycą oraz by odetchnąć chłodnym powietrzem. I nagle usłyszałem jakby plusk wioseł dochodzący z oddali, a potem, w rzeczy samej, słaby krzyk. Niebawem fala przypływu wyrzuciła na brzeg łódkę, w której znalazłem straszliwie wychudzonego mężczyznę, pusty bukłak i niemowlę, wciąż jeszcze żywe. Mężczyzna nie dawał już znaków życia, choć musiał wyzionąć ducha zaledwie kilka chwil wcześniej, bo ciało było jeszcze ciepłe. „Nie ulega wątpliwości - pomyślałem sobie - że ci nieszczęśnicy uratowali się z katastrofy, która spotkała jakiś wielki statek. Lecz niezbadane i chwalebne wyroki bogów chciały, by ów człowiek zagłodził się, ratując dziecko, i wyzionął ducha, widząc już upragniony ład.” Tak więc, pamiętając, że bogowie zawsze wynagradzają tych, którzy wspomagają będących w potrzebie, i napełniony wzruszeniem (jako że twój sługa jest człowiekiem czułego serca)...

- Zachowaj dla siebie te wszystkie puste słowa

- przerwał mu Tarkaan. - Powiedziałeś dość, bym wiedział, że przygarnąłeś to dziecko, a kiedy podrosło, swą pracą dziesięciokrotnie zwraca ci chleb, jaki mu dajesz. A teraz podaj mi swą cenę, bo zmęczyło mnie już twoje gadulstwo.

- Sam raczyłeś zauważyć, panie - rzekł Arszisz - że praca tego chłopca ma dla mnie nieoszacowaną wartość. Musimy to wziąć pod uwagę, ustalając cenę. Jeśli go sprzedam, z całą pewnością będę musiał kupić lub wynająć kogoś innego do pomocy.

- Dam ci za niego piętnaście krescentów - powiedział Tarkaan.

- Piętnaście! - zawołał Arszisz głosem, który przypominał coś pośredniego między skomleniem a wrzaskiem. - Piętnaście krescentów za podporę mego starego wieku i radość moich oczu! Jesteś Tarkaanem, ale nawet ty nie powinienesz szydzić z siwej brody. Siedemdziesiąt - oto moja cena.

W tym momencie Szasta wyprostował się i odszedł na palcach od domku. Usłyszał już wszystko, co warto było usłyszeć. Nieraz był świadkiem targowania się ludzi z wioski i wiedział, na czym to polega. Nie miał wątpliwości, że Arszisz sprzeda go w końcu za sumę o wiele wyższą od piętnastu krescentów i o wiele niższą od siedemdziesięciu, choć upłynie wiele czasu, zanim on i Tarkaan dojdą do porozumienia.

Nie powinniście sobie wyobrażać, że Szasta czuł się tak jak wy i ja, gdybyśmy się nagle dowiedzieli, że nasi rodzice właśnie targują się z kimś o cenę, by nas sprzedać w niewolę. Po pierwsze, jego dotychczasowe życie było niewiele lepsze od życia niewolnika, a to, co wiedział, pozwalało mu mieć nadzieję, że ów możny pan będzie go traktować lepiej niż Arszysz. Po drugie, to, co usłyszał o swoim pochodzeniu, napełniło go z jednej strony podnieceniem, a z drugiej - ulgą. Nieraz martwiło go, że - choć starał się, jak mógł - nie potrafił pokochać starego rybaka, a wiedział, że syn powinien kochać ojca. Teraz okazało się, że w ogóle nie był z Arszyszem spokrewniony. Ciężar spadł mu z serca. „Przecież mogę być nie wiadomo kim! - pomyślał. - Mogę być synem jakiegoś Tarkaana albo samego Tisroka, albo nawet synem jakiegoś boga!”

Tak rozmyślał, stojąc na łące przed domkiem. Zmierzch szybko zapadał i już pojawiło się kilka gwiazd, lecz na zachodzie wciąż czerwieniały smugi wieczornej zorzy. Nieopodal pasł się spokojnie koń przybysza, przywiązany do żelaznego kółka w ścianie stajni. Szasta podszedł do niego i poklepał po szyi. Koń nie zwrócił na to uwagi i dalej szczypał trawę.

Potem inna myśl przysła Szaście do głowy.

- Ciekaw jestem, co to za człowiek, ten Tarkaan - powiedział na głos do siebie. - Byłoby wspaniale, gdyby się okazał miły i szlachetny. Niektórzy niewolnicy w domach wielkich panów prawie nic nie robią. Noszą piękne stroje i codziennie jedzą mięso.

Może weźmie mnie na jakąś wojnę, a ja uratuję mu życie w bitwie, a potem on mnie wyzwoli i uczyni swoim synem, i da mi pałac, i rydwan, i herb. No tak, ale może też być strasznym, okrutnym człowiekiem. Może posłać mnie w łańcuchach do pracy w polu. Dobrze byłoby wiedzieć, co mnie czeka. Ale kto mi to powie? Założę się, że ten koń wie dużo - gdyby tylko potrafił mówić!

Koń podniósł łeb. Szasta pogłaskał go po gładkim jak jedwab nosie i powiedział:

- Och, jak bym chciał, żebyś potrafił mówić, mój stary.

I wówczas przez chwilę myślał, że śni, ponieważ zupełnie wyraźnie, choć bardzo cichym głosem, koń powiedział:

- Ależ potrafię.

Szasta wpatrzył się w wielkie oczy konia, a jego własne zrobiły się prawie tak samo wielkie.

- Ale w jaki sposób zdołałeś nauczyć się mówić?!

- zapytał ze zdumieniem.

- Sza! Nie tak głośno - odpowiedział Koń.

- Tam, skąd pochodzę, wszystkie zwierzęta potrafią mówić.

- Co to za kraj?

- Narnia - odrzekł Koń. - Szczęśliwa Narnia. Narnia porośniętych wrzosem wzgórz i tymiankowych dolin, Narnia wielu rzek, wilgotnych górskich polan, omszałych jaskiń i przepastnych puszczy, rozbrzmiewających odgłosem młotów i siekier karłów. Och, słodkie powietrze Narnii! Lepsza jest jedna godzina życia w Narnii niż tysiąc lat w Kalormenie.

I zarżał bardzo cicho, a zabrzmiało to jak westchnienie.

- Jak się tu znalazłeś? - zapytał Szasta.

- Porwano mnie - odrzekł Koń - albo skradziono, albo uprowadzono, jak wolisz. Byłem wtedy małym źrebakiem. Matka ostrzegала mnie, żebym się nie zapędzał na południowe zbocza, do Archenlandii i dalej, ale nie zwracałem na to uwagi. I... na grzywę Lwa!... zapłaciłem za swoją głupotę. Od tyłu już lat jestem niewolnikiem ludzi i muszę ukrywać swoją prawdziwą naturę, udając, że jestem niemy i tępy jak ICH konie.

- Dlaczego im nie powiedziałaś, kim naprawdę jesteś?

- Bo nie jestem skończonym głupcem. Gdyby się tylko dowiedzieli, że potrafię mówić, pokazywaliby mnie na jarmarkach i strzegli o wiele bardziej niż teraz. Mógłbym się pożegnać z myślą o ucieczce.

- Ale dlaczego... - zaczął Szasta, lecz Koń mu przerwał:

- Posłuchaj. Nie powinniśmy teraz marnować czasu na jałowe dysputy. Chciałeś się dowiedzieć, jaki jest mój pan, Tarkaan Anradin. No cóż, muszę ci powiedzieć, że to bardzo zły człowiek. Ze mną obchodzi się jeszcze nie najgorzej, bo koń bojowy zbyt wiele kosztuje, aby go można było źle traktować. Ale na twoim miejscu wolałbym paść trupem tej nocy, niż jutro zostać niewolnikiem w jego domu.

- A więc ucieknę - rzekł Szasta bardzo blady.

- Tak, musisz to zrobić - zgodził się Koń. - Dlaczego jednak nie miałbyś uciec ze mną?

- Ty też chcesz uciekać?

- Tak, jeśli ty uciekniesz ze mną. To szansa dla mnie i dla ciebie. Widzisz, gdybym uciekł sam, bez jeźdźca, każdy, kto mnie zobaczy, powie: „O, jakiś zabłąkany koń” i złapie mnie tak szybko, jak tylko zdoła. Z jeźdźcem na grzbiecie mam jakąś szansę. W ten sposób ty możesz pomóc mnie. Z drugiej strony na tych głupich dwu

nogach (cóż za absurdalne nogi mają ludzie!) nie zdołasz oddalić się tak szybko, aby cię nie schwymano. A na moim grzbiecie możesz wyprzedzić najszybszego konia w tym kraju. I tutaj ja mogę pomóc tobie. Mam nadzieję, że potrafisz jeździć konno?

- O tak, potrafię - odparł Szasta. - W każdym razie jeździłem na osie.

- Na CZYM? - zapytał Koń z najwyższą pogardą. (W każdym razie o to mu chodziło, bo w rzeczywistości było to coś w rodzaju rżenia „Na-a-a-a-a-y-y-y-m?” Mówiące konie zawsze mają bardziej końską wymowę, gdy ktoś je zdenerwuje.) - Innymi słowy - ciągnął dalej - NIE potrafisz jeździć konno. To poważna wada. Będę cię musiał uczyć w trakcie ucieczki. Jeśli nie umiesz jeździć konno, to czy potrafisz przynajmniej upadać?

- Chyba każdy potrafi upadać - zdziwił się Szasta.

- Chodzi mi o to, czy potrafisz upaść i podnieść się bez krzyku i płaczu, a potem dosiąść konia ponownie i znowu spaść, nie bojąc się tego spadania?

- S-s-s-próbuję...

- Biedne stworzenie - powiedział Koń łagodniejszym tonem. - Zapomniałem, że jesteś dopiero źrebakiem. Zrobimy z ciebie wspaniałego jeźdźcę. No cóż, nie możemy ruszyć, dopóki ci dwaj nie zasną, mamy więc trochę czasu, aby wszystko dobrze zaplanować. Mój Tarkaan udaje się na północ, do wielkiego miasta. Jedzie na dwór Tisroka do Taszbaanu...

- Ej! - przerwał mu Szasta z przerażeniem. - Powinieneś chyba dodać „oby żył wiecznie”?

- A niby dlaczego? Jestem wolnym Narnijczykiem. Dlaczegoż bym miał mówić językiem niewolników i głupców? Wcale nie chcę, aby żył wiecznie, i dobrze wiem, że nie będzie żył wiecznie, czy tego chcę, czy nie. Jak zdążyłem zauważyć, ty też pochodzisz z wolnej północy. Darujmy sobie ten południowy żargon! Ale wróćmy do naszych planów. Jak powiedziałem, ten człowiek jest w drodze na północ, do Taszbaanu.

- Czy to oznacza, że powinniśmy uciekać na południe?

- Wcale nie - rzekł Koń. - Pamiętaj, że dla niego jestem tylko niemym i tępym koniem, jak inne. A gdybym naprawdę taki był, to co bym zrobił? Natychmiast po zerwaniu postronka pobiegłbym do domu, do stajni. Za dwa dni byłbym z powrotem w jego pałacu na południu Kalormenu. I właśnie tam będzie mnie szukał. Nigdy mu nie wpadnie do głowy, że mogłem sam uciec na północ. Co najwyżej pomyśli, że ukradł mnie ktoś, kto widział nas w ostatniej wiosce i śledził aż tutaj.

- Hurra! - zawołał Szasta. - A więc jedziemy na północ. Tęskniłem za tym przez całe życie.

- To oczywiste. Wzywa cię tam twoja krew. Dałbym głowę, że jesteś czystej krwi Narnijczykiem. Ale nie tak głośno. Chyba już zasnęli.

- Może będzie lepiej, jeśli podkradnę się tam i sprawdzę? - zapytał szeptem chłopiec.

- To dobry pomysł. Ale uważaj, żeby cię nie nakryli.

Było już o wiele ciemniej i zupełnie cicho, jeśli nie liczyć miarowego szumu fal przy brzegu, ale tego Szasta nie słyszał, bo dźwięk ten towarzyszył mu w dzień i w nocy, odkąd tylko pamiętał. W domku było ciemno. Nadsluchiwał chwilę pod drzwiami, ale wewnątrz panowała cisza. Dopiero kiedy zbliżył się do jedyne okienka, usłyszał znajomy, świszczący dźwięk: chrapanie starego rybaka. Dziwnie było pomyśleć, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie usłyszy już tego dźwięku nigdy. Wstrzymując oddech i czując lekkie wyrzuty sumienia (ale to uczucie ginęło w przepelniającym go szczęściu), Szasta oddalił się na palcach od okienka i podszedł do stajni. Wymacał ręką klucz tam, gdzie zawsze był schowany, otworzył drzwi i znalazł siodło i uprząż. Potem pocałował osła w nos.

- Przykro mi, że nie możemy zabrać i CIEBIE - powiedział.

- Jesteś wreszcie - rzekł Koń, gdy chłopiec wrócił. - Zaczynałem się już niepokoić.

- Poszedłem do stajni po twoje rzeczy. Musisz mi teraz powiedzieć, jak się to wszystko zakłada.

Przez następne kilka minut Szasta miał pełne ręce roboty. Starał się przy tym unikać hałasu, a Koń pouczał go szeptem: „Zaciągnij trochę mocniej popręg” albo: „Będziesz musiał porządnie skrócić te strzemiona”, albo: „Tam, niżej, znajdziesz sprzączkę”. Kiedy wszystko było już na swoim miejscu, powiedział:

- Musimy zachować cugle, tak żeby wszystko wyglądało jak powinno, ale nie będziesz ich używał. Przywiąż je do łęku siodła, bardzo luźno, żebyś mógł robić z głową co zechce. I pamiętaj: masz ich nie ruszać!

- To po co w ogóle są? - zapytał Szasta.

- Normalnie po to, aby mną kierować. Ale ponieważ mam zamiar sam się tym zająć, trzymaj ręce przy sobie. I jeszcze jedno: wołałbym, żebyś nie wpijał się kurczowo w moją grzywę.

- Jeżeli nie mogę się trzymać ani cugli, ani twojej grzywy, to może byś mi

wyjaśnił, CZEGO mam się trzymać?

- Trzymaj się mnie kolanami - odrzekł Koń. - To jest sekret dobrej jazdy na koniu. Ściśnij mnie kolanami tak mocno, jak potrafisz, siedź prosto, jakbyś kij połknął, łokcie przyciśnięte do boków. Aha, przy okazji, czy możesz mi powiedzieć, co zrobiłeś z ostrogami?

- Założyłem je na pięty, ma się rozumieć - odpowiedział Szasta. - Nie bój się, wiem, do czego służą.

- To bądź tak dobry i zdejmij je. Włóż do torby przy siodle. Może uda się nam je sprzedać w Taszbaanie. Jesteś gotów? A więc możesz na mnie włożyć.

- Och! Jesteś strasznie wysoki - wysapał chłopiec po pierwszej nieudanej próbie.

- Jestem po prostu koniem - padła odpowiedź. - Chociaż, sądząc po sposobie, w jaki próbujesz mnie dosiąść, można by pomyśleć, że jestem stogiem siana. O tak, teraz lepiej. Siedź prosto i pamiętaj, co ci mówiłem o kolanach. To zabawne pomyśleć, że nieraz prowadziłem szarżę konnicy i zwyciężałem w gonitwach, a teraz niosę w siodle taki worek kartofli. No, ale w drogę! - I zachichotał, bynajmniej nie złośliwie.

Koń rozpoczął nocną podróż bardzo rozważnie. Najpierw powędrował na południe, do małej rzeczki wpadającej do morza, i upewnił się, czy zostawił na mokrym piasku wyraźne ślady podków, wskazujące, że uciekł na południe. Potem wszedł do wody i brodząc udał się w górę rzeczki, aż znaleźli się kilkaset metrów dalej w głąb łądu niż chatka rybaka. Potem zaś, wciąż idąc stępą, skierował się na północ i wkrótce chatka rybaka, drzewa, stajnia osiołka i ujście rzeczki - wszystko, co Szasta dotąd znał - znikły w szarej ciemności letniej nocy.

Wspięli się po łagodnym stoku na krawędź wzniesienia - tę krawędź, która zawsze była dla Szasty granicą znanego mu świata. W ciemności chłopiec nie widział wyraźnie, co było przed nimi, wiedział tylko, że jest to otwarta, trawiasta przestrzeń, wydająca się nie mieć końca: dzika, pusta i wolna.

- Hej! - zawołał Koń. - Czyż to nie wymarzona okolica do galopu, co?

- Och, nie! - odpowiedział szybko Szasta. - Jeszcze nie! Nie wiem, jak... Wybacz mi, Koniu, nie znam twojego imienia...

- Brihy-hinny-brinny-huhy-haaah - odpowiedział Koń.

- Nigdy się tego nie nauczę - westchnął Szasta. - Czy mogę cię nazywać Bri?

- No cóż, jeśli to wszystko, na co cię stać, to niech będzie. A jak mam nazywać ciebie?

- Mam na imię Szasta.

- Hm... dopiero teraz mamy do czynienia z imieniem, które trudno wymówić. Ale wróćmy do sprawy galopu. To jest naprawdę o wiele łatwiejsze niż trucht, bo nie musisz się podnosić i opadać. Ściśnij mnie mocno kolanami, a wzrok utkwij przed sobą. Nie patrz na ziemię. Jeśli będzie ci się zdawało, że za chwilę spadniesz, po prostu ściśnij mocniej kolana i bardziej się wyprostuj. Jesteś gotów? A więc w drogę! Narnia i Północ!

ROZDZIAŁ 2

PRZYGODA W DRODZE

Zbliżało się już południe następnego dnia, gdy Szastę obudziło coś ciepłego i miękkiego, co głaskało go po twarzy. Otworzył oczy i tuż nad sobą zobaczył długi łeb Konia. Przypomniawszy sobie niesamowite wydarzenia ostatniej nocy i usiadł. Ale jak tylko to zrobił, jęknął.

- Och, Bri! - wystękał. - Wszystko mnie boli. Wszędzie! Nie mogę się ruszyć.

- Dzień dobry, mój mały - powiedział Bri. - Nie wątpię, że możesz być trochę obolały. Ale to nie z powodu upadków. Nie było ich więcej niż tuzin lub coś koło tego, za to wszędzie była cudowna, miękka, sprężysta darni, na którą tak pysznie się spada. Tylko jeden wydawał się dość przykry, ale na szczęście wpadłeś w krzaki janowca. Nie, to nie upadki, to sama jazda bywa nieco ciężka dla początkującego. Co byś powiedział o śniadaniu? Ja już swoje zjadłem.

- Och, niech licha porwie śniadanie! Mam dosyć wszystkiego. Mówię ci, że nie mogę się ruszyć.

Ale Koń zaczął go trącać nosem, a potem delikatnie popychać kopytem i w końcu chłopiec musiał wstać. Rozejrzał się dookoła, by zobaczyć, dokąd zawędrowali. Za nimi rósł niewielki zagajnik. Przed nimi rozciągała się zielona, upstrzona białymi kwiatkami równina, lekko opadająca ku krawędzi skalnego urwiska. A za urwiskiem, bardzo daleko i bardzo nisko, tak że szum fal ledwo do nich docierał, było morze. Szasta nigdy nie widział morza z takiej wysokości i nigdy nie podejrzewał, że jest tak wielkie i tak bajecznie kolorowe. Na lewo i na prawo biegło wybrzeże, przylądek za przylądkiem: miejscami białe grzywy bałwanów rozbijających się o skały - tak daleko, że nie słychać było ich łoskotu. W górze szybowały mewy, a tuż nad ziemią powietrze drgało; był upalny dzień. Najbardziej jednak uderzyła Szastę jakaś zmiana w powietrzu - czegoś mu brakowało. Dopiero po dłuższym czasie zdał sobie sprawę czego: brakowało zapachu ryb, tego zapachu, który towarzyszył mu dotąd wszędzie: w domku, nad brzegiem morza, gdy naprawiał sieci, w stajni, gdzie stał wózek - zawsze i wszędzie. Tutaj zaś powietrze było cudownie czyste i orzeźwiające. Całe jego dotychczasowe życie wydało mu się tak odległe, że na chwilę zapomniał o siniakach i zeszywniałych mięśniach.

- Słuchaj, Bri - powiedział - zdaje się, że mówiłeś coś o śniadaniu?

- Nie mylisz się - odparł Koń. - Chyba znajdziesz coś dla siebie w torbach przy siodle. Są tam, na drzewie, gdzie je powiesiłeś w nocy... a raczej o świcie.

Zbadali zawartość toreb i znaleźli sporo pożytecznych rzeczy: pasztet w cieście, tylko trochę zestarzały, bryłę suszonych fig i kawał zielonego sera, małą utelkę wina i nieco pieniędzy, około czterdziestu krescentów, co było sumą, jakiej Szasta nigdy dotąd nie widział.

Szasta usiadł pod drzewem - ostrożnie i wciąż postępując z bólu - i zabrał się do pasztetu, a Bri do świeżej trawy, by dotrzymać mu towarzystwa.

- Czy użycie tych pieniędzy nie będzie kradzieżą? - zapytał po chwili Szasta.

- Hm... - mruknął Koń, podniósłszy łeb znad trawy - nie zastanawiałem się nad tym. Wolny koń, i do tego mówiący koń, nie powinien kraść, to jasne. Ale myślę, że wszystko jest w porządku. Właściwie jesteśmy jeńcami uciekającymi z kraju wroga. Te pieniądze są naszym wojennym łupem. A zresztą, jak sobie bez nich wyobrażasz zdobycie dla siebie jakiegoś jedzenia? Przypuszczam, że tak jak wszyscy ludzie nie jadasz normalnego pożywienia, to znaczy trawy i owsa?

- No nie, nie jadam. - A próbowałeś?

- Tak, próbowałem. Niestety, nie mogę tego przełknąć. Gdybyś był mną, też byś nie mógł.

- Dziwne z was stworzenia - mruknął Bri. Kiedy Szasta skończył śniadanie (a było to najlepsze śniadanie, jakie jadł w życiu), Bri powiedział:

- Chyba się trochę wytarzam w trawie, zanim mi nałożysz siodło. - I natychmiast przewrócił się na grzbiet i zaczął tarzać w miękkiej darni, wymachując wszystkimi czterema nogami w powietrzu i powtarzając:

- O tak! To jest to. To bardzo dobre. Ty też powinieneś spróbować, Szasto. Nic tak nie odświeża.

Ale Szasta wybuchnął śmiechem:

- Naprawdę, wyglądasz bardzo śmiesznie, leżąc na grzbiecie!

- Nic podobnego - odpowiedział Bri, lecz nagle przewrócił się na bok, podniósł łeb i popatrzył uważnie na chłopca, lekko dysząc. - Czy to naprawdę wygląda śmiesznie? - spytał zaniepokojony.

- Tak, to bardzo śmieszne - odparł Szasta. - Ale jakie to ma znaczenie?

- A czy nie przypuszczasz, że to może być coś, czego mówiące konie nigdy nie robią, i że jest to po prostu jakaś głupota, błazeńska sztuczka, której nauczyłem się od niemych koni? To okropne, gdyby w Narnii się okazało, że nabrałem jakichś złych, nieokrzesanych manier. Co o tym myślisz, Szasto? Czy sądzisz, że prawdziwe wolne konie - mówiące konie - tarzają się w trawie?

- A skąd mam o tym wiedzieć? W każdym razie ja bym się tym nie przejmował, gdybym był tobą. Najpierw musimy się tam dostać. Czy znasz drogę?

- Znam dobrze drogę do Taszbaanu. Potem jest pustynia. Och, nie martw się, jakoś przez nią przejdziemy. A potem, pomyśl tylko, zobaczymy północne góry. Tylko pomyśl! Narnia i Północ! Nic nas wówczas nie zatrzyma. Ale będę się czuł pewniej, gdy już miniemy Taszbaan. I dla mnie, i dla ciebie byłoby bezpieczniej trzymać się z dala od miast.

- A nie możemy go ominąć?

- Musielibyśmy wówczas zapuścić się w głąb lądu, a to oznacza gęsto zaludnione ziemie uprawne i wiele uczęszczanych dróg. Nietrudno też zmylić kierunek. Nie, będziemy się trzymać brzegu morza. Tu, na wyżynie, możemy spotkać tylko króliki, mewy i najwyżej kilku pasterzy. No to co, ruszamy?

Kiedy Szasta zakładał uprząż, a potem wspinał się na siodło, nogi okropnie mu drżały, ale Bri okazał wyrozumiałość i przez całe popołudnie szedł stępa. Był już zmierzch, gdy zjechali jakąś stromą drogą w dolinę i znaleźli tam wioskę. Szasta zsiadł z Konia i poszedł kupić trochę chleba i rzodkwi, a Bri ominął wioskę polami. Spotkali się po drugiej stronie. Tak odtąd robili co drugą noc.

Były to dla chłopca cudowne dni, a każdy wydawał mu się lepszy od poprzedniego, bo z każdym mięśnie bolały go coraz mniej i coraz rzadziej spadał. Ale nawet pod koniec nauki jazdy Bri twierdził, że Szasta siedzi w siodle jak worek mąki. „Nawet gdyby to było bezpieczne, wstydziłbym się pokazać z tobą na głównej drodze, młody człowieku.” Ale pomimo tych surowych słów Bri był bardzo cierpliwym nauczycielem. Nikt nie może lepiej uczyć jazdy niż koń. Szasta nauczył się jeździć truchtem i cwałem, nauczył się skakać przez przeszkody i trzymać w siodle nawet wtedy, gdy Bri zatrzymywał się raptownie bez ostrzeżenia lub skręcał nagle w lewo lub w prawo, co - jak mu Bri powiedział - może się w każdej chwili zdarzyć podczas bitwy. Szasta błagał go, by opowiedział mu o bitwach i wojnach, w których niósł na sobie Tarkaana. I Bri opowiadał o forsownych marszach, o przeprawach przez rwące rzeki, o szarżach i dzikich walkach między konnicami, kiedy to konie bojowe walczą razem z ludźmi, nauczone gryźć, kopać i stawać dęba w odpowiednim momencie, tak aby ciężar konia i jeźdźca, spadał na wroga jednocześnie z uderzeniem miecza lub bojowego topora. Ale nie chciał opowiadać o tych bojach tak często, jak by tego pragnął Szasta. „Nie ma o czym mówić, młodzieńcze. To były wojny Tisroka, a ja walczyłem w nich jako zniewolone, nieme zwierzę. Co innego narnijskie wojny, gdzie

będę walczyć jako wolny koń razem z moim ludem. To dopiero będą wojny warte opowieści! Narnia i Północ! Braa-ha-ha! Bruu-hu-hu!”

Wkrótce Szasta już wiedział, że kiedy Bri mówi coś takiego, trzeba się przygotować do galopu.

Wędrowali tak całe tygodnie, mijając coraz to nowe zatoki, przylądki, rzeki i wioski, aż nadeszła pewna księżycowa noc, kiedy ruszyli w drogę wieczorem, po dniu spędzonym na wypoczynku. Pozostawili już za sobą torfiasty płaskowyż i teraz przecinali szeroką równinę, mając o jakieś pół mili na lewo las, a na prawo - w podobnej odległości - morze, ukryte za piaszczystymi pagórkami. Posuwali się niezbyt szybko prawie godzinę, raz truchtem, raz stępą, gdy nagle Bri stanął.

- Co się stało? - zapytał Szasta.

- Cicho! - powiedział Bri, kręcąc wokoło łbem i strzygąc uszami. - Czy nic nie słyszysz? Posłuchaj.

- Słyszę. Tak jakby tam był inny koń, pomiędzy nami a lasem - odparł Szasta po dłuższej chwili.

- To JEST inny koń - stwierdził Bri. - I wcale mi się to nie podoba.

- Może to jakiś gospodarz wraca późno do domu. - Szasta stłumił ziewanie.

- Nie opowiadaj głupstw. To NIE JEST żaden gospodarz. To NIE JEST koń wiejski. Nie słyszysz tego? To koń z klasą. I siedzi na nim prawdziwy jeździec. Powiem ci, co to jest, Szasto. Tam, pod lasem, jedzie na koniu prawdziwy Tarkaan. Nie na koniu bojowym: jest na to za lekki. To mi wygląda na klacz pełnej krwi, ot co.

- O, teraz się zatrzymało, cokolwiek to jest - zauważył Szasta.

- Masz rację. Ale dlaczego zatrzymało się wtedy, kiedy i my się zatrzymaliśmy? Szasto, mój chłopcze, obawiam się, że ktoś nas śledzi.

- Co zrobimy? - zapytał Szasta szeptem. - Czy myślisz, że nas widzi i słyszy?

- W tym oświetleniu chyba nie, póki stoimy i jesteśmy cicho. Ale zobacz, nadciąga chmura. Poczekamy, aż zakryje księżyc. Wtedy ruszymy cichutko w prawo, w stronę wybrzeża. W razie czego możemy się ukryć między tymi pagórkami.

Poczekali, aż chmura zakryła księżyc, i ruszyli w stronę morza, najpierw ostrożnym, wolnym krokiem, potem łagodnym truchtem.

Obłok był grubszy i większy, niż się z początku wydawało, i wkrótce zrobiło się bardzo ciemno. I właśnie wtedy, gdy Szasta pomyślał: „Musimy już być blisko tych pagórków”, serce podskoczyło mu do gardła, ponieważ w ciemności przed nimi rozległ się nagle długi, chrapliwy ryk, pełen melancholii i zarazem strasznej dzikości. Bri

zawrócił w miejscu i zaczął galopować z powrotem w głąb łądu tak szybko, jak potrafił.

- Co to było? - wydusił z siebie Szasta.

- Lew! - odpowiedział Koń, nie zwalniając biegu i nie odwracając głowy.

Szalony galop trwał przez dłuższy czas. W końcu przecięli jakiś szeroki, lecz płytki strumień i Bri zatrzymał się na drugim brzegu. Szasta zauważył, że Koń drży i cały pokryty jest potem.

- Może ta bestia zgubi nasz ślad w wodzie - szepnął Bri, gdy odzyskał oddech. - Możemy teraz trochę zwolnić.

I ruszył dalej stępa, a po chwili powiedział:

- Wstyd mi, Szasto. Jestem tak przerażony jak zwykły, niemy koń z Kalormenu. Naprawdę, boję się. Wcale się nie czuję jak mówiący koń. Nie boję się mieczów, lanc i strzał... ale te bestie! Chyba przejdziemy w trucht.

Po minucie przeszedł jednak znowu do galopu - i trudno się było temu dziwić. Ryk odezwał się ponownie, tym razem z lewej strony, od lasu.

- Są dwa! - jęknął Bri.

Galopowali przez kilka minut w ciszy, aż Szasta powiedział:

- Posłuchaj! Ten drugi koń galopuje teraz razem z nami. Zaledwie o rzut kamieniem od nas.

- Tym lep-p-piej! - odpowiedział Koń, dysząc ciężko. - Tarkaan na koniu... na pewno ma miecz... może nas obroni.

- Ależ Bri! - zawołał Szasta. - Możemy być równie dobrze zabici przez lwy, jak złapani. Przynajmniej DLA MNIE nie ma różnicy: powieszą mnie za kradzież konia. - Mniej bał się lwów niż Bri, ponieważ nigdy jeszcze żadnego nie spotkał; Bri miał już z nimi do czynienia.

Koń tylko zarżał w odpowiedzi, ale skręcił nieco w prawo. I rzecz dziwna: drugi koń również zmienił kierunek, wyraźnie oddalając się w lewo, tak że w ciągu kilku sekund przestrzeń między nimi znacznie się poszerzyła. Ale natychmiast rozległy się znowu ryki lwów, jeden po prawej, drugi po lewej stronie, i wkrótce oba konie zbliżyły się do siebie. Wszystko wskazywało na to, że lwy uczyniły to samo. Ich ryk przybliżał się coraz bardziej; bestie z łatwością dotrzymywały kroku galopującym dziko koniom. Potem księżyc wyszedł zza chmury. W jego świetle zrobiło się jasno jak w dzień. Dwa konie i dwaj jeźdźcy mknęli obok siebie łeb w łeb i kolano w kolano, jakby to był wyścig. I zaprawdę, jak powiedział później Bri, nie widziano jeszcze w Kalormenie tak wspaniałej gonitwy. Szasta stracił już nadzieję i zaczął się zastanawiać, czy lwy

zabijają szybko, czy też bawią się przedtem swoją zdobyczą jak koty złapaną myszą, i czy to bardzo boli. Jednocześnie (jak to czasami bywa w najbardziej przerażających momentach) widział wszystko wokół siebie bardzo dokładnie. Zobaczył, że drugi jeździec jest niski i szczupły, odziany w zbroję (odbijało się w niej światło księżyca) i świetnie trzyma się w siodle.

Nagle pojawiło się przed nimi coś jaśniejszego i płaskiego. Zanim Szasta zdążył pomyśleć, co to jest, rozległ się głośny plusk... i poczuł, że ma w ustach pełno słonej wody. Jaśniejsza rzecz okazała się długą morską zatoką lub ujściem rzeki. Oba konie płynęły teraz obok siebie; woda sięgała chłopcu do pasa. Za nimi rozległ się rozdrażniony, wściekły ryk. Szasta odwrócił się i zobaczył wielki, kosmaty, przerażający kształt przyczajony na brzegu - ale tylko jeden. „Drugi musiał odpaść w tej gonitwie”, pomyślał.

Lew najwyraźniej nie uważał, by łup wart był zamoczenia futra, w każdym razie nawet nie próbował wejść do wody. Dwa konie znajdowały się teraz pośrodku zatoki; widać już było przeciwległy brzeg. Tarkaan nie odezwał się jeszcze ani słowem. „Ale się odezwie - pomyślał Szasta. - Jak tylko będziemy na tamtym brzegu, zacznę mnie wypytywać. Co mam mu powiedzieć? Muszę szybko coś wymyślić.”

Wtem usłyszał tuż obok siebie dwa głosy.

- Och, jestem już tak zmęczona - powiedział pierwszy.

- Trzymaj język za zębami, Hwin, i nie bądź głupia - rzekł drugi.

„Chyba śnię - pomyślał Szasta. - Mogę przysiąc, że ten drugi koń przemówił.”

Teraz konie przestały płynąć i wkrótce wyszły na brzeg zatoki z głośnym pluskiem wody ściekającej z ich boków i ogonów oraz z hałasem ośmiu podków miażdżących wygładzone przez fale kamienie. Ku zaskoczeniu chłopca Tarkaan nie sprawiał wrażenia, by miał ochotę go wypytywać. Nawet na Szastę nie spojrzął. Wyglądało na to, że myśli tylko o tym, by ruszyć w dalszą podróż. Lecz Bri natychmiast zabiegł drogę drugiemu koniowi.

- Bruuu-huu-ha! - zarżał. - Tylko spokojnie! SŁYSZAŁEM CIĘ, tak, słyszałem. Nie ma co udawać, pani. Słyszałem ciebie. Jesteś mówiącym koniem, narnijskim koniem, tak jak ja.

- I co z tego? - przerwał mu dziwny jeździec ostrym głosem, kładąc dłoń na rękojeści miecza. Lecz głos, którym wypowiedziano te słowa, zdradził chłopcu coś zupełnie nowego i zaskakującego.

- Hej, to tylko dziewczyna! - wykrzyknął.

- A co ci do tego, że jestem TYLKO dziewczyną? - warknął jeździec. - A ty jesteś tylko chłopakiem: zwykłym, nieokrzesanym małym chłopcem, prawdopodobnie niewolnikiem, który ukradł konia swojemu panu.

- Czy to już wszystko, co o mnie wiesz? - zapytał Szasta.

- On nie jest złodziejem, mała Tarkiino - wtrącił się Bri. - Jeżeli już była jakaś kradzież, to można raczej powiedzieć, że to JA ukradłem JEGO. A jeśli chodzi o to, co nam do tego wszystkiego, to nie sądzisz chyba, że spotkawszy w tak dziwnym miejscu damę pochodzącą z mojej rasy, pozwolę jej odejść, nie próbując z nią porozmawiać. To chyba naturalny odruch, nie uważasz?

- Ja też uważam, że to bardzo naturalne - odezwała się klacz.

- Wszystko przez to, że nie potrafisz trzymać języka za zębami, Hwin - powiedziała dziewczyna.

- W ładne kłopoty nas wpakowałaś.

- Nie widzę żadnych kłopotów - rzekł Szasta.

- Możesz sobie odjechać, kiedy tylko zechcesz. Nie będziemy cię zatrzymywać.

- Z pewnością nie będziecie - powiedziała dziewczyna.

- Cóż to za kłótnie stworzenia, ci ludzie - zwrócił się Bri do klaczy. - Zupełnie jak muły. Spróbujmy porozmawiać rozsądnie. Założę się, pani, że twoja historia jest podobna do mojej: porwana za młodu, całe lata niewoli w Kalormenie?

- Nie mylisz się, panie - odpowiedziała klacz z melancholijnym rzeniem.

- A teraz zapewne uciekasz?

- Powiedz mu, żeby się zajął swoimi sprawami, Hwin - wtrąciła dziewczyna.

- Nie zrobię tego, Arawis - powiedziała klacz, kładąc uszy po sobie. - To jest tak samo moja ucieczka jak twoja. I jestem pewna, że tak szlachetny rumak nie zamierza nas zdradzić. Owszem, próbujemy stąd uciec. Chcemy dotrzeć do Narnii.

- Robimy dokładnie to samo - rzekł Bri. - Oczywiście odgadłaś to na samym początku. Cóż innego może znaczyć mały chłopiec w łachmanach, jadący (albo próbujący jechać) na bojowym koniu pośród nocy, jeśli nie jakąś ucieczkę? Ale, jeśli wolno mi powiedzieć coś więcej, cóż innego może oznaczać wysoko urodzona Tarkiina, jadąca konno w nocy, ubrana w zbroję swego brata i bardzo dbająca o to, aby każdy zajmował się swoimi sprawami i nie zadawał jej żadnych pytań? Jeśli to nie jest podejrzane, to możesz mnie nazywać kucykiem.

- A więc dobrze - odezwała się Arawis. - Zgadłeś. Hwin i ja uciekamy stąd. Chcemy się dostać do Narnii. I co z tego?

- No cóż, jeśli tak, to co stoi na przeszkodzie, abyśmy to robili razem? - zapytał Bri. - Mam nadzieję, pani Hwin, że zgodzisz się na takie towarzystwo, no i ochronę, jaką mogę ci zapewnić podczas tej wędrówki?

- Dlaczego, do licha, mówisz wciąż do mojego konia, a nie do mnie? - zdenerwowała się dziewczyna.

- Wybacz mi, Tarkiino - rzekł Bri, nieznacznie tuląc uszy - ale to kalormeńska mowa. Jesteśmy wolnymi Narnijczykami, Hwin i ja, i przypuszczam, że jeśli uciekasz do Narnii, to i ty chcesz być wolną Narnijką. A jeśli tak, to Hwin nie jest już TWOIM koniem. Można równie dobrze powiedzieć, że ty jesteś JEJ człowiekiem.

Dziewczyna otworzyła usta, aby coś powiedzieć, lecz zaraz zamknęła je bez słowa. Dopiero po chwili przemówiła:

- Wciąż nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy uciekać razem. Czyż nie będziemy zwracać na siebie większej uwagi?

- Wręcz przeciwnie - rzekł Bri, a klacz dodała:

- Och, zrobmy tak! Będę się czuła o wiele bezpieczniej. Nie wiemy nawet, czy zmierzamy w dobrym kierunku. Jestem pewna, że tak potężny rumak wie o wiele więcej od nas.

- Daj spokój, Bri - odezwał się Szasta. - Niech sobie idą swoją drogą. Czy nie widzisz, że nie odpowiada im nasze towarzystwo?

- Ależ odpowiada - rzekła Hwin.

- Posłuchaj - zwróciła się dziewczyna do Konia - nie mam nic przeciwko temu, by uciekać z tobą, panie koniu bojowy, ale mam wątpliwości co do tego chłopca. Skąd mam wiedzieć, że nie jest szpiegiem?

- Dlaczego nie powiesz od razu, że nie jestem cię wart? - wtrącił Szasta.

- Uspokój się, Szasto - powiedział Bri. - Pytanie Tarkiiny jest całkiem do rzeczy. Ja ręczę za tego chłopca, Tarkiino. Był wobec mnie szczerzy, a teraz jest moim przyjacielem. I z całą pewnością pochodzi z Narnii albo z Archenlandii.

- A więc dobrze. Jedźmy razem. - Ale nie powiedziała tego do Szasty i było oczywiste, że liczy się tylko z Koniem.

- Wspaniale! - zawołał Bri. - A teraz, skoro już od tych okropnych bestii dzieli nas kawał morza, co byście wy, ludzie, powiedzieli na to, żeby nas rozsiadłać? Wszyscy potrzebujemy odpoczynku i wszyscy chcemy posłuchać swoich historii.

Dzieci rozsiadły konie, które znalazły sobie od razu trawę, a Arawis wyjęła z torby przy siodle całkiem smakowite rzeczy. Szasta nadąsał się i odmówił, udając, że

nie jest głodny. Próbował zachowywać się w bardzo wyszukany sposób, ale ponieważ chatka rybaka nie jest zwykle najlepszym miejscem do nauczenia się wykwinnych manier, rezultat był opłakany. Wyczuł jednak szybko, że nie odnosi sukcesu, co spowodowało, iż stawał się coraz bardziej niezręczny i nadąsany. Koniom poszło o wiele lepiej. Wspominały znajome miejsca w Narnii („trawiaste łąki powyżej Bobrowej Tamy”) i nawet odkryły, że są dalekimi kuzynami. Jeśli chodzi o ludzi, to sytuacja stawała się coraz bardziej i bardziej kłopotliwa, aż w końcu Bri powiedział:

- A teraz, Tarkiino, opowiedz nam coś o sobie. I nie musisz się spieszyć. Czuję się tu znakomicie.

Arawis zaczęła opowiadać, siedząc nieruchomo ze skrzyżowanymi nogami i używając przy tym zupełnie innego tonu i stylu niż dotychczas. W Kalormenie bowiem uczy się opowiadania różnych historii (niezależnie od tego, czy są prawdziwe, czy zmyślane), tak jak w Anglii uczy się dziewczęta i chłopców pisania wypracowań. Różnica polega na tym, że wszyscy lubią słuchać opowieści, natomiast nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by lubił czytać wypracowania.

ROZDZIAŁ 3 U BRAM TASZBAANU

- Nazywam się Arawis Tarkiina i jestem jedyną córką Kidrasza Tarkaana, syna Riszkiego Tarkaana, syna Kidrasza Tarkaana, syna Ilsombreha Tisroka, syna Ardiba Tisroka, który pochodził w prostej linii od boga Tasza. Mój ojciec jest panem prowincji Kalawar i należy do tych, którzy mają przywilej stania w obuwiu przed obliczem samego Tisroka (oby żył wiecznie!). Moja matka (niech pokój bogów zawsze z nią będzie!) umarła, a mój ojciec poślubił drugą żonę. Jeden z moich braci padł w bitwie z powstańcami na dalekim zachodzie, drugi jest jeszcze małym dzieckiem. Tak się złożyło, że moja macocha znienawidziła mnie od samego początku i słońce traciło blask w jej oczach, dopóki żyłam w domu mego ojca. Tak więc wymusiła na moim ojcu, aby mnie obiecał za żonę Ahoszcie Tarkaanowi. Ten Ahoszta jest niskiego pochodzenia, ale w ostatnich latach, dzięki pochlebstwom i przewrotnym radom, wkradł się w łaski samego Tisroka (oby żył wiecznie!), tak że uczyniono go Tarkaanem i panem wielu miast i prawdopodobnie zostanie wybrany wielkim wezyrem, gdy obecny wezyr umrze. Co więcej, ma z sześćdziesiąt lat i garb na plecach, a jego twarz przypomina do złudzenia twarz małpy. Jednakże ojciec mój, ze względu na wielkie wpływy i bogactwo tego Ahoszty, a także namówiony przez moją macochę, posłał do niego, ofiarowując mu moją rękę. Propozycja została łaskawie przyjęta i Ahoszta przysłał wiadomość, że zamierza poślubić mnie jeszcze w tym roku, w pełni lata.

Kiedy mi to oznajmiono, słońce straciło blask w moich oczach, zamknęłam się w sypialni i płakałam na łóżku przez cały dzień. Ale następnego dnia wstałam, umyłam twarz i kazałam osiodłać moją klacz, Hwin. Wzięłam ostry sztylet, który mój brat miał ze sobą podczas wojny na zachodzie, i opuściłam samotnie dom mego ojca. A kiedy zniknął mi już z oczu i przybyłam na zieloną polanę w pewnym lesie, z dala od ludzkich osiedli, zsiadłam z konia i wyjęłam sztylet. Rozchyliłam szaty tam, gdzie najłatwiej trafić ostrzem w serce, i pomodliłam się do wszystkich bogów, abym spotkała swego brata, gdy tylko rozstanę się z życiem. Potem zamknęłam oczy, zacisnęłam zęby i podniosłam sztylet, by go sobie wbić w serce. Ale zanim to uczyniłam, ta oto klacz przemówiła do mnie głosem jednej z cór ludzkich i powiedziała: „O moja pani, za nic w świecie nie niszczy swego młodego życia! Rozważ w swoim sercu, że będąc żywą, możesz jednak znaleźć w końcu szczęście, natomiast będąc martwą, podzielisz smutny los wszystkich zmarłych”.

- Nie powiedziałam tego nawet w połowie tak pięknie - mruknęła klacz.

- Sza, pani, sza! - uciszył ją Bri, wyraźnie rozkoszując się opowieścią. - Ta młoda dama opowiada w świetnym kałormeńskim stylu i żaden z opowiadaczy na dworze Tisroka nie zrobiłby tego lepiej. Mów dalej, Tarkiino.

- Kiedy usłyszałam ludzką mowę płynącą z ust mojej klaczy, powiedziałam sobie, że oto lęk przed śmiercią pomieszał mi zmysły i zaczynają mnie nawiedzać sny na jawie. Serce moje przepełnił głęboki wstyd, gdyż nikt z mojego rodu nie powinien lękać się śmierci bardziej niż ukąszenia komara. Wzniosłam więc sztylet po raz drugi, gdy Hwin zbliżyła się do mnie, wsadziła łeb między mnie a ostrze i zaczęła mi przedstawiać wszystkie powody, dla których nie powinnam tego czynić, i upominała mnie tak, jak matka upomina córkę. Ogarnęło mnie takie zdumienie, że zupełnie zapomniałam o Ahoszcie i o zamiarze odebrania sobie życia, i zapytałam: „O moja Hwin, w jaki sposób zdołałaś nauczyć się mówić tak jak jedna z cór ludzkich?” A ona powiedziała mi to, o czym już wszyscy wiecie, że w Narnii są zwierzęta, które potrafią mówić, i o tym, jak została stamtąd porwana, gdy była małym źrebiątkiem. Opowiadała mi też o puszcach i wodach Narnii, o zamkach i wielkich okrętach, aż przerwałam jej, mówiąc: „Na wielkiego Tasza i na Azaroth, na Zardiinah, Panią Nocy, bardzo pragnę znaleźć się w krainie Narnii!” A Hwin odpowiedziała: „O moja pani, gdybyś znalazła się w krainie Narnii, byłabyś szczęśliwa, bo w tej krainie żadna dziewczyna nie może być zmuszona do poślubienia kogoś wbrew swej woli”.

Rozmawialiśmy jeszcze długo i nadzieja ponownie rozkwitła w moim sercu, i cieszyłam się już, że nie odebrałam sobie życia. Co więcej, uzgodniłyśmy między sobą, że razem uciekniemy z Kalormenu, i przygotowaliśmy plan ucieczki. Wróciłam do domu mojego ojca, włożyłam najlepszą suknię i śpiewałam, i tańczyłam przed moim ojcem, udając, jak bardzo się cieszę z tego małżeństwa. I powiedziałam mu: „O mój ojcze, o radości mych oczu, pozwól mi wziąć jedną z moich służek i udać się na trzy dni do puszczy, abym mogła tam spełnić tajemny obrządek ku czci Zardiinah, Pani Nocy i Dziewcząt, jak to jest w zwyczaju dziewic, gdy muszą pożegnać się ze słodką służbą Pani Zardiinah i gotować się do zamążpójścia”. A on odpowiedział: „O moja córko, o radości mych oczu, niech tak się stanie”.

Kiedy oddaliłam się sprzed jego oblicza, poszłam zaraz do jego sekretarza, najstarszego z niewolników, który brał mnie na kolana, gdy byłam dzieckiem, i kochał mnie bardziej niż powietrze i światło. I kazałam mu przysiąc, że dochowa tajemnicy, a potem poprosiłam, by napisał dla mnie pewien list. Kiedy usłyszał, o co chodzi, płakał, błagał, bym zmieniła decyzję, lecz w końcu rzekł: „Usłyszeć znaczy wykonać” i zrobił

to, co chciałam. A ja zapieczętowałam list i ukryłam go na piersiach.

- Ale co było w tym liście? - przerwał jej Szasta.

- Bądź cierpliwy, młodzieńcze - rzekł Bri. - Psujesz całą opowieść. Dowiesz się wszystkiego o tym liście w odpowiednim czasie. Mów dalej, Tarkiino.

- Wezwałam służkę, która miała udać się ze mną do lasu i towarzyszyć mi w obrzędach ku czci Zardiinah, i powiedziałam jej, że wyruszymy o świcie.

Potem zaczęłam z nią plotkować i żartować, i poczęstowałam ją winem; do jej czarki dosypałam jednak pewnego ziela, po którym śpi się przez noc i dzień. I gdy tylko cały dom pogrążył się we śnie, wstałam i włożyłam zbroję mojego brata, którą zawsze przechowywałam w swej komnacie jako drogą po nim pamiątkę. Zabrałam też wszystkie pieniądze, jakie miałam, swoje najlepsze klejnoty i trochę jedzenia, sama osiodłałam klacz i opuściłam dom po drugiej straży nocnej. Udałam się jednak nie w stronę lasu, jak powiedziałam ojcu, lecz na północ, a potem na wschód - do Taszbaanu.

Wiedziałam, że przez trzy dni, a może nieco dłużej, ojciec nie będzie mnie szukać, sądząc, że spełniam starodawny obrządek i żegnam się samotnie ze służbą Pani Nocy. A czwartego dnia przybyłam do miasta Azim-Balda. W Azim-Baldzie krzyżuje się wiele dróg i szlaków. Stamtąd posłańcy Tisroka (oby żył wiecznie!) pędzą na koniach do wszystkich zakątków cesarstwa, a jest jednym z praw i przywilejów możniejszych Tarkaanów używać tej poczty również i do swoich potrzeb. Udałam się więc do zarządcy posłańców w Domu Cesarskiej Poczty w Azim-Baldzie i powiedziałam: „O zarządcu, oto jest list mojego wuja Ahoszty Tarkaana do Kidrasza Tarkaana, pana Kalawaru. Weź te oto pięć krescentów i każ wysłać do niego ten list”. A zarządca posłańców odpowiedział: „Usłyszeć znaczy wykonać”.

List ten napisany był w imieniu Ahoszty Tarkaana, a treść jego brzmiała mniej więcej tak: „Ahoszta Tarkaan Kidraszowi Tarkaanowi śle pozdrowienia. W imię Tasza niezwycięzonego i nieubłaganego. Niech ci będzie wiadome, że kiedy podróżowałam do twego domu, by zawrzeć umowę małżeńską między mną a twoją córką Arawis Tarkiiną, spodobało się bogom i fortunie, bym spotkał ją w lesie, gdzie kończyła właśnie obrządki i ofiary ku czci Zardiinah, jak każe obyczaj dziewic. A kiedy dowiedziałem się, kim jest, przepelniony zachwytem nad jej pięknnością i skromnością zapłonąłem ku niej uczuciem i wydało mi się, że słońce straci blask w moich oczach, jeśli natychmiast jej nie poślubię. Przygotowałem więc odpowiednie ofiary i poślubiłem twoją córkę tej samej godziny, której ją spotkałem, a potem powróciłem z

nią do mego domu. A teraz prosimy cię, ale i polecamy, byś przybył do mnie tak szybko, jak zdołasz, abyśmy mogli oboje cieszyć się twą obecnością, a także byś przywiózł ze sobą wiano mej żony, które jest mi potrzebne bez zwłoki ze względu na powagę moich obowiązków i wysokość moich wydatków. A ponieważ ty i ja jesteśmy sobie jako bracia, żywię nadzieję, iż nie pogniewasz się z powodu pośpiechu, w jakim odbył się ten ślub, pośpiechu spowodowanego wyłącznie wielką miłością, jaką darzę twoją córkę. Polecam cię opiece wszystkich bogów”.

Gdy tylko oddałam list, opuściłam jak najszybciej Azim-Baldę, upewniwszy się, że nikt mnie nie śledzi. Byłam przekonana, że otrzymawszy ten list, ojciec mój pośle kogoś do Ahoszty lub sam do niego pojedzie i że zanim wszystko się wyda, będę już daleko za Taszbaanem. Taka jest istota opowieści o moich losach aż do tej nocy, w której napadły mnie lwy, a nasze drogi zbiegły się w nurcie słonej wody.

- A co stało się z dziewczyną, tą, którą uśpiłaś? - zapytał Szasta.

- Bez wątpienia otrzymała chłostę za to, że zasnęła - odrzekła Arawis chłodno. - Była narzędziem i szpiegiem mojej macochy. Bardzo się z tego cieszę.

- Nie powiem, żeby to było zbyt szlachetne - zauważył Szasta.

- Bądź pewien, że ani jednej z rzeczy, o których opowiadałam, nie zrobiłam po to, aby się tobie przypodobać - odcięła się Arawis.

- I jest jeszcze coś, czego nie rozumiem w twojej opowieści - rzekł Szasta. - Nie jesteś dorosła, nie sądzę, żebyś była starsza ode mnie, a nawet chyba jesteś młodsza, sądząc po twoim zachowaniu. Jak mogłabyś zostać poślubiona w tym wieku?

Arawis nie raczyła odpowiedzieć, lecz odezwał się pospiesznie Bri:

- Nie popisuj się ignorancją, Szasto. W wielkich tarkaańskich rodach małżeństwa zawsze są zawierane w tym wieku.

Szasta zarumienił się (choć nie sądzę, by w tym świetle ktoś to zauważył), czując, że utarło mu nosa. Arawis poprosiła Briego, aby opowiedział swoje przygody. Koń zrobił to, a Szasta odniósł wrażenie, że zupełnie niepotrzebnie rozwodził się nad jego upadkami i kiepską jazdą. Bri wyraźnie uważał to za bardzo zabawne, ale Arawis nie śmiała się. Kiedy skończył, ułożyli się do snu.

Następnego dnia wszyscy czworo - dwa konie i dwoje dzieci - wyruszyli dalej w drogę. Szasta nie potrafił już cieszyć się wędrówką tak jak poprzednio. Teraz Bri i Arawis rozmawiali przez cały czas tylko ze sobą, jakby znali się od dawna. Bri żył dość długo w Kalormenie, zawsze wśród Tarkaanów i tarkaańskich koni, nic więc dziwnego, że znał wiele osób i miejsc, które znała również Arawis. Dziewczynka

mówiła na przykład: „Ale jeśli brałeś udział w bitwie pod Zalindrehem, to na pewno spotkałeś tam mojego kuzyna Alimasza”, a Bri odpowiadał: „Ach tak, Alimasz; ale on był tylko dowódcą rydwanów. Nie zajmowałem się specjalnie rydwanami, w końcu to nie jest prawdziwa kawaleria. Alimasz, tak, to wartościowy i dzielny rycerz. Po zdobyciu Tiibithu wsypał mi cukru do torby z sianem”. Albo znów Bri mówił: „Tego lata byłem nad jeziorem Mezriil”, a Arawis mu przerywała: „Och, Mezriil! Mam tam przyjaciółkę, Lasaraliinę Tarkiinę. Cóż to za cudowne miejsce! Te ogrody, no i Dolina Tysiąca Wonności!” Prawdę mówiąc, Bri wcale nie miał zamiaru wykluczać Szasty z rozmowy, a tego wniosku chłopiec był bliski. Ludzie, którzy znają wiele tych samych rzeczy, nie mogą się powstrzymać, by o nich nie rozmawiać, a jeśli jest przy tym ktoś trzeci, to ma wrażenie, że się go lekceważy.

Hwin była nieco onieśmielona towarzystwem tak wspaniałego rumaka bojowego jak Bri i mówiła niewiele. A Arawis w ogóle się do Szasty nie odzywała.

Wkrótce jednak musieli zająć się ważniejszymi sprawami. Zbliżali się do Taszbaanu. Coraz częściej spotykali duże osady, coraz więcej było ludzi na drogach. Teraz wędrowali prawie wyłącznie nocą, zaś w ciągu dnia kryli się gdzieś i odpoczywali. A podczas każdego odpoczynku rozprawiali wciąż o tym, co zrobią, kiedy już dojdą do miasta. Przedtem każdy starał się o tym nie myśleć - teraz trudno było nie myśleć wyłącznie o tym. W czasie tych rozmów Arawis zaczęła być wobec Szasty jakby troszeczkę mniej chłodna; tak już jest, że ludzie bardziej zbliżają się do siebie, gdy robią wspólne plany, niż wówczas, gdy nie mają sobie wiele do powiedzenia.

Bri stwierdził, że przede wszystkim trzeba na wszelki wypadek ustalić miejsce poza Taszbaanem, gdzie wszyscy czworo mają się spotkać, gdyby w mieście rozdzieliły ich jakieś nieprzewidziane wydarzenia. Według niego najlepszym miejscem byłyby Grobowce Starożytnych Królów, położone na samym skraju pustyni. „To są takie budowle przypominające wielkie kamienne ule. Trudno ich nie zauważyć. A co najważniejsze, żaden Kalormeńczyk nie zbliży się do nich, bo wszyscy wierzą, że to miejsce jest nawiedzane przez upiory, których się panicznie boją.” Arawis zapytała, czy te upiory przychodzą tam naprawdę, na co Bri odpowiedział, że jest wolnym narnijskim koniem i nie wierzy w takie kalormeńskie bajeczki. A na to Szasta rzekł, że on też nie jest Kałormeńczykiem i że te wszystkie opowieści

o upiorach warte są tyle co pierze na wietrze. Nie było to całkiem zgodne z prawdą, ale zrobiło na Arawis wrażenie (choć w pierwszej chwili trochę ją zdenerwowało). W końcu i ona oświadczyła, że guzik ją obchodzą upiory, niezależnie

od ich liczby. Tak więc ustalono, że miejscem zbiórki będą Grobowce, położone po przeciwległej stronie Taszbaanu, i każdy poczuł, że zrobili już poważny krok w planowaniu, gdy nagle Hwin nieśmiało zwróciła im uwagę, że prawdziwym problemem nie jest wcale to, GDZIE mają się spotkać po przejściu przez Taszbaan, tylko JAK mają przez miasto przejść.

- Ustalimy to jutro, pani - rzekł Bri. - Trzeba się trochę przespać.

Ale nie było to wcale łatwe do ustalenia. Najpierw Arawis zaproponowała, by przepłynęli rzekę pod Taszbaanem i w ten sposób ominęli miasto. Bri sprzeciwił się, wysuwając dwa argumenty. Po pierwsze, dowodził, ujście rzeki w tym miejscu jest bardzo szerokie i Hwin mogłaby nie dać sobie rady z taką odległością z jeźdźcem na grzbiecie. (Tak naprawdę miał na myśli również i siebie, ale nie chciał się do tego przyznać.) Po drugie, na rzece będzie z pewnością duży ruch łodzi i statków; łatwo sobie wyobrazić, że każdy, kto zobaczy z pokładu dwóch jeźdźców płynących przez rzekę, zwróci baczną uwagę na to zjawisko.

Szasta uważał, że wobec tego powinni pójść nieco w górę rzeki i przepłynąć ją w węższym miejscu. Bri jednak zaraz wyjaśnił, że po obu stronach rzeki jest wiele ogrodów i letnich rezydencji i że będzie tam mnóstwo Tarkaanów i Tarkiin kręcących się konno po drogach i łąkach oraz spędzających wesoło czas na łodziach. W rzeczy samej trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce do spotkania kogoś, kto rozpoznałby Arawis lub nawet jego samego.

- Moglibyśmy się przebrać - zauważył Szasta. Hwin oświadczyła, że według niej najbezpieczniej

byłoby po prostu przejść przez miasto od bramy do bramy, bo w tłumie zawsze najmniej zwraca się na siebie uwagę. Poparła również pomysł przebrania się. „Dzieci niech się przebiorą w łachmany, tak aby wyglądały na wieśniaków lub niewolników. Rynsztunek Arawis i siodła ukryjemy w workach na naszych grzbietach, a dzieci będą nas prowadziły za uzdy; w ten sposób wszyscy pomyślą, że jesteśmy tylko zwykłymi zwierzętami jucznymi.”

- Moja kochana Hwin! - przerwała jej Arawis z nutą kpiny. - Tak jakby ktoś mógł nie rozpoznać w Brim konia bojowego, choćbyśmy go nie wiem jak przebierali!

- W istocie, trudno się z tym nie zgodzić - rzekł Bri, parskając i pozwalając swoim uszom odchylić się nieco do tyłu.

- Wiem, że nie jest to BARDZO dobry pomysł - zgodziła się Hwin. - Myślę jednak, że to nasza jedyna szansa. Poza tym już od dawna nikt nas nie czyścił i nie

czeszał, więc nie sędzę, żebyśmy byli do siebie podobni; w każdym razie jestem pewna, że ja nie jestem. Naprawdę, jeśli jeszcze wytarzamy się trochę w błocie i zwiesimy lby, jakbyśmy byli zmęczeni i leniwi, i jeśli będziemy człapać, prawie wcale nie podnosząc kopyt, to nikt nie zwróci na nas specjalnej uwagi. Trzeba też trochę skrócić nam ogony, i to niezbyt umiejętnie, aby były nierówne i postrzępione.

- Moja droga pani - rzekł Bri - czy pomyślałaś o tym, jak okropnie będzie wyglądał nasz powrót do Narnii w TAKIM stanie?

- No cóż - odparła Hwin z pokorą (była bardzo wrażliwą klaczą) - ale najpierw trzeba się tam dostać.

Pomysł Hwin miał swoje słabe strony i każdy to widział, ale w końcu został przez wszystkich przyjęty. Wprowadzenie go w życie było kłopotliwe i wymagało czegoś, co Szasta nazywał kradzieżą, a Bri „braniem łupu”. Tej nocy z jednego gospodarstwa zginęło kilka worków, z innego kawał powroza; musieli jednak kupić w wiosce jakieś podniszczone ubranie chłopięce dla Arawis. Szasta wrócił z nim pełen dumy, gdy zapadała już noc. Reszta czekała na niego wśród drzew u stóp długiego pasma zalesionych wzgórz, które zagradzało im drogę. Każdy czuł niepokój, bo było to ostatnie wzgórze: ze szczytu zobaczą już Taszbaan.

- Jakbym chciał, żeby już było po wszystkim - szepnął Szasta do Hwin.

- Och, i ja też! - odpowiedziała szybko klacz. Tej nocy przebyli las porastający wzgórze, posuwając

się szlakiem drwali. A kiedy na szczycie wynurzyli się z osłony drzew, zobaczyli w dolinie tysiące świateł. Szasta nie przypuszczał, że miasto może być tak ogromne, i ten widok napełnił go lękiem. Zjedli coś i dzieci poszły spać. Ale już wkrótce konie obudziły je: zaczynało świtać. Gwiazdy jeszcze świeciły na niebie, a trawa była okropnie zimna i mokra, lecz już daleko, po prawej stronie, nad morzem pojawiły się pierwsze blaski wschodzącego słońca. Arawis odeszła nieco w las. Gdy powróciła, wyglądała dziwnie w brudnych, postrzępionych łachmanach. Swój dawny strój niosła w tobołku. Tobołek ten, jej zbroję, tarczę i krzywą szablę oraz dwa siodła i resztę bogatej uprzęży ukryli w workach. Konie były już pokryte błotem, pozostawało tylko skrócić im ogony. Okazało się, że jedynym narzędziem, którym można to zrobić, jest szabla Arawis, trzeba więc było znowu rozwiązać jeden z worków. Samo skracanie ogonów nie było przyjemne dla obu stron.

- Daję słowo - rzekł Bri - że gdybym nie był mówiącym koniem, to dałbym ci takiego kopniaka, że długo byś mnie pamiętała. Sądziłem, że będziesz mi obcinał ogon,

a nie wrywał po dziesięć włosów. Przykro mi, ale czuję właśnie coś takiego.

Mimo półmroku i zgrabiących palców wszystko zostało w końcu zrobione - worki umieszczone na końskich grzbietach, postronki (zamiast dawnych uzd) w rękach dzieci - i ruszyli w drogę.

- Pamiętajcie - rzekł Bri - trzymamy się razem. Jeśli się nie uda, spotkamy się przy Grobowcach Starożytnych Królów. Kto przyjdzie pierwszy, niech czeka na resztę.

- A wy, konie - odezwał się Szasta - nie zapomnijcie się i nie zaczynajcie MÓWIĆ, cokolwiek by się działo.

ROZDZIAŁ 4

SZASTA SPOTYKA NARNIJCZYKÓW

Kiedy Szasta spojrział po raz pierwszy tego ranka na rozpościerającą się przed nimi dolinę, zobaczył tylko morze mgły, z którego wyłaniało się kilka najwyższych budowli i wież. W miarę jak robiło się jaśniej i mgła ustępowała, dostrzegał coraz więcej. Szeroka rzeka rozdzielała się tu na dwie odnogi, a na wyspie pomiędzy nimi leżało miasto Taszbaan, jeden z cudów świata. Wzdłuż krawędzi wyspy woda obmywała kamienie muru wzmocnionego tyłoma basztami, że wkrótce chłopiec zaprzestał ich liczenia. Wewnątrz murów wyspa była w istocie wzgórzem i każdy skrawek jego zboczy, aż po pałac Tisroka i wielką świątynię Tasza na szczycie, pokryty był budowlami - taras nad tarasem, ulica nad ulicą, serpentyny ulic, wyniosłe, szerokie schody obramowane pomarańczowymi i cytrynowymi drzewami, wiszące ogrody, galerie, cieniste krużganki, gęste kolumnady, strzeliste dachy, blanki i barbakany, minarety, wieżyczki. A kiedy wreszcie słońce wynurzyło się z oceanu i wykładane srebrem ściany wielkiej świątyni zapłonęły blaskiem, widok był oszałamiający.

- Dalej, dalej - popędzał go co jakiś czas głos Konia.

Brzegi rzeki po obu stronach doliny pokryte były ogrodami, tak że z początku wydawało się, że porasta je bujny las; dopiero gdy się nieco zbliżyli, ujrzeli tu i tam bielejące wśród drzew ściany licznych pałacyków i domów. Wkrótce potem Szasta poczuł rozkoszny zapach kwiatów i owoców. Około kwadransa później szli już wśród ogrodów, drogą biegnącą pomiędzy białymi murami, spoza których zwieszały się gałęzie owocowych drzew.

- No wiecie, to naprawdę cudowne miejsce! - odezwał się Szasta zmienionym z wrażenia głosem.

- Nie wątpię - rzekł Bri. - Ale wolałbym już być po drugiej stronie miasta. Narnia i Północ!

W tym momencie zabrzmiał niski dźwięk, najpierw cichy i drżący, później coraz głośniejszy i głośniejszy, aż w końcu zdawało się, że wibruje od niego cała dolina. Był to melodyjny dźwięk, tak jednak potężny i uroczysty, że budził niepokój.

- To grają rogi obwieszczające otwarcie bram Taszbaanu - wyjaśnił Bri. - Będziemy tam za parę minut. Arawis, pochyl nieco ramiona, stąpaj trochę ciężiej i spróbuj zapomnieć, że jesteś księżniczką. Spróbuj sobie wyobrazić, że przez całe życie spotykały cię tylko szturchańce, kopniaki i wyzwiska.

- Jeśli już o to chodzi - odparła Arawis - to może być tak zwiesił trochę łeb, wygiął grzbiet i spróbował zapomnieć, że jesteś rumakiem bojowym?

- Cicho! Zbliżamy się do celu - przerwał jej Bri.

I rzeczywiście tak było. Doszli do brzegu rzeki. Droga wbiegała na długi, wsparty na wielu łukach most. Woda migotała w porannym słońcu; daleko, po prawej stronie, bliżej ujścia rzeki majaczył las okrętowych masztów. Na moście było już sporo ludzi, głównie wieśniaków prowadzących objuczone tobołami osły i muły lub dźwigających kosze na głowach. Dzieci i konie włączyły się w tłum zdążający ku miastu.

- Czy coś jest nie tak? - szepnął Szasta do Arawis, widząc jej zmienioną twarz.

- Och, wszystko w porządku, przynajmniej dla CIEBIE - odszepnęła Arawis. - Co CIEBIE obchodzi Taszbaan? Ale ja powinnam wjeżdżać do miasta w lektyce, poprzedzana żołnierzami, z orszakiem niewolników, udając się na wielką ucztę do pałacu Tisroka (oby żył wiecznie!), a nie wślizgiwać się jak złodziej. Ciebie to nie dotyczy.

Szasta pomyślał, że zabrzmiało to bardzo głupio.

Na dalekim krańcu mostu spiżowe wrota były otwarte. Po obu stronach bramy stały grupy żołnierzy wspierających się na długich włóczniach. Arawis nie mogła się oprzeć myśli, że gdyby wiedzieli, kim jest, poderwaliby się na baczność, pozdrawiając ją z szacunkiem. Ale pozostała trójka pochłonięta była rozmyślaniami nad tym, czy uda im się przejść przez bramę bez większych kłopotów. Na szczęście żołnierze nie zadawali im żadnych pytań. Tylko jeden wyjął marchewkę z kosza jakiego wieśniaka, rzucił nią w Szastę z ochryplym śmiechem i zawołał:

- Hej, poganiaczu! Będiesz to jeść przez tydzień, kiedy twój pan dowie się, że używasz jego wierzchowca jak juczne zwierzę.

Chłopiec przeraził się, bo oznaczało to, że każdy, kto jako tako zna się na koniach, bez trudu rozpozna w Brim prawdziwego rumaka.

- Mój pan dobrze o tym wie - powiedział szybko - bo taka była jego wola.

Ale lepiej by zrobił, trzymając język za zębami, bo strażnik uderzył go pięścią w twarz, prawie zwalając z nóg, i dorzucił:

- A to jest moja wola! To cię powinno nauczyć, jak zwracać się do wolnego człowieka.

Nie zatrzymano ich jednak, a Szasta, który był przyzwyczajony do tęgich ciosów, wkrótce przestał płakać.

Za murami Taszbaan nie wyglądał już tak okazale jak z daleka. Pierwsza uliczka była wąska, zaś domy po obu jej stronach nie miały okien. Panował tu jeszcze większy tłok niż na moście. Prócz wieśniaków udających się na targ pełno było sprzedawców wody i słodczy, tragarzy, żołnierzy, żebraków, obszarpanych dzieci, kogutów, bezdomnych psów i bosych niewolników. Ale przede wszystkim uderzyła ich mieszanina okropnych zapachów: smród nie umytych ciał, brudnych psów, tanich pachnidel, czosnku, cebuli i piętrzących się wszędzie stosów śmieci.

Szasta szedł pierwszy, udając, że prowadzi, ale w rzeczywistości to Bri znał drogę i kierował, trącając go nosem w ramię w odpowiednich momentach. Wkrótce skręcili w lewo i zaczęli się wspinać wysadzaną drzewami ulicą. Powietrze było tu świeższe, a domy wznosiły się tylko po prawej stronie; po lewej widniały w dole dachy gęstych zabudowań dolnego miasta, opadającego aż do rzeki. Potem skręcili w prawo, na drogę wijącą się serpentynami w górę i doszli nią do centrum Taszbaanu. Ulice były tu szersze i czystsze, a po obu stronach napotykali raz po raz wielkie posągi bóstw i bohaterów Kalormenu, wznoszące się na wypolerowanych, błyszczących postumentach. Posągi robiły duże wrażenie, ale niezbyt przyjemne. Palmy i wysmukłe arkady rzucały ostre cienie na rozpalone od słońca płyty chodników, a poprzez zwieńczone wymyślnymi łukami bramy wielu mijanych pałaców Szasta dostrzegał zieleni drzew, chłodne fontanny i gładkie trawniki. „Tam się musi cudownie mieszkać!”, pomyślał.

Miał nadzieję, że wydostaną się wreszcie z tłumu, lecz za każdym zakrętem spotykał go zawód. Posuwali się bardzo powoli i raz po raz musieli się zatrzymywać. Co parę minut donośny głos wykrzykiwał: „Droga, droga, droga dla Tarkaana!” albo: „Droga dla Tarkiiny!”, albo: „Droga dla piętnastego wezyra!”, albo: „Droga dla ambasadora!” i tłum rozstępował się, przyciskając ich do murów, a Szaście udawało się czasem zobaczyć ponad głowami ludzi jakiegoś wielkiego pana lub wielką panią, dla których robiono całe to zamieszanie, rozpierających się w lektykach niesionych przez czterech lub nawet sześciu półnagich niewolników. W Taszbaanie obowiązuje bowiem tylko jedna zasada ruchu ulicznego: każdy, kto jest mniej ważny, musi ustąpić temu, kto jest bardziej ważny, jeśli nie chce zapoznać się bliżej z rzemieniem bicia lub tępym końcem włóczni.

Znajdowali się właśnie na wspaniałej ulicy biegnącej pod samym szczytem wzgórza (jedyną budowlą górującą nad nią był zamek Tisroka), gdy tuż przed nimi rozległ się donośny głos:

- Droga! Droga! Droga! Droga dla białego króla barbarzyńców, gościa Tisroka (oby żył wiecznie!) Droga dla narnijskich posłów!

Szasta chciał szybko zejść z drogi, lecz by to uczynić, musiał cofnąć Konia. Niestety, żaden koń, nawet mówiący koń z Narnii, nie potrafi szybko się cofnąć. Jakaś kobieta, trzymająca przed sobą bardzo kanciasty kosz, przycisnęła go do pleców Szasty, gderając: „Czego się tak rozpychasz!” Jednocześnie ktoś inny uderzył go boleśnie łokciem w bok i powstało małe zamieszanie, w trakcie którego Szasta wypuścił postronek z ręki. A potem zrobiło się za nim tak ciasno, że nie było mowy, aby się precyzyjnie do ściany. I w ten sposób, chcąc nie chcąc, znalazł się w pierwszym rzędzie, co pozwoliło mu widzieć dokładnie wszystko, co działo się na ogołconym z ludzi środku ulicy.

A było na co popatrzeć. Zbliżająca się do niego grupa ludzi niczym nie przypominała orszaków kalormeńskich wielmożów. Jedyńm Kalormeńczykiem był idący na przedzie herold, natarczywie domagający się wolnej drogi. Nie było też lektyk, wszyscy szli pieszo. Szasta nigdy jeszcze nie widział takich ludzi. Wszyscy - a w grupie było z pół tuzina mężczyzn - mieli jasną skórę, taką jak on, większość miała również jasne włosy. Ubrani byli inaczej niż Kalormeńczycy. Nie nosili spodni, lecz krótkie, sięgające kolan tuniki o pięknych, soczystych barwach: leśnozielonych, wesołozłoty lub świeżoniebieskich. Zamiast turbanów mieli stalowe lub srebrne kołpaki wysadzone drogimi kamieniami, zaś jeden - hełm z niewielkimi srebrnymi skrzydełkami po obu stronach. Każdy miał miecz u boku, długi i prosty. A zamiast ponurych i tajemniczych kalormeńskich twarzy Szasta widział jasne i pogodne twarze ludzi cieszących się z życia, swobodnych, roześmianych i dowcipkujących. Szli lekko i sprężysto, kołysząc ramionami, jeden pogwizdywał wesoło. Od razu było widać, że są to ludzie gotowi zaprzyjaźnić się z każdym, kto okaże im swoją przyjaźń, i nie ustępujący z drogi nikomu, kto okazałby im swoją wrogość. Byli to po prostu wspaniali ludzie i Szasta poczuł dziwne wzruszenie.

Nie miał jednak czasu, by nacieszyć się tym widokiem, bo oto zdarzyło się coś strasznego. Przywódca jasnowłosych mężów wskazał nagle na Szastę i zawołał:

- Patrzcie, jest tutaj! Jest nasz uciekinier! - Złapał go jedną ręką za ramię, a drugą dał mu kuksańca: nie tak brutalnego, by trzeba się było po nim rozplakać, lecz wystarczająco mocnego, by wiedzieć, że to nie żart, tylko gniew. - Wstydź się, mój panie! - dodał, potrząsając chłopcem mocno. - Wstyd! Królowa Zuzanna wypłakuje sobie oczy przez ciebie.

Słyszane rzeczy: nieobecny przez całą noc! Gdzie się podziewałeś?

Szasta chciał dać nurka pod brzuch Konia i zniknąć w tłumie, ale było za późno. Jasnowłosi mężowie otaczali go już ze wszystkich stron.

Oczywiście najpierw przyszło mu do głowy, by powiedzieć, że jest tylko synem biednego rybaka Arszisza i że ten cudzoziemski pan musiał go z kimś pomylić. Później zdał sobie sprawę, że wdawanie się w tłumaczenie, kim jest i co robi, byłoby zbyt ryzykowne, biorąc pod uwagę miejsce. Zapytają go od razu, skąd ma tego konia i kim jest Arawis - a wszystko to będzie się działo wobec zaciekawionego tłumu Kalormeńczyków - i przyjdzie się pożegnać z nadzieją na rychłe opuszczenie Tazsbaanu. Zrozpaczony spojrział na Konia, oczekując jakiejś pomocy, ale rumak nie zdradzał najmniejszej ochoty do pokazania całemu tłumowi, że potrafi mówić, i stał, wyglądając tak głupio, jak tylko koń może wyglądać. Co do Arawis, to Szasta nawet nie śmiał spojrzeć w jej stronę, by nie zwrócić na nią czyjejś uwagi. Nie było zresztą wiele czasu do namysłu, bo przywódca Narnijczyków powiedział:

- Weź jego wysokość za jedną rękę, Peridanie, a ja wezmę za drugą. No, idziemy. Nasza królewska siostra dozna wielkiej ulgi, kiedy zobaczy tego małego urwisa całego i zdrowego.

I w ten sposób wszystkie ich plany runęły, zanim zdołali przejść połowę Tazsbaanu. Szasta nie pożegnał się nawet ze swoimi towarzyszami, a już szedł, prowadzony gdzieś przez dziwnych przybyszów, nie mając zielonego pojęcia, co go czeka. Narnijski król - bo po sposobie, w jaki zwracali się do niego towarzysze, Szasta zaczął się domyślać, że musi być królem - wypytywał go wciąż, gdzie był, w jaki sposób się wymknął, gdzie podział swój strój i czy nie rozumie, że zachował się bardzo niegrzecznie.

Szasta nie odpowiedział na żadne pytanie, bo każda odpowiedź, jaka mu przychodziła do głowy, wydawała się zbyt niebezpieczna.

- Cóż to? Nie masz mi nic do powiedzenia? - zapytał król. - Muszę ci szczerze powiedzieć, mój książę, że to milczenie winowajcy jeszcze mniej przystoi twemu pochodzeniu niż sama ucieczka. Wymknąć się w nocy w poszukiwaniu przygody - to można jeszcze uznać za młodzieńczy wybryk, nawet za przejaw pewnej fantazji. Ale syn króla Archenlandii powinien mieć odwagę wyznać, co uczynił, a nie zwieszać głowę jak kalormeński niewolnik.

Nie było to przyjemne, bo Szasta od samego początku czuł, że ten młody król jest jednym z najmilszych dorosłych, jakich dotąd spotkał, i bardzo chciał zrobić na

nim jak najlepsze wrażenie.

Przybysze poprowadzili go - trzymając przez cały czas za obie ręce - wąską uliczką, potem jakimiś schodami w dół, i znowu w górę, aż doszli do szerokiej bramy w białym murze. Po obu jej stronach rosły wysokie, ciemne cyprysy. Kiedy przeszli przez bramę, Szasta znalazł się na dziedzińcu, który był jednocześnie ogrodem. Pośrodku lśniła w słońcu marmurowa sadzawka pełna kryształowej wody tryskającej z fontanny. Cały dziedziniec pokrywała gładko wystrzyżona trawa, z której wyrastały drzewka pomarańczy, a po białych murach pięły się róże. Hałas i kurz wypełniający zatłoczone ulice miasta zdawały się tu nie docierać. Poprowadzono go przez ogród, a następnie przez cienisty korytarz. Kamienne płyty cudownie chłodziły obolałe stopy chłopca. Weszli po schodach i nagle Szasta znalazł się w jasnej, przestronnej i przewiewnej komnacie. Wszystkie okna były otwarte i wszystkie wybiegały na północ, tak że nie docierał tu żar letniego dnia. Na posadzce leżał dywan o barwach tak pięknych, że trudno było je do czegokolwiek przyrównać, a kiedy szedł po nim, wydawało mu się, że stąpa po grubej warstwie delikatnego mchu. Pod ścianami stały niskie sofy zarzucone bogato haftowanymi poduszkami. Komnata pełna była ludzi; niektórzy - pomyślał Szasta - wyglądali bardzo dziwnie. Nie miał jednak czasu zastanowić się, co w nich dziwnego, gdyż na jego widok podniosła się z sofy najpiękniejsza pani, jaką kiedykolwiek widział, podeszła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję, pocałowała i powiedziała:

- Och, Korinie, Korinie, jak mogłeś! Przecież jesteśmy tak bliskimi przyjaciółmi od czasu śmierci twojej matki! A co powiedziałabym twojemu ojcu, gdybym wróciła bez ciebie? Przecież mogłoby z tego powodu dojść do otwartej wojny między Archenlandią i Narnią, a od niepamiętnych czasów żyjemy w przyjaźni. Bardzo nieładnie postąpiłeś, mój przyjacielu, bardzo nieładnie.

„Najwyraźniej myślę mnie z jakimś królewiczem z Archenlandii, gdziekolwiek to jest - pomyślał Szasta. - To muszą być Narnijczycy. Ale gdzie jest ten prawdziwy Korin?”

- Gdzie byłeś, Korinie? - zapytała pani, wciąż trzymając ręce na ramionach chłopca.

- Ja... ja nie wiem - wyjąkał.

- O to właśnie chodzi, Zuzanno - rzekł król.

- Nie mogłem z niego nic wyciągnąć: ani prawdy, ani zmyślenia.

- Wasze wysokości! Królowo Zuzanno! Królu Edmundzie! - rozległ się jakiś głos

i kiedy Szasta odwrócił głowę, by zobaczyć, kto mówi, aż go zatkało z wrażenia. Głos należał bowiem do jednej z owych niezwykłych istot, które spostrzegł kątem oka, gdy wchodził do komnaty. Był to młodzieniec tego samego wzrostu co Szasta, lecz chociaż od pasa w górę przypominał człowieka, to nogi miał gęsto owłosione jak koza i tego samego kształtu co koza, a na domiar wszystkiego miał kozie kopytka i ogon, czerwonawą twarz, spiczastą bródkę i dwa małe różki. Był to po prostu faun, istota, jakiej Szasta nigdy jeszcze nie widział - ani w życiu, ani na obrazku. Nie sądzę, by nawet o niej kiedykolwiek słyszał. A jeśli czytaliście opowieść pod tytułem *Lew, Czarownica i stara szafa*, miło wam będzie, gdy się dowiedziecie, że był to ten sam faun, pan Tumnus, którego spotkała siostra królowej Zuzanny, Łucja, kiedy znalazła się w Narnii po raz pierwszy. Teraz był jednak o wiele starszy, ponieważ w tym czasie Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja rządzą już Narnią od wielu lat.

- Wasze wysokości! - powtórzył faun. - Jego mała wysokość dostał porażenia słonecznego. Spójrzcie tylko na niego! Przecież jest zupełnie oszołomiony. On w ogóle nie wie, gdzie się znajduje!

I wówczas, oczywiście, wszyscy przestali Szastę besztać i zadawać mu pytania, ułożono go troskliwie na sofie, pod głowę podłożono mu poduszki, podano mrożony sorbet w złotym pucharze i powiedziano, aby sobie spokojnie odpoczywał.

Nic podobnego nie zdarzyło się dotąd Szaście w ciągu całego życia. Nigdy sobie nawet nie wyobrażał, że można leżeć na czymś tak wygodnym jak ta sofa,

i pić coś tak pysznego jak ten sorbet. Leżał więc cicho i nadal rozmyślał, co stało się z pozostałymi towarzyszami wędrówki, jak tu uciec i spotkać się z nimi przy Grobowcach, i co się stanie, gdy pojawi się prawdziwy Korin. Ale teraz, gdy było mu tak wygodnie i miło, nie przejmował się już zbytnio żadnym z tych kłopotliwych problemów. A może nieco później będzie też coś dobrego do jedzenia?

Zgromadzeni w przewiewnej komnacie członkowie narnijskiego poselstwa bardzo go zaciekawili. Oprócz fauna były tam dwa karły (takich istot też nigdy jeszcze nie widział) i olbrzymi kruk. Pozostali byli ludźmi - dorosłymi, ale młodymi - i wszyscy mieli o wiele przyjemniejsze twarze i głosy niż większość Kalormieńczyków. Wkrótce zainteresowała go też rozmowa, jaką prowadzili.

- A więc, pani - król zwracał się do królowej Zuzanny, owej damy, która pocałowała Szastę na powitanie - co o tym wszystkim sądzisz? Przebywamy w tym mieście pełne trzy tygodnie. Czy zdecydowałaś się już na poślubienie tego ciemnoskórego księcia Rabadasza, czy też nie?

Pani potrząsnęła głową. - Nie, mój bracie - odpowiedziała - nie poślubię go, choćby mi dawali wszystkie klejnoty Taszbaanu. - („To ciekawe - pomyślał Szasta - są królem i królową, a jednocześnie bratem i siostrą.”)

- Będę całkowicie szczery, siostró - rzekł król. - Chyba kochałbym cię mniej, gdybyś za niego wyszła. I powiem ci, że kiedy po raz pierwszy poselstwo Tisroka przybyło do Narnii, aby rozpocząć pertraktacje na temat małżeństwa, i później, gdy książę gościł u nas na Ker-Paravelu, dziwiłem się niezmiernie, że okazywałaś mu tyle łaskowości.

- To był mój okropny błąd, Edmundzie - powiedziała królowa Zuzanna - i błagam teraz o twą wyrozumiałość. Ale czyż książę nie zachowywał się zupełnie inaczej u nas, w Narnii, niż tu, w Taszbaanie? Czyż wszyscy tu obecni nie byli świadkami, jakich zadziwiających czynów dokonywał na wielkich turniejach i gonitwach, urządzanych na jego cześć przez naszego brata, Wielkiego Króla, i jaki był potulny i pełen dworskich manier przez te siedem dni, gdy przebywał w naszym towarzystwie? Dopiero tutaj, w swoim mieście, pokazał inne oblicze.

- Ach! - odezwał się kruk. - Jest takie stare powiedzenie: obejrzyj sobie niedźwiedzia w jego legowisku, zanim wypowiesz się na temat jego charakteru.

- Święta racja, Złotonogu - rzekł jeden z karłów. - A jest też inne porzekadło: poznasz mnie, kiedy ze mną zamieszkaż.

- Tak - rzekł król - teraz zobaczyliśmy, jaki on jest naprawdę; a jest najbardziej pyszałkowatym, krwawym, okrutnym, samolubnym i rozpasanym tyranem.

- A więc, w imię Aslana - powiedziała Zuzanna - jeszcze dziś wyjedźmy z Taszbaanu.

- Nie jest to takie proste, moja siostró - rzekł Edmund. - Nadeszła chwila, w której muszę wam wyznać, co dręczy mnie już od dwu dni. Peridanie, wyjrzyj z łaski swojej za drzwi, czy nie ma tam jakiegoś szpiega. Wszystko w porządku? To dobrze. Musimy być bardzo ostrożni.

Wszyscy spoważnieli. Królowa Zuzanna zeskoczyła z sofy i podbiegła do swego brata.

- Och, Edmundzie! - zawołała. - O co właściwie chodzi? Jest coś strasznego w twojej twarzy.

ROZDZIAŁ 5

KSIĄŻĘ KORIN

- MOJA UKOCHANA SIOSTRO i szlachetna pani - rzekł król Edmund - musisz teraz zebrać całą swą odwagę. Powiem bez ogródek: jesteście w poważnym niebezpieczeństwie.

- O czym ty mówisz, Edmundzie? - zdziwiła się królowa.

- Zaraz wam wszystko wyjaśnię - odrzekł Edmund. - Nie sądzę, żebyśmy mogli opuścić Taszbaan bez kłopotów. Dopóki książe miał nadzieję, że za niego wyjdiesz, byliśmy jego honorowymi gośćmi. Ale, na grzywę Lwa, jestem pewien, że gdy tylko otrzyma twoją odmowę, nie będziemy traktowani lepiej niż więźniowie.

Jeden z karłów cicho gwizdnął.

- Ostrzegałem wasze wysokości, ostrzegałem - odezwał się kruk Złotonóg. - Łatwo wejść, ale trudno wyjść, jak powiedział homar, siedząc w pułapce na homary.

- Widziałem się z księciem dzisiaj rano - ciągnął Edmund. - Nie jest to człowiek przyzwyczajony do tego, by się sprzeciwiano jego woli. Tym gorzej dla nas. Wcale nie ukrywa, że ma już dosyć twojego zwlekania z decyzją i wymijających odpowiedzi. Dziś rano nastawał bardzo ostro, bym zdradził mu twoje prawdziwe zamiary. Nie potraktowałem tego poważnie, licząc, że już samo to rozwieje jego nadzieje, i pozwoliłem sobie na parę znanych żartów na temat kobiecych fanaberii, napomknąłem też, że być może i jego zapal do ożenku nieco wygaś. Wtedy wyraźnie się wściekł i zaczął być groźny. Mówił wciąż z pełnym szacunkiem, z zachowaniem dworskich manier, lecz za każdym słowem czaiła się groźba.

- No tak - powiedział Tumnus. - Kiedy biesiadowałem wczoraj wieczorem z wielkim wezyrem, zachowywał się podobnie. Zapytał, jak mi się podoba Taszbaan. Odpowiedziałem (bo nie mogłem wyznać, że nienawidzę każdego kamienia w tym mieście, a nie chciałem kłamać), że teraz, w pełni lata, moje serce tęskni do chłodnych lasów i zielonych pagórków Narnii. Uśmiechnął się w sposób, który nie przypadł mi do gustu, i powiedział: „Nic nie stoi na przeszkodzie, byś sobie tam znowu hasał, mały kozionogu, o ile tylko nasz książe otrzyma rękę swojej narnijskiej wybranki”.

- Czy to oznacza, że mógłby mnie uczynić swą żoną wbrew mojej woli? - zawołała Zuzanna.

- Tego się właśnie obawiam, sioostro. Żoną lub niewolnicą, co gorsza.

- I myślisz, że naprawdę ośmieliliby się to uczynić? Czy Tisrok nie wie, że nasz brat, Wielki Król, nie ścierpiałby takiej zniewagi?

- Panie - rzekł Peridan do króla - przecież chyba nie są szaleni. Czyżby sądzili, że w Narnii brakuje mieczy i włóczy?

- Niestety - odpowiedział Edmund - podejrzewam, że Tisrok wcale się nie boi odwetu Narnii. Jesteśmy małym krajem, a małe kraje na granicach wielkiego mocarstwa zawsze są solą w oku jego władców. Tisrok aż się pali, by zagarnąć sąsiadujące z Kalormenem kraje i wymazać je z powierzchni mapy. Wcale bym się nie dziwił, gdyby wysłał księcia do Ker-Paravelu w roli starającego się o rękę Zuzanny tylko po to, aby znaleźć sobie jakiś pretekst do zagarnięcia naszych ziem. A najprawdopodobniej chce połączyć naraz i Narnię, i Archenlandię.

- Niech tylko spróbuje - odezwał się drugi karzeł. - Na morzu nasze siły są równe, a jeśli zaatakuje nas od strony lądu, będzie musiał najpierw przejść pustynię.

- Zgoda, mój przyjacielu - rzekł Edmund. - Ale czy ta pustynia naprawdę może nas uchronić przed niebezpieczeństwem? Co na to powie Złotonóg?

- Znam dobrze tę pustynię - powiedział kruk.

- Latałem nad nią nie jeden raz, wzdłuż i wszerz, gdy byłem młodszy. - (Możecie być pewni, że w tym momencie Szasta nadstawił uszu.) - Jedno jest pewne: gdyby Tisrok poszedł szlakiem wiodącym przez wielką oazę, nigdy by nie przeprowadził swej armii do Archenlandii. Bo chociaż Taszbaan dzieli od oazy najwyżej dzień marszu, to źródła są tam za mało wydajne, by napoić tylu żołnierzy i ich konie. Ale jest inna droga.

Szasta zaczął nadśłuchiwać z jeszcze większą uwagą.

- Ten, kto chce iść tą drogą - ciągnął kruk

- musi rozpocząć marsz przy Grobowcach Starożytnych Królów i posuwać się na północny zachód, mając zawsze przed sobą podwójny szczyt góry Pir. O jakiś dzień jazdy konno, a może trochę dalej, znajduje się wejście do wąwozu: wejście tak wąskie, że można być od niego z tysiąc razy w odległości ćwierci mili i nie wiedzieć, że coś takiego istnieje. Patrząc z tej skalnej bramy w dół wąwozu, nie zobaczy się zresztą ani trawy, ani wody, ani w ogóle niczego, co by zachęcało do dalszej drogi. Ale jeśli się pójdzie tym wąwozem, można dotrzeć do rzeki, a ta prowadzi już prosto do Archenlandii.

- Czy Kalormenńczycy znają ten zachodni szlak? - zapytała królowa.

- Przyjaciele, przyjaciele - przerwał im Edmund - cóż nam przyjdzie z takich rozważań? Nie zastanawiamy się przecież nad tym, czy Kalormen może zwyciężyć Narnię, gdyby wybuchła między nimi wojna. Zastanawiamy się, jak uratować honor

królowej i nasze własne gardła, czyli, mówiąc inaczej, jak wydostać się z tego piekielnego miasta. Bo gdyby nawet mój brat, Wielki Król Piotr, dziesięciokrotnie pobił Tisroka na głowę, to na długo przedtem poderzną nam tutaj gardła, a królowa zostanie żoną lub, co bardziej prawdopodobne, niewolnicą księcia Rabadasza.

- Mamy broń, królu - rzekł pierwszy karzeł - a ten dom całkiem nieźle nadaje się do obrony.

- Jeśli już o to chodzi - powiedział król - to nie wątpię, że każdy z nas drogo sprzeda swe życie, broniąc bramy tego domu oraz że mogą dostać królową, tylko przechodząc po naszych trupach. Ale nie łudźmy się: byłaby to walka szczurów złapanych w śmiertelną pułapkę. Nie mamy żadnych szans.

- Święta prawda - zakrakał kruk. - Te wszystkie opowieści o bohaterskiej walce do ostatka w jakimś domu są bardzo piękne, ale na tym się wszystko kończy. Po kilku nieudanych atakach wróg po prostu podpala dom.

- To ja jestem przyczyną tego wszystkiego! - zawołała Zuzanna, wybuchając płaczem. - Och, po co ja w ogóle opuszczałam Ker-Paravel! A tak cudownie było tego dnia, zanim przybyli posłowie z Kalormenu. Krety przygotowywały glebę pod nowy sad... i... och... och! - I ukryła twarz w dłoniach, głośno łkając.

- Odwagi, Zuziu, odwagi - rzekł Edmund. - Pamiętaj... ale co się z tobą dzieje, mistrzu Tumnusie?

- Bo oto faun złapał się za rogi, jakby próbował podnieść głowę swoimi własnymi rękami, wijąc się przy tym rozpaczliwie, jakby go coś okropnie bolało.

- Nie mówcie do mnie, nic nie mówcie - powiedział. - Ja MYŚLĘ. Myślę tak, że aż mnie zatyka. Poczekajcie, poczekajcie, błagam was, poczekajcie.

Zapadła pełna napięcia cisza, a po chwili faun popatrzył na nich, zrobił głęboki wdech, zmarszczył czoło i powiedział:

- Właściwie jedyna trudność polega na tym, jak dostać się do naszego okrętu... z jakimś prowiantem, rzecz jasna... tak aby nas nie zauważono i nie zatrzymano.

- Słusznie - odezwał się sucho jeden z karłów.

- To tak, jak z żebrakiem i jazdą konno: jedyna trudność polega na tym, że żebrak nie ma konia.

- Poczekajcie, poczekajcie - przerwał mu pan Tumnus niecierpliwie. - Brakuje nam tylko jakiegoś pretekstu, aby jeszcze dziś dostać się do portu i wejść na pokład naszego okrętu.

- W rzeczy samej - potwierdził król Edmund bez szczególnego zainteresowania.

- A więc - mówił dalej faun - co by było, gdyby tak wasze wysokości zaprosiły księcia na wielkie przyjęcie wydane na jego cześć NA POKŁADZIE naszego galeonu... powiedzmy jutro wieczorem? I niech to zaproszenie będzie wyrażone w tak uniżonych i wyszukanych słowach, jak to jest tylko możliwe bez narażania honoru królowej, tak aby dać księciu nadzieję, że może się spodziewać pomyślnej odpowiedzi...

- To bardzo dobra rada, miłościwy panie - zakrakał kruk.

- A jeśli tak - ciągnął Tumnus coraz bardziej podniecony - to nikt nie będzie się dziwił, że dzisiaj przez cały dzień wszyscy będziemy krzątać się przy galeonie i na jego pokładzie, bo przecież musimy poczynić przygotowania do przyjęcia. I niech część z nas uda się zaraz na targ i wyda wszystkie posiadane przez nas minimy u handlarzy owocami, słodyczami i winami, tak jakbyśmy rzeczywiście mieli wyprawić wielką ucztę. Można też nająć magików, żonglerów, tancerzy i grajków, mówiąc im, że mają się stawić na pokładzie jutro wieczorem...

- Ależ tak, rozumiem! - wykrzyknął król Edmund, zacierając dłonie.

- I w ten sposób - mówił faun - dziś wieczorem wszyscy będziemy na pokładzie okrętu. A jak tylko zrobi się ciemno...

- Wciągamy żagle i podnosimy wiosła! - dokończył król.

- I na pełne morze! - zawołał Tumnus, po czym podskoczył i zaczął tańczyć.

- Dziób skierowany na północ! - dodał pierwszy karzeł.

- I do domu! Niech żyje Narnia i Północ! - dorzucił drugi karzeł.

- Księżę budzi się następnego ranka, a tu jego ptaszki wyfrunęły! - wołał Peridan, klaszcząc głośnie.

- Och, mistrzu Tumnusie, kochany mistrzu Tumnusie! - powtarzała królowa, chwytając go za ręce i tańcząc z nim naokoło sali. - Uratowałeś nas wszystkich!

- Rabadasz będzie nas ścigał - odezwał się jeden z baronów, którego imienia Szasta jeszcze nie poznał.

- To najmniejszy powód do zmartwienia - rzekł Edmund. - Widziałem wszystkie ich statki na rzece: nie ma tam ani jednego okrętu wojennego z wysokim kasztelek i ani jednej szybkiej galery. Niech nas ściga! „Blask Szmaragdu” może zatopić każdą jednostkę, jaką Tisrok za nami wyśle - jeśli nas w ogóle doścignie.

- Królu - powiedział kruk - nie usłyszymy lepszego pomysłu, choćbyśmy tu radzili przez siedem dni. A teraz, jak to się u nas, ptaków, powiada: zanim zniesiesz jajko, zbuduj gniazdo. Co oznacza ni mniej, ni więcej, że trzeba coś zjeść i natychmiast zabrać się do roboty.

Wszyscy powstali z miejsc, a baronowie, karły, faun i kruk stanęli z boku, czekając, aż król i królowa pierwsi wyjdą z komnaty. Szasta zastanawiał się, co powinien teraz zrobić, gdy pan Tumnus powiedział do niego:

- Niech wasza książęca mość leży sobie spokojnie. Zaraz przyniosę coś do zjedzenia. Nie ma potrzeby ruszać się stąd do czasu, gdy będziemy gotowi do wymarszu.

Więc Szasta znów położył głowę na poduszkach, a za chwilę był już sam w komnacie.

„To wszystko jest okropne”, pomyślał. Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, by powiedzieć Narnijczykom całą prawdę i prosić ich o pomoc. Wychowany przez twardego, skąpego człowieka, jakim był Arszisz, Szasta miał mocno ugruntowany zwyczaj, by nigdy - jeśli to tylko możliwe - nie mówić nic dorosłym, bo zawsze można spotkać się albo z drwiną, albo z udaremieniem każdego zamiaru. Myślał też, że choć narnijski król może być dobry i uprzejmy dla koni, jako że należą do mówiących zwierząt z Narnii, mógłby się okazać niezbyt miły dla Arawis, która była Kalormenką; dla Szasty oznaczało to po prostu sprzedanie jej w niewolę lub odesłanie do ojca. Jeśli chodzi o niego samego, to „po prostu TERAZ nie mam odwagi powiedzieć im, że nie jestem księciem Korinem - myślał. - Słyszałem wszystkie ich plany. Kiedy się dowiedzą, że wcale nie jestem jednym z nich, nigdy mnie nie wypuszczą stąd żywego. Będą się obawiali, że zdradzę ich przed Tisrokiem. Mogą mnie zabić. A jeśli pojawi się prawdziwy Korin, wszystko się wyda i wtedy NA PEWNO mnie zabiją”. Jak sami widzicie, Szasta nie miał zielonego pojęcia, jak postępują szlachetni, wolno urodzeni ludzie.

- Co mam zrobić? Co mam zrobić? - powtarzał sam do siebie szeptem. - Co mam... uwaga, znowu tu idzie ten kozi stwór.

Faun wbiegł do komnaty krokiem bardziej przypominającym taniec niż zwykły trucht, trzymając w rękach tacę prawie tak dużą jak on sam. Postawił ją na inkrustowanym stoliku obok sofy, na której leżał Szasta, a sam usiadł ze skrzyżowanymi kozimi nogami.

- Bardzo proszę, moje książątko - powiedział.

- Radzę ci dobrze się najeść. Może to być twój ostatni posiłek w Taszbaanie.

Było to znakomite jedzenie, przyrządzone po kalormeńsku. Nie wiem, czy wam by odpowiadało, ale Szasta był zachwycony. Były tam homary, sałata, bekasy nadziewane migdałami i truflami, jakieś wyrefinowane danie złożone z kurzych

wątróbek, ryżu, rodzynek i orzechów, były mrożone melony, krem agrestowy i morwowy oraz wiele innych smakołyków zmieszanych z lodami. Była też mała karafka wina, które nazywają tutaj „białym”, choć naprawdę jest złote.

Gdy Szasta jadł, mały faun, przekonany, że chłopiec wciąż jest oszołomiony na skutek udaru słonecznego, opowiadał mu o cudownych chwilach, jakie go czekają po powrocie do domu; o jego dobrym, starym ojcu, archenlandzkim królu Lunie, i o zamczku na południowych stokach gór, w którym mieszka.

- I nie zapominaj - mówił Tumnus - że na przyszłe urodziny masz dostać swoją pierwszą zbroję i pierwszego bojowego konia. A wtedy wasza księżęca mość zacznie się uczyć, jak szarżować w bitwie i potykać się na turniejach. A król Piotr obiecał twemu ojcu, że za kilka lat, jeśli wszystko dobrze pójdzie, sam pasuje cię na rycerza w wielkiej sali tronowej Ker-Paravelu. Ale zanim się to stanie, będziemy się nieraz odwiedzać; droga z Narnii do Archenlandii lub z Archenlandii do Narnii nie jest daleka. Byle przejść przez góry! Pamiętasz, rzecz jasna, że obiecałeś spędzić ze mną cały tydzień na Święto Lata. Będą ognie sztuczne, będą całonocne tańce faunów i driad w sercu lasu, będzie... kto wie, może zobaczymy samego Aslana?!

Po jedzeniu faun poradził Szaście, aby o nic się nie martwił i leżał sobie spokojnie tam, gdzie leży.

- I nie zaszkodziłoby ci wcale, gdybyś się trochę przespał - dodał. - Kiedy będziemy wyruszać do portu, obudzę cię. A potem - do DOMU! Narnia i Północ!

Szaście tak smakował obiad i tak mu się podobało to, o czym mówił Tumnus, że po jego wyjściu zaczął myśleć o swojej sytuacji nieco inaczej. Teraz marzył tylko o tym, aby prawdziwy książę Korin nie pojawił się za wcześnie, tak aby on sam mógł popłynąć do Archenlandii na pokładzie narnijskiego galeonu. Obawiam się, że w ogóle nie myślał o tym, co się stanie z prawdziwym Korinem, jeśli zostanie sam w Tazbaanie. Jego nadzieje mąciła co prawda myśl o księżniczce Arawis i Koniu Brim, oczekujących na niego przy Grobowcach. Ale po chwili powiedział sobie: „Cóż, nie mam na to żadnego wpływu”, a potem: „A swoją drogą, ta Arawis uważa się za zbyt wielką panią, by podróżować ze mną, będzie więc miała okazję robić to sama”. Jednocześnie czuł, że o wiele przyjemniej jest podróżować do Narnii przez morze niż przez pustynię.

Kiedy już to wszystko przemyślał, zrobił to, co - jestem o tym przekonany - zrobilibyście i wy, gdyby was zbudzono bardzo wczesnym rankiem, kazano maszerować przez pół dnia, wplątano w niesłychanie groźną przygodę, a potem

poczęstowano wspaniałym obiadem i położono na miękkiej sofie w chłodnym pokoju, w głębokiej ciszy, przerywanej jedynie od czasu do czasu brzęczeniem pszczoły wlatującej lub wylatującej przez szeroko otwarte okno. Zasnął.

Obudził go hałas. Podskoczył na sofie i rozejrzał się wokół, a serce waliło mu jak młotem. Szybko zdał sobie sprawę, że spał kilka dobrych godzin; światło i cienie w komnacie były teraz zupełnie inne. Zobaczył też, co spowodowało hałas: kosztowna porcelanowa waza, która stała uprzednio na parapecie, leżała teraz na podłodze rozbita na jakieś trzydzieści kawałków. Natychmiast jednak co innego przykuło całkowicie jego uwagę. Ujrzał dwie ręce, które uchwyciły parapet, podczas gdy ich właściciel musiał wisieć po drugiej stronie. Widać było, że uchwyt staje się coraz mocniejszy, bo końce palców zbieleły, aż wreszcie w oknie pojawiła się głowa i ramiona. W chwilę później jakiś chłopiec w wieku Szasty siedział okrakiem na parapecie, z jedną nogą wiszącą wewnątrz, a drugą na zewnątrz.

Szasta nigdy jeszcze nie widział swojej twarzy w zwierciadle, a nawet gdyby widział, miałby święte prawo nie spostrzec, że ów chłopiec był podobny do niego jak jedna kropla wody do drugiej. W tej chwili chłopiec nie przypominał specjalnie nikogo, ponieważ jedno oko miał otoczone najczarniejszym w świecie siniakiem, brakowało mu zęba na samym przodzie, a jego strój (który kiedyś musiał być piękny i kosztowny) był brudny i poszarpany. W dodatku całą twarz miał powalaną błotem i krwią.

- Kim jesteś? - zapytał chłopiec szeptem.

- Czy to ty jesteś księciem-Korinem? - odpowiedział pytaniem Szasta. 'Ł.

- Oczywiście - zdziwił się tamten. - Ale kim ty jesteś?

- Jestem nikiem, to znaczy nikiem specjalnym - odparł Szasta. - Król Edmund złapał mnie na ulicy i pomylił z tobą. Chyba jesteśmy bardzo podobni do siebie. Czy uda mi się wydostać stąd tą samą drogą, jaką tu przyszedłeś?

- Tak, jeśli potrafisz się wspinać - odrzekł Korin. - Ale dokąd się tak spieszysz? Wiesz co, moglibyśmy zrobić parę niezłych kawałów, wykorzystując nasze podobieństwo!

- Nie, nie - powiedział szybko Szasta. - Musimy natychmiast zamienić się miejscami. Pan Tumnus okropnie by się przeraził, gdyby wrócił i zobaczył nas obu razem. Udawałem, że jestem tobą. A ty uciekłeś potajemnie w nocy. Gdzie się podziewałeś przez cały czas?

- Jakiś chłopak na ulicy zażartował sobie grubiańsko z królowej Zuzanny - rzekł

Korin - więc rąbnąłem go tak, że się przewrócił. Ale szybko się podniósł i wleciał z wrzaskiem do jakiegoś domu, a potem z tego domu wyszedł jego brat. Rąbnąłem więc jego brata i zacząłem uciekać, a potem wszyscy wpadliśmy na trzech ludzi z włóczyniami, których nazywa się tu Strażą. No, i tym razem nie dałem im rady. Zrobiło się już ciemno. Powiedzieli, że mnie gdzieś zamkną. Wobec tego zapytałem, czy nie mieliby przedtem ochoty na szklaneczkę wina, a oni, rzecz jasna, nie mieli nic przeciw temu. Weszliśmy do jakiejś winiarni, postawiłem im wino, usiedli, zaczęli pić, a ja dolewałem im tak szczerze, że wkrótce posnęli przy stole. Wtedy wyniosłem się po cichutku z winiarni, ale na ulicy znowu spotkałem tego chłopaka - tego, od którego wszystko się zaczęło. Musiałem więc przyłożyć mu jeszcze raz, po czym wdrapałem się po rynnie na dach jakiegoś domu i przeleżałem tam aż do świtu. Od tego czasu błąkałem się po mieście, usiłując odnaleźć naszą kwaterę. Słuchaj no, jest tu coś do picia?

- Niestety, wszystko wypilem - powiedział Szasta. - Pokaż mi teraz, jak się tu dostałeś. Nie ma ani chwili do stracenia. Radzę ci położyć się na tej sofie i udawać... aha, zapomniałem o twoich siniakach i podbitym oku. Będziesz musiał po prostu powiedzieć im prawdę, kiedy będę już daleko stąd.

- A co innego miałbym im powiedzieć, u licha? - zdziwił się książę. - Ale kim TY jesteś?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia - odpowiedział Szasta gorączkowym szeptem. - Wierzę, że jestem Narnijczykiem, w każdym razie pochodzę z Północy. Ale wychowałem się w Kalormenie. Uciekam stąd, przez pustynię, z mówiącym koniem, który nazywa się Bri. A teraz... szybko! Jak się stąd wydostać?

- Popatrz, musisz zeskoczyć z okna na dach tej werandy. Tylko zrób to umiejętnie, skacz na palce, bo ktoś cię usłyszy. Potem idź na lewo, do tamtego muru. Jeśli jesteś rzeczywiście dobry we wspinaczce, to wdrapiasz się na górę, a później pójdziesz po murze aż do rogu, a tam zobaczysz w dole wielką kupę śmieci. Wystarczy na nią zeskoczyć - i jesteś wolny.

- Dzięki - powiedział Szasta, siedząc już na parapecie. Chłopcy popatrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu i nagle poczuli, że są przyjaciółmi.

- Do zobaczenia - rzekł Korin. - Niech ci się poszczęści. Jestem pewien, że ci się uda.

- Do zobaczenia. Wiesz co, chyba czekają cię nie lada przygody.

- To nic w porównaniu z tobą - odpowiedział Korin. - Teraz skacz. Lekko,

mówiłem ci! - dodał, gdy Szasta skoczył. - Na pewno spotkamy się w Archenlandii. Idź do mojego ojca, króla Luny, i powiedz mu, że jesteś moim przyjacielem. Uważaj! Chyba ktoś idzie.

ROZDZIAŁ 6

SZASTA WSROD GROBOWCÓW

SZASTA POBIEGŁ NA PALCACH. Rozgrzany dach parzył go w bose stopy. W ciągu paru sekund wspiął się na mur, a kiedy dotarł do jego rogu, zobaczył w dole wąską, cuchnącą uliczkę. Tuż pod murem piętrzyła się wielka kupa śmieci. Zanim zeskoczył, rozejrzał się wokoło, aby ustalić, gdzie się znajduje. Nie ulegało wątpliwości, że kwatery Narnijczyków leży już poza szczytem wzgórza, na którym zbudowany był Taszbaan. Przed nim rozpościerało się zbocze, pokryte szczelnie płaskimi dachami domów opadających tarasowato aż do obwarowań i baszt północnego muru miasta. Za murem widać było rzekę, a za rzeką wąski pas ogrodów na łagodnym zboczu doliny. Ale poza zielenią nadbrzeżnych ogrodów rozpoczynało się coś, czego nigdy jeszcze nie widział: rozległa, żółtoszara równina, płaska jak spokojne morze. A na jej dalekim krańcu, już na widnokręgu, majaczyły błękitne, poszczerbione kształty; na najwyższych białeły śnieżne czapy. „Pustynia! Góry!”, pomyślał.

Zeskoczył na kupę śmieci i zaczął biec wąską uliczką tak szybko, jak potrafił. Wkrótce dobiegł do szerokiej ulicy pełnej ludzi. Nikt nie zwracał uwagi na bosego chłopca w łachmanach. Odetchnął jednak z ulgą, gdy minął róg ulicy i zobaczył przed sobą bramę miejską. Tutaj wchłonął go gęsty, rozpychający się tłum ludzi opuszczających miasto. Na wąskim moście za bramą posuwał się wolno w długim rzędzie, bardziej przypominającym kolejkę do sklepu niż uliczny tłum. Ale tu, w świeżym powiewie znad czystej rzeki, oddychało się zupełnie inaczej niż w gorących, dusznych i hałaśliwych uliczkach Taszbaanu.

Kiedy dotarł do końca mostu, zobaczył, że tłum rozchodzi się na lewo i na prawo, wzdłuż biegu rzeki. Szasta poszedł prosto i znalazł się na mało uczęszczanej drodze wiodącej przez ogrody; po kilkunastu krokach ludzie znikli w ogóle. Droga zaprowadziła go na szczyt zbocza. Tu stanął i patrzył przed siebie z otwartymi szeroko ustami, bo to, co zobaczył, wyglądało jak koniec świata. Kilka metrów przed nim trawa urywała się nagle i zaczynał piasek - nie kończąca się płaszczyna piasku jak na jakiejś rozległej plaży, tyle tylko, że tu powierzchnia była bardziej pofałdowana, bo nigdy nie zmywała jej woda. Daleko, na widnokręgu, majaczyły góry. A nieco w lewo, w odległości zaledwie kilku minut marszu, zobaczył ku swej radości Grobowce, takie, jak je opisał Bri: wielkie stosy kamieni, przypominające olbrzymie ule, bardzo ponure i czarne, bo słońce znajdowało się już nisko, dokładnie za nimi.

Szasta bez wahania pobiegł w ich kierunku. Wypatrywał śladów swoich przyjaciół, lecz padające mu prosto w oczy promienie słońca prawie go oślepiły. „Zresztą i tak na pewno czekają po drugiej stronie najdalszego Grobowca, a nie tu, gdzie mógłby ich dostrzec ktoś z miasta”, pomyślał.

Grobowców było ze dwanaście, każdy z nisko sklepionym wejściem, z którego ziała absolutna ciemność. Rozrzucone były dość bezładnie, w różnych odległościach, tak że sporo czasu zabrało mu obejście każdego ze wszystkich stron. W końcu uzyskał pewność, że żadnego nie ominął. Niestety, nikt tu na niego nie czekał.

Słońce zaczęło zachodzić. Na skraju rozległej, martwej pustyni panowała całkowita cisza.

Nagle, gdzieś poza nim, rozległ się straszny dźwięk. Serce podskoczyło mu do gardła i musiał ugryźć się w język, aby nie wrzasnąć ze strachu. W następnej chwili przypomniał sobie, co to za dźwięk: to zagrzmiały rogi Taszbaanu oznajmiające zamknięcie bram. „Nie bądź głupcem, mały tchórze - rzekł do siebie. - Przecież słyszałeś to już dziś rano.” Jest jednak duża różnica między dźwiękiem oznajmianym, że można rano wejść do miasta wraz z przyjaciółmi, a tym, który oznacza, że przez całą noc nie będzie można do miasta powrócić. Co więcej, oznaczało to również, że po zamknięciu bram nie może już liczyć na to, iż pozostali dotrą do Grobowców tego wieczoru. „Albo nie zdążyli i są zamknięci w mieście aż do rana - pomyślał Szasta - albo też byli już tutaj i poszli dalej beze mnie. Bardzo by to pasowało do tej całej księżniczki Arawis. Ale Bri... nie, on by mnie nie zostawił. Tylko, czy na pewno? A może się jednak mylę?”

Pewne jest, że Szasta mylił się całkowicie co do księżniczki Arawis. Była dumna i potrafiła być niemiła, ale była też uczciwa i nieugięta jak stal i nigdy by nie zostawiła towarzysza podróży samego, obojętne, czy go lubiła, czy też nie.

Teraz, gdy Szasta już wiedział, że będzie musiał spędzić samotnie noc (z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej), całe to miejsce zaczynało mu się coraz mniej podobać. Było coś nieprzyjemnego w tych wielkich, milczących kształtach z kamieni. Przez dłuższy czas udawało mu się nie myśleć o upiorach, ale w końcu musiał się poddać.

- Auuuu! Ratunku! - wrzasnął nagle rozpaczliwie, bo poczuł, że coś otarło się o jego nogi. Myślę, że nikogo nie można potępiać za wrzaśnięcie, gdy coś wyłazi mu zza pleców i niespodziewanie dotyka, zwłaszcza gdy dzieje się to w takim miejscu i w takim czasie. W każdym razie Szasta tak się przeraził, że nie potrafiłby nawet uciec.

Byłoby to zresztą najgorsze: być ściganym wokół Grobowców Starożytnych Królów przez coś, na co nie ma się odwagi nawet spojrzeć. Zamiast uciekać, zrobił to, co było naprawdę najrozsądniejszą rzeczą, jaką mógł zrobić. Po prostu spojrzął za siebie i natychmiast odczuł wielką ulgę. Tym czymś, co go zniecka dotknęło, był po prostu kot.

Zrobiło się już zbyt ciemno, aby Szasta mógł dostrzec coś więcej ponad to, że kot jest duży i bardzo dostojny. Wyglądał tak, jakby żył sam jeden wśród tych Grobowców przez wiele, wiele lat. W jego oczach kryło się coś, co kazało przypuszczać, że zna tajemnice, których nie chce zdradzić byle komu.

- Kici, kici - przywitał go Szasta. - Chyba nie jesteś MÓWIĄCYM kotem?

Kot popatrzył na niego uważnie, po czym odwrócił się i zaczął odchodzić w sposób tak znaczący, że Szasta bez wahania poszedł za nim. Kot poprowadził go między Grobowcami, a potem poza nie, w stronę pustyni. Tam usiadł, wyprostowany, z ogonem owiniętym wokół łap i pyskiem skierowanym ku pustyni, ku Narnii i Północy, jakby się stamtąd spodziewał jakiegoś wroga. Szasta położył się na piasku tuż przy nim, twarzą do Grobowców, bo kiedy ktoś się czegoś boi, nie ma nic lepszego, jak mieć na oku niepokojące miejsce, a za plecami coś ciepłego i w miarę stałego. Nie sądzę, by dla was piasek był wygodnym posłaniem, ale Szasta sypiał na ziemi bardzo często, więc wcale się tym nie przejął. Wkrótce zasnął, choć nawet we śnie nie przestawał się martwić, co mogło się stać z Brim, księżniczką Arawis i kłaczą Hwin.

Przebudził go dźwięk, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie słyszał. „Może mi się to tylko przyśniło”, pomyślał. W tej samej chwili uświadomił sobie, że kota już nie ma, a w chwilę potem, że na pewno wolałby, żeby był. Leżał jednak wciąż bez ruchu i nie otwierał oczu, bo wiedział, że będzie się bał jeszcze bardziej, gdy usiadzie i zobaczy Grobowce, ciemność i to, że jest zupełnie sam. Mam nadzieję, że rozumiecie, co czuł, i na pewno sami leżelibyście z koszulą na głowie, gdyby nagle w nocy obudził was jakiś okropny dźwięk. Sądzę, że i ja zrobiłbym to samo. A dźwięk rozległ się ponownie: ostry, przenikliwy krzyk dochodzący wyraźnie spoza jego pleców, z pustyni. Teraz Szasta otworzył oczy i szybko usiadł.

Księżyc świecił jasno. Grobowce - o wiele większe i bliższe, niż się spodziewał - szarzały opodal w jego świetle. Wyglądały niesamowicie i strasznie, jak olbrzymy w szarych habitach zakrywających im głowy i twarze. W każdym razie nie było to najprzyjemniejsze sąsiedztwo dla kogoś, kto miał spędzić samotnie noc w dziwnym i obcym miejscu. Ale straszny krzyk rozległ się wyraźnie z przeciwnej strony, z pustyni.

Szasta odwrócił się plecami do Grobowców (choć nie bardzo mu się to podobało) i wpatrzył się w pustynię. Dzikie krzyki zabrzmiały ponownie.

„Mam nadzieję, że nie są to znowu lwy”, pomyślał. I rzeczywiście, głos nie przypominał zbyt ryku lwa, jaki słyszał tej nocy, gdy spotkał Hwin i Arawis. Był to bowiem krzyk szakala, ale Szasta o tym nie wiedział. A nawet gdyby wiedział, to nie sądzę, by miał wielką ochotę na spotkanie z szakalem.

Krzyki rozlegały się raz po raz. „Cokolwiek to jest, musi być tego kilka sztuk - pomyślał chłopiec. - I chyba są coraz bliżej.”

Przypuszczam, że gdyby był naprawdę rozsądnym chłopcem, uciekłby gdzieś w kierunku rzeki, gdzie były domy i gdzie dzikie zwierzęta nie odważyłyby się podejść. Ale oprócz dzikich zwierząt są na świecie upiory (a przynajmniej Szasta w to wierzył). Ucieczka w stronę rzeki oznaczałaby wejście między Grobowce z ich ziejącymi ciemnościami otworami. Co mogło z nich wyleźć? Może i było to nierozsądne, ale Szasta czuł, że z dwojga złego woli już dzikie zwierzęta. Dopiero wówczas, gdy krzyki stały się bardzo bliskie, zaczął zmieniać zdanie.

Właśnie zamierzał uciec w kierunku Grobowców, gdy nagle od strony pustyni pojawiło się jakieś olbrzymie zwierzę. Księżyc był poza nim, widać więc było jedynie czarny kształt. Szasta dostrzegł tylko, że zwierzę ma wielką, kudłatą głowę i chodzi na czterech łapach. Nic nie wskazywało na to, by zauważyło chłopca. Przystanęło, odwróciło łeb w kierunku pustyni i wydało z siebie ryk, który odbił się echem o Grobowce, a Szasta poczuł, że piasek zdrzął pod jego stopami. Krzyki owych innych stworzeń nagle ucichły i wydawało mu się, że słyszy oddalające się kroki. A potem wielkie zwierzę odwróciło łeb i popatrzyło na Szastę.

„To jest lew, tak, wiem, że to lew - poraziła Szastę przerażająca myśl. - Już po mnie. Ciekaw jestem, czy to będzie bardzo bolało. Och, żeby już było po wszystkim. Oooooch! Podchodzi!” Zamknął oczy i zacisnął mocno zęby.

Ale zamiast klów i pazurów poczuł na stopach coś ciepłego. „Ojej, przecież ono wcale nie jest takie duże, jak mi się wydawało! Jest chyba o połowę mniejsze. Ale nie, jeszcze mniejsze. Przecież to tylko kot! Musiało mi się chyba przyśnić, że był wielki jak koń.”

I czy naprawdę śnił przed chwilą, czy też nie, to, co leżało teraz u jego stóp i patrzyło na niego wielkimi, nieruchomymi, zielonymi oczami, było naprawdę kotem, choć z całą pewnością był to kot dużo większy od tych, jakie dotychczas widywał.

- Och, kiciu - wysapał Szasta - jakże się cieszę, że znowu jesteś. Miałem

okropne sny. - I położył się ponownie na piasku, przytulając plecami do grzbietu kota, tak jak przedtem, na początku nocy. Przeniknęło go miłe ciepło.

- Nigdy, do końca życia, nie zrobię już nic złego żadnemu kotu - powiedział trochę do siebie, a trochę do kota. - Bo, widzisz, raz coś takiego zrobiłem. Rzuciłem kamieniami w jednego takiego przybłądę, wygłodniałego i zabiedzonego. Hej! Przestań! - zawołał, bo kot odwrócił się i drapnął go lekko pazurem. - Coś podobnego! Zupełnie, jakby rozumiał, co mówię.

Gdy obudził się następnego ranka, kot zniknął. Słońce już wstało i piasek zaczynał parzyć. Usiadł, trąc oczy i czując dotkliwe pragnienie. Pustynia była oślepiająco biała i chociaż od strony miasta dobiegał cichy gwar, tu panowała całkowita cisza. Popatrzył w lewo, na zachód, by słońce nie świeciło mu prosto w oczy, i zobaczył góry na dalekim krańcu pustyni, teraz tak ostre i wyraźne, że wydawało się, jakby leżały o rzut kamieniem stąd. Na jeden zwłaszcza wierzchołek zwrócił szczególną uwagę, bo jego podwójny szczyt wskazywał, że musi to być góra Pir. „Zgodnie z tym, co mówił kruk, to jest nasz kierunek. Warto go zaznaczyć, żeby nie marnować czasu, kiedy nadejdą inni.” Wyźłobił więc stopą w piasku głęboką, prostą strzałę, wskazującą na górę Pir.

Teraz trzeba było zdobyć coś do jedzenia i picia. Szasta pobiegł między Grobowcami - w dzień wyglądały zupełnie zwyczajnie i dziwiło go, że można się było ich kiedykolwiek bać - ku ogrodom na brzegu rzeki. Bramy miejskie otwarto już kilka godzin temu i poranne tłumy zdążyły wejść do miasta. Nie miał więc trudności w dokonaniu niewielkiego „wypadu” (jak by nazwał to Bri). Polegał on na pokonaniu muru otaczającego jeden z ogrodów i zarekwirowaniu trzech pomarańczy, melona oraz kilku fig i granatów. Potem zszedł nad rzekę w bezpiecznej odległości od mostu, żeby się napić. Woda była tak przyjemna, że zdjął brudne, nagrzane ubranie i wskoczył do rzeki; mieszkając przez całe życie nad morzem, od dziecka potrafił świetnie pływać. Po kąpieli położył się na trawie, patrząc przez rzekę na Taszbaan w całej jego świetności, potędze i chwale. Ale widok ten przypominał mu o zagrożeniu. Zdał sobie sprawę, że jego towarzysze mogli dojść do Grobowców, podczas gdy on pływał w rzece („i pójść sobie dalej beze mnie, jak amen w pacierzu”), więc ubrał się w popłochu i pobiegł z powrotem tak szybko, że gdy dotarł do skraju pustyni, znowu był zgrzany i spragniony.

Tak jak większość dni, w których jest się samotnym i czeka na coś, tak i ten dzień zdawał się liczyć ze sto godzin. Szasta miał nad czym rozmyślać, ale takie

samotne siedzenie i rozmyślanie okropnie się dłuży. Myślał o Narnijczykach, a zwłaszcza o Korinie. Ciekaw był, co się stało, gdy odkryli, że chłopiec, który leżał na sofie i poznał ich skryte plany, nie był wcale Korinem. Myślał o tych wszystkich miłych ludziach, a pewność, że uważają go teraz za szpiega i zdrajcę, nie była wcale przyjemna.

Kiedy jednak słońce powoli, powoli wspięło się na szczyt swojej niebieskiej drogi, a potem powoli, powoli zaczęło zniżać się ku zachodowi i nikt nie przychodził, i w ogóle nic się nie działo, Szasta czuł narastający niepokój. Teraz sobie uświadomił, że kiedy się umawiali przy Grobowcach, nikt nie powiedział, JAK DŁUGO mają na siebie czekać. Przecież nie może tu siedzieć i czekać na nich bez końca! A niedługo znowu zrobi się ciemno i znowu będzie musiał spędzić samotnie noc. Przez głowę przechodziły mu coraz to nowe pomysły - jedne gorsze od drugich - aż wreszcie zdecydował się na najgorszy ze wszystkich. Postanowił poczekać, aż się ściemni, wrócić nad rzekę, ukraść tyle melonów, ile zdoła unieść, i wyruszyć samotnie ku górze Pir. Był to zwariowany pomysł i gdyby Szasta przeczytał tyle książek podróżniczych, ile wy, nigdy by mu nie przyszło do głowy, żeby coś takiego zrobić. Ale Szasta w ogóle nie czytał książek.

Zanim słońce zaszło, coś jednak się wydarzyło. Siedział w cieniu jednego z grobowców, kiedy zobaczył zbliżające się ku niemu dwa konie. Serce podskoczyło mu z radości, rozpoznał bowiem Briego i Hwin. Ale nie cieszył się długo... Nie było śladu po księżniczce Arawis. Konie prowadził jakiś nie znany mu mężczyzna, uzbrojony i bogato ubrany, jak wyższy rangą niewolnik z jakiegoś znacznego domu. Konie nie udawały już zwierząt jucznych, lecz były wyczyszczone i osiodłane. Co to wszystko miało znaczyć? „To pułapka”, pomyślał Szasta. „Ktoś uwięził Arawis i torturami wszystko z niej wyciągnął. Teraz czekają tylko, aż wyskoczę, żeby przywitać się z Brim, a wtedy mnie złapią! Ale jeśli tego nie zrobię, mogę stracić ostatnią szansę, aby się z nimi spotkać. Och, jak bym chciał wiedzieć, co mam zrobić!” I przycupnął za Grobowcem, wyglądając zza niego ostrożnie co jakiś czas i łamiąc sobie głowę nad tym, co będzie najmniej niebezpieczne.

ROZDZIAŁ 7

KSIĘŻNICZKA ARAWIS W TASZBAANIE

A OTO, CO SIĘ NAPRAWDĘ WYDARZYŁO. Kiedy Arawis zobaczyła, jak Narnijczycy zabierają ze sobą Szastę, nie straciła głowy, lecz szybko złapała uzdę Briego. Choć serce waliło jej jak młotem, stała cicho, trzymając oba konie, które również (bardzo rozsądnie) nie zdradzały się z umiejętnością mówienia ludzkim głosem. Gdy tylko narnijscy baronowie odeszli, chciała pójść dalej. Ale nie zdołała zrobić nawet jednego kroku, gdy inny herold („Och, niech piekło pochłonie tych wszystkich ludzi”, pomyślała) zaczął wykrzykiwać tuż przed nią: „Droga! Droga! Droga dla Tarkiiny Lasaraliiny!” i nagle pojawiło się czterech tragarzy niosących lektykę uskrzydloną zwiewnymi jedwabnymi zasłonami i rozdzwonioną srebrnymi dzwoneczkami. Ulicę wypełnił zapach perfum i kwiatów. Za lektyką szły niewolnice w pięknych strojach, a za nimi grupa szambelanów, gońców, paziów i innych sług. I wtedy Arawis popełniła pierwszy błąd.

Znała Lasaraliinę bardzo dobrze - prawie tak, jakby chodziły razem do szkoły - ponieważ obie często bywały w tych samych domach i na tych samych przyjęciach. I niestety, Arawis nie mogła wytrzymać, żeby nie podnieść głowy i nie popatrzeć, jak Lasaraliina teraz wygląda - teraz, kiedy wyszła za mąż i była naprawdę ważną osobą.

Był to fatalny błąd. Spojrzenia obu dziewcząt spotkały się. Lasaraliina natychmiast usiadła w lektyce i zapiszczała podnieconym głosem:

- Arawis!! Co ty tu robisz? Twój ojciec...

Nie było chwili do stracenia. Arawis bez namysłu puściła oba konie, złapała za brzeg lektyki i wskoczyła do środka, szepcząc do ucha zdumionej przyjaciółki:

- Cicho bądź, słyszysz! Nic nie mów. Musisz mnie ukryć. Każ swoim ludziom...

- Ależ moja kochana... - zaczęła Lasaraliina

tym samym donośnym piskiem (nie miała nic przeciwko temu, by się na nią gapiono, wręcz przeciwnie).

- Rób, co ci mówię, albo już nigdy się do ciebie nie odezwę - syknęła Arawis. - Błagam cię, zrób to szybko, Liino. To okropnie ważne. Każ swoim ludziom zabrać te dwa konie. Opuść zasłony i zaprowadź mnie gdzieś, gdzie mnie nie znajdą. I POSPIESZ się!

- Dobrze już, dobrze, moja kochana - powiedziała Lasaraliina swoim leniwym głosem. - Hej, niech dwu z was weźmie konie Tarkiiny. A teraz - do domu. Słuchaj, złotko, czy ty myślisz, że naprawdę chcemy mieć opuszczone zasłony w taki dzień?

Chodzi mi o to, że...

Ale Arawis już opuściła zasłony, zamykając siebie i przyjaciółkę w czymś, co przypominało bogaty i pachnący, lecz raczej nieco duszny namiot.

- Nie chcę, by mnie widziano. Mój ojciec nie wie, że tutaj jestem. Uciekłam.

- To wszystko jest strasznie podniecające - powiedziała Lasaraliina. - Umieram z ciekawości. Kochanie, siedzisz na mojej sukni. O, teraz lepiej. To zupełnie nowa suknia. Podoba ci się? Dostałam ją w...

- Och, Liino, bądź poważna - przerwała jej Arawis. - Gdzie jest mój ojciec?

- To ty nic nie wiesz? Jest tu, w Taszbaanie. Przybył wczoraj i wszędzie o ciebie rozpytuje. Och, pomyśleć, że jesteśmy tu we dwie, w mojej lektyce, a on nic o tym nie wie! To najzabawniejsza rzecz, o jakiej słyszałam. - I zaczęła chichotać. Arawis przypomniała sobie, że Lasaraliina zawsze była okropną chichotką.

- To wcale nie jest zabawne - powiedziała. -. To bardzo poważna sprawa. Gdzie możesz mnie ukryć?

- Z tym nie będzie żadnych trudności, moja droga. Zabiorę cię do siebie. Mojego męża akurat nie ma i nikt cię nie zobaczy. Uff! To żadna przyjemność, z tymi zasłonami. Chcę widzieć ludzi. Przecież to bez sensu mieć nową suknię i siedzieć w lektyce z opuszczonymi zasłonami.

- Mam nadzieję, że nikt nie słyszy, jak do mnie wrzeszczysz - przerwała jej ze złością Arawis.

- Ależ nie, oczywiście, moja kochana - odrzekła Lasaraliina bezmyślnym tonem.

- Ale nawet mi jeszcze nie powiedziałaś, co myślisz o tej sukni.

- I jeszcze jedno - powiedziała Arawis. - Musisz powiedzieć swoim ludziom, żeby traktowali te konie z szacunkiem. To jest część mojej tajemnicy. To są naprawdę mówiące konie z Narnii.

- Niemożliwe! - krzyknęła Lasaraliina. - Och, jakie to podniecające! Kochana, czy widziałaś tę barbarzyńską królową z Narnii? Właśnie jest w Taszbaanie. Mówią, że książę Rabadasz zupełnie zwariował na jej punkcie. Przez całe ostatnie dwa tygodnie było tu mnóstwo cudownych przyjęć, polowań i różnych innych zabaw. Dla mnie ona wcale nie jest taka piękna. Za to niektórzy Narnijczycy z tego poselstwa są naprawdę wspaniali! Przedwczoraj było przyjęcie na rzece, miałam na sobie swoją...

- Co zrobimy, żeby twoja służba nie rozpowiedziała wszystkim, że masz w domu gościa, ubranego jak dziecko żebraka? Mogłoby to szybko dojść do mojego ojca.

- Przestań się wreszcie tym wszystkim zamartwiać, moja kochana. Zaraz

dostaniesz coś odpowiedniego. O, jesteśmy na miejscu!

Tragarze zatrzymali się, postawili lektykę i podnieśli zasłony. Arawis zobaczyła, że są w pałacowym ogrodzie, bardzo zresztą podobnym do tego, w jakim znalazł się Szasta kilka minut wcześniej. Lasaraliina już pędziła do środka, gdy Arawis przypomniała jej wściekłym szeptem, że miała zakazać niewolnikom mówienia komukolwiek o dziwnym gościu swej pani.

- Och, wybac mi, kochanie, zupełnie mi to wyleciało z głowy - powiedziała Lasaraliina. - Hej, wy wszyscy, i odźwierny, do mnie! Niech nikt z was nie śmie dziś opuszczać domu. A jeśli przyłapię kogoś na tym, że rozpowiada o tej młodej damie, to najpierw każę go zachłostać na śmierć, potem spalić żywcem, a potem będzie trzymany o chlebie i wodzie przez sześć tygodni. To wszystko.

Chociaż Lasaraliina zapewniała uprzednio, że wprost umiera z ciekawości, by poznać historię Arawis, teraz nie sprawiała wrażenia, żeby naprawdę chciała jej wysłuchać. Prawdę mówiąc, czuła się o wiele lepiej, gdy sama mówiła, niż gdy kogoś słuchała. zaproponowała Arawis długą, luksusową kąpiel (kalormeńskie łaźnie są słynne na całym świecie), a potem zaczęła ją stroić, robią przy tym tyle zamieszania, że Arawis była u granic wytrzymałości. Przypomniała sobie, że jej przyjaciółka zawsze taka była: zajmowały ją tylko stroje, przyjęcia i plotki. Arawis natomiast interesowała się bardziej lukami, strzałami, końmi i pływaniem. Nietrudno się domyślić, że każda uważała drugą za głupią gęś. Ale kiedy po posiłku (składającym się głównie z bitej śmietany, galaretek, owoców i lodów) usiadły w końcu w uroczej, otoczonej kolumnami komnacie (która podobałaby się Arawis bardziej, gdyby rozpieszczona małpka Lasaraliiny nie grasowała po niej przez cały czas), pani domu zapytała ją w końcu rozleniwionym głosem, dlaczego uciekła z domu.

Kiedy Arawis skończyła swą opowieść, Lasaraliina spytała:

- Ależ, moja kochana, dlaczego właściwie nie chcesz poślubić Ahoszty Tarkaana? Wszyscy wariują na jego punkcie. Mój mąż mówi, że Ahoszta zaczyna być jednym z najpotężniejszych ludzi w Kalormenie. Właśnie został wielkim wezyrem po śmierci starego Aksarty. Nie wiedziałaś o tym?

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie mogę znieść jego widoku - odpowiedziała Arawis.

- Ależ, kochana, pomyśl tylko! Trzy pałace, w tym ten cudowny, na jeziorze Ilkeen. Mówiono mi, że ma też całe sznury pereł, możesz być tego pewna. Kąpiele w oślim mleku... No, i będziesz mogła często widywać MNIE.

- Jeśli chodzi o mnie, to może sobie zatrzymać te pałace i perły.

- Wiesz, ty zawsze byłaś trochę dziwna. Czego można jeszcze więcej chcieć?

W końcu Arawis zdołała jednak przekonać przyjaciółkę, że naprawdę chce uciec, a nawet omówić z nią konkretny plan. Nie będzie trudności z przeprowadzeniem dwu koni przez Północną Bramę, a później z dotarciem do Grobowców. Nikt nie ośmielił się zatrzymać lub wypytywać dobrze ubranego szambelana, prowadzącego nad rzekę bojowego rumaka i osiodłaną klacz, a Lasaraliina miała wielu szambelanów. Nieco trudniej było postanowić, co zrobić z samą Arawis.

Księżniczka proponowała, by ją wyniesiono w lektyce z opuszczonymi zasłonami, ale Lasaraliina powiedziała, że lektyk używa się tylko w mieście i mogłoby to wzbudzić podejrzenia.

Rozmowa ciągnęła się i ciągnęła, bo Arawis tylko z najwyższym trudem udawało się utrzymać uwagę przyjaciółki na jednym temacie. W końcu Lasaraliina klasnęła w dłonie i zawołała:

- Och, mam pomysł! Jest JEDEN sposób wymknięcia się z miasta bez przechodzenia przez bramy. Ogrody Tisroka (oby żył wiecznie!) ciągną się aż do rzeki i tam, nad samym brzegiem, jest w murze furtka. Używana jest tylko przez ludzi z pałacu, ale wiesz przecież, moja kochana - tu zachichotała - że my właściwie NALEŻYMY do dworu, och tak, to jest pomysł, masz szczęście, że spotkałaś właśnie MNIE. Kochany Tisrok (oby żył wiecznie!) jest taki uroczy! Jesteśmy zapraszani do pałacu prawie codziennie, to właściwie nasz drugi dom. Strasznie lubię te wszystkie księżniczki i tych książąt i naprawdę UWIELBIAM księcia Rabadasza. Mówię ci, mogę w każdej chwili wpaść do pałacu, żeby zobaczyć się z tą czy tamtą damą dworu. No więc, pomysł tylko, przecież możemy obie wśliznąć się do środka po zapadnięciu zmroku, doprowadzę cię do tej furtki, a tam, na brzegu, zawsze są przywiązane jakieś łódki. A gdyby nas złapano...

- To wszystko byłoby stracone - przerwała jej Arawis.

- Och, kochana, nie denerwuj się tak - powiedziała Lasaraliina. - Chciałam powiedzieć, że gdyby nawet nas złapano, każdy pomyśli, że to tylko jeden z moich zwariowanych pomysłów. Wszyscy mnie z tego znają. Kilka dni temu, och, posłuchaj, to było okropnie zabawne...

- Chodzi mi o to, że wszystko byłoby stracone DLA MNIE - przerwała jej ponownie Arawis dość ostrym tonem.

- Och... ach... tak... teraz rozumiem, o co ci chodzi, kochana... Tak... A masz jakiś lepszy pomysł?

Ale oczywiście Arawis nie potrafiła nic lepszego wymyślić i odpowiedziała:

- No cóż, będziemy musiały zaryzykować. Kiedy to zrobimy?

- Och, nie dziś. To wykluczone. Dziś wieczorem jest wielka zabawa (za kilka minut muszę zacząć przygotowywać fryzurę!) i będzie tam wszędzie mnóstwo światła. I będą tam tłumy! Musimy to zrobić jutro.

Nie była to dla Arawis przyjemna wiadomość, ale musiała się z tym pogodzić. Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność i odetchnęła z ulgą, gdy Lasaraliina poszła wreszcie na bankiet, bo miała już naprawdę dość jej chichotów i ustawicznego paplania o sukniach, przyjęciach, ślubach, zaręczynach i skandalach. Poszła wcześniej spać, stwierdzając, że mimo wszystko miło jest znowu leżeć w gładkiej pościeli i na miękkich poduszkach.

Następny dzień znowu dłużył się niemiłosiernie. Lasaraliina wracała raz po raz do planu ucieczki i zamęczała Arawis opowieściami o Narnii. Według niej był to kraj wiecznie pokryty śniegiem i lodem, zamieszkały przez demony i czarnoksiężników. „Uciekać właśnie tam... to czyste szaleństwo! Kochana, przemyśl to sobie jeszcze raz. I w dodatku z jakimś wiejskim parobkiem. To naprawdę nie będzie miłe.” Arawis sama często się nad tym zastanawiała, ale teraz była tak zmęczona głupotą przyjaciółki, że po raz pierwszy zaczęła myśleć o ucieczce do Narnii z Szasta trochę inaczej. Była już prawie pewna, że będzie to o wiele bardziej przyjemne niż całe tak wystawne i modne życie w Taszbaanie. Odpowiedziała więc tylko:

- Zapominasz, że kiedy już dotrzemy do Narnii, stanę się nikim, tak jak on. A w ogóle, to przyrzekłam i nie ma o czym mówić.

- I pomyśleć - Lasaraliina właściwie już nie mówiła, ale krzyczała - że gdybyś tylko miała więcej rozumu, to mogłabyś zostać żoną wielkiego wezyra!

Arawis wyszła, by porozmawiać ze zwierzętami.

- Tuż przed zachodem słońca - powiedziała im

- pójdziecie z jakimś dworakiem do Grobowców. Te wszystkie toboły muszą tu zostać, bo znowu wam założą siodła i uprzęż. Ale w torbach przy siodle Hwin będzie prowiant, a za siodłem Briego bukłak z wodą. Ten człowiek pozwoli wam napić się do syta po drugiej stronie rzeki.

- A potem: Narnia i Północ! - szepnął Bri.

- A jeśli Szasty tam nie będzie?

- Musicie na niego czekać. Mam nadzieję, że niczego wam tu nie brakuje?

- Najlepsza stajnia, jaką w życiu widziałem - rzekł Bri. - Ale jeśli małżonek tej rozchichotanej Tarkiiny daje swemu szambelanowi pieniądze na najlepszy owies, to myślę, że ktoś tu kogoś oszukuje.

Arawis i Lasaraliina zjadły kolację w komnacie z kolumnami i w dwie godziny później były gotowe do drogi. Arawis ubrana była jak wyższa rangą niewolnica z bogatego domu, twarz miała zasłoniętą woalem. Gdyby spotkały się z jakimiś pytaniami, Lasaraliina miała powiedzieć, że prowadzi niewolnicę, którą chce podarować jednej z dam dworu.

Poszły na piechotę i po kilku minutach były już przed bramą pałacu. Dowódca straży natychmiast poznał Lasaraliinę i rozkazał swym żołnierzom oddać jej honory. Weszły do wielkiej Sali Marmurowej i wmieszały się w barwny tłum dam dworu, dworzan i niewolników. Nikt nie zwracał na nie szczególnej uwagi. Przeszły przez Salę Kolumnową, potem przez Salę Posągów, a potem przez wspaniałe krużganek, mijając wykute z miedzi drzwi Sali Tronowej. Arawis niewiele mogła zobaczyć w bladym świetle lamp, ale nawet tylko to, co widziała, trudno byłoby opisać, tak było dostojne i wspaniałe.

Wyszły na ogrodowy dziedziniec schodzący tarasami po zboczu wzgórza. Zapadła już noc i kiedy doszły do starego Pałacu położonego w dole, nad rzeką, znalazły się w labiryncie ciemnych korytarzy, z rzadka tylko oświetlonych pochodniami wetkniętymi w żelazne uchwyty na ścianach. Lasaraliina zatrzymała się w miejscu, z którego można było pójść albo w lewo, albo w prawo.

- Idźmy, idźmy - szepnęła Arawis, której serce biło mocno i która wciąż bała się, że za jakimś zakrętem mogą wpaść na jej ojca.

- Właśnie się zastanawiam... - powiedziała Lasaraliina. - Nie jestem całkiem pewna, w którą stronę powinniśmy skręcić. Myślę, że w lewo. Tak, prawie na pewno w lewo. Ach, jakie to wszystko zabawne!

Skręciły więc w lewo i zaczęły iść prawie zupełnie ciemnym korytarzem, który wkrótce zakończył się opadającymi w dół schodami.

- Wszystko w porządku - odezwała się Lasaraliina. - Teraz jestem pewna, że idziemy dobrze. Pamiętam te schody.

Ale w tym samym momencie zobaczyły przed sobą jakieś ruchome światło. Nie zdążyły się nawet zastanowić, co robić, gdy zza odległego rogu wyszło tyłem dwóch mężczyzn niosących długie świece. A przed kim idzie się tyłem, jeśli nie przed samym

królem?! Arawis poczuła, jak Lasaraliina wpiła się kurczowo w jej ramię; nie ulegało wątpliwości, że jest śmiertelnie przerażona. Wydało się jej dziwne, że przyjaciółka mogła się przestraszyć Tisroka, skoro - jak mówiła - byli tak zażyłymi przyjaciółmi, ale nie było czasu na rozmyślania. Szybko wycofały się na palcach do szczytu schodów, a potem zaczęły uciekać po omacku wzdłuż ściany.

- Tu są jakieś drzwi - rozległ się szept Lasaraliiny. - Szybko!

Wpadły do środka i cicho zamknęły drzwi za sobą. Wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność. Po przyspieszonym oddechu Lasaraliiny Arawis poznała, że jej przyjaciółka jest ledwo żywa ze strachu.

- Niech nas Tasz ratuje! - rozległ się jej szept. - Co zrobimy, jak on tu wejdzie? Może się gdzieś schowamy?

Pod nogami czuły gruby, miękki dywan. Przeszły kilka kroków i natknęły się na sofę.

- Włazimy za nią! - wysapała Lasaraliina. - Och, po co ja tu w ogóle przychodziłam!

Między sofą a obwieszoną tkaninami ścianą było akurat tyle miejsca, że dziewczęta z trudem się tam zmieściły. Lasaraliinie udało się zająć lepszą pozycję i była zupełnie niewidoczna, natomiast część głowy Arawis wystawała zza końca sofy, tak że gdyby ktoś wszedł ze światłem i spojrzał w tamtą stronę, mógłby ją zobaczyć. Nie zapominajmy jednak, że miała woal na twarzy i to, co wystawało zza sofy, wcale nie przypominało włosów, czoła i pary oczu. Wierciła się rozpaczliwie, chcąc dać przyjaciółce do zrozumienia, że ma za mało miejsca, lecz ta - myśląc już teraz tylko o sobie - uszczypnęła ją mocno w nogę. Przez jakiś czas leżały spokojnie, dysząc ciężko. Odgłos oddechów wydawał się im przeraźliwie hałaśliwy.

- Myślisz, że tu jest bezpiecznie? - zapytała w końcu Arawis cichym szeptem.

- Myślę... że... że... t-t-tak. Ale moje biedne nerwy... - Nie skończyła jednak, bo nagle rozległ się najokropniejszy dźwięk, jaki mogły w tym momencie usłyszeć: odgłos otwieranych drzwi. Potem pojawiło się światło. A ponieważ Arawis naprawdę nie mogła nic więcej zrobić ze swoją wystającą zza sofy głową, zobaczyła wszystko.

Najpierw weszli tyłem dwaj niewolnicy (głusi i niemi, jak słusznie podejrzewała, i dlatego używani przy najbardziej tajnych naradach), którzy stanęli po obu stronach sofy z zapalonymi świecami. Dla Arawis okazało się to zbawienne, bo teraz trudniej ją było zobaczyć, skoro przed jej wystającą zza sofy głową stanął niewolnik, tak że mogła patrzeć tylko przez szparę między jego piętami. Potem wszedł

do komnaty stary, bardzo gruby mężczyzna w dziwacznej tiarze owiniętej turbanem, po której natychmiast poznała samego Tisroka. Najmniejszy z klejnotów, którymi był obwieszony, kosztował więcej niż wszystkie stroje i oręż narnijskich baronów. Był jednak tak gruby, a przy tym pokryty taką masą falbanek, plisek, wisiorków, guzików, frędzli i talizmanów, że Arawis nie potrafiła się oprzeć niezbyt może stosownej w takim momencie myśli, iż moda narnijska (a w każdym razie moda męska) podoba się jej bardziej niż kalormeńska. Za królem wszedł wysoki młodzieniec w turbanie przystrojonym pawimi piórami i klejnotami; u boku miał szeroką, krzywą szablę w pochwie z kości słoniowej. Wydawał się bardzo podniecony, a jego oczy i zęby połyskiwały dziko w świetle świec. Na samym końcu wszedł niski, garbaty i pomarszczony staruszek, w którym z przerażeniem rozpoznała swego niedoszłego małżonka, wielkiego wezyra Ahosztę Tarkaana we własnej osobie.

Gdy cała trójka znalazła się w komnacie i zamknięto drzwi, Tisrok rozsiadł się na sofie z westchnieniem ulgi, młodzieniec stanął przed nim, a wielki wezyr padł na kolana i uderzył czołem w dywan.

ROZDZIAŁ 8

TAJNA NARADA

OCH-MÓJ-OJCZE-I-OCH-ROZKOSZY-MOICH-OCZU - wymamrotał młodzieniec tak obrażonym tonem, że widać było od razu, iż Tisrok wcale NIE JEST rozkoszą jego oczu. - Obyś żył wiecznie, choć zniszczyłeś mnie całkowicie. Gdybyś mi dał najszybszą z naszych galer o świcie, kiedy spostrzegłem, że okręt tych przeklętych barbarzyńców zniknął ze swego miejsca w zatoce, to być może udałoby mi się ich doścignąć. Ale nie, ty kazałeś mi najpierw sprawdzić, czy oni nie opłynęli tylko przylądka, szukając lepszej przystani. W ten sposób straciliśmy cały dzień. A oni po prostu uciekli... uciekli... i nie mogę ich dosięgnąć! To fałszywe babsko, ta... - i tu dodał z tuzin określeń królowej Zuzanny, które z całą pewnością nie wyglądałyby ładnie w druku. Młodzieńcem tym był bowiem, rzecz jasna, ksiązę Rabadasz, a „fałszywe babsko” to oczywiście Zuzanna z Narnii.

- Weź się w garść, o mój synu - rzekł Tisrok. - Nie bywa bowiem głęboką raną, jaką pozostawia w sercu rozumnego gospodarza niespodziewany odjazd gości.

- Ale ja CHCĘ ją mieć! - wrzasnął Rabadasz.

- Muszę ją mieć. Umrę, jeśli nie dostanę tej... tej fałszywej, dumnej, podstępnej suki! Nie mogę spać, jedzenie straciło dla mnie smak i w oczach mi ciemnieje z powodu jej piękności. Muszę mieć tę królową barbarzyńców!

- Jakże mądrze powiedział pewien utalentowany poeta - zauważył wezyr, podnosząc z dywanu twarz (nieco zakurzoną) - mówiąc, jak wielce pożądane są duże hausty z fontanny rozsądku, by przygasić ogień młodzieńczej miłości.

To doprowadziło księcia do nowego wybuchu wściekłości.

- Ty psie! - zawołał, kierując serię dobrze wymierzonych kopniaków w tylne części ciała wielkiego wezyra. - Nie będziesz mi tu cytować poetów! Przez cały dzień słyszę tylko maksymy i wersety i... przysięgam... dłużej tego nie zniosę! - (Obawiam się, że Arawis wcale nie było żal wezyra.)

Tisrok najwyraźniej zagłębił się w swoich myślach, a kiedy po dłuższej przerwie zauważył wreszcie, co się dzieje, powiedział spokojnie:

- O mój synu, zaprzestań kopania tego czcigodnego i światłego wezyra. Jak bowiem drogocenny klejnot nie traci swej wartości nawet wówczas, gdy go ukryjemy w kupie gnoju, tak podeszły wiek i roztropność powinny być szanowane nawet we wstrętnych osobach naszych podwładnych. Przestań więc i powiedz nam, czego pragniesz i co proponujesz.

- Pragnę i proponuję, o mój ojcie - rzekł Rabadasz - byś natychmiast zwołał swoją niezwyciężoną armię i najechał po trzykroć przeklętą krainę Narnii, abyś zniszczył ją ogniem i mieczem i włączył do swego bezgranicznego cesarstwa, zabijając ich Wielkiego Króla i wszystkich z jego krwi, prócz królowej Zuzanny. Muszę bowiem mieć ją za żonę, choć przedtem otrzyma gorzką nauczkę.

- Zrozum, o mój synu - powiedział Tisrok - że nie ma takich słów, którymi mógłbyś mnie skłonić do otwartej wojny z Narnią.

- Gdybyś nie był moim ojcem, o wiecznie żyjący Tisroku - wybuchnął królewicz, zgrzytając zębami

- powiedziałbym, że są to słowa tchórza.

- A gdybyś ty nie był moim synem, o najbardziej zapalczywy Rabadaszu - odpowiedział chłodno jego ojciec - to godziny twego życia byłyby policzone, a śmierć powolna po tym, co właśnie rzekłeś.

- Zimny, płaski głos, jakim to zostało powiedziane, zmroził krew w żyłach Arawis.

- Ale dlaczego, o mój ojcie - spytał królewicz, tym razem z o wiele większym szacunkiem - dlaczego mamy dłużej zastanawiać się nad tym, czy ukarać Narnię, niż nad tym, czy powiesić leniwego niewolnika lub zamienić zajeżdżonego konia w mięso dla psów? Cały ten kraik mniejszy jest niż jedna czwarta najmniejszej z twoich prowincji. Zaledwie tysiąc włóczni wystarczy, by podbić go w ciągu pięciu tygodni. To po prostu niewidoczny pyłek na kresach twojego imperium.

- Co do tego nie ma żadnej wątpliwości - rzekł Tisrok. - Te barbarzyńskie państewka, które zowią się WOLNYMI (co w rzeczywistości oznacza, że panoszy się tam próżniactwo i bałagan), nie są na pewno miłe bogom i wszystkim rozsądnym ludziom.

- A więc, jak długo możemy ścierpieć, by taki kraj jak Narnia mienił się wolnym?

- Wiedz, o świątły królewiczu - odezwał się wielki wezyr - że aż do owego roku, w którym twój wzniosły ojciec rozpoczął swoje zbawcze i nie kończące się panowanie, cała kraina Narnii pokryta była lodem i śniegiem, a co więcej, władała nią najpotężniejsza Czarodziejka.

- Wiem o tym dobrze, o wielomówny wezyrze - odparł królewicz. - Ale wiem też, że owa Czarodziejka umarła, a lód i śnieg stopniały, tak że Narnia jest dziś krajem zdrowym, żyznym i miłym dla oka.

- A zmiana ta, o najbardziej uczony królewiczu, dokonała się bez wątpienia za przyczyną potężnych zaklęć owych nikkzemnych osobników, którzy dziś zowią się królami i królowymi Narnii.

- Przychyłam się raczej do opinii - rzekł Rabadasz - że przyczyną były zmiany w ruchu gwiazd i działanie wielu innych czynników naturalnych.

- Wszystko to - odezwał się Tisrok - jest przedmiotem dyskusji wśród uczonych mężów. Nigdy nie uwierzę, że tak wielkie zmiany w ruchu gwiazd, a także śmierć tej starej Czarodziejki mogły się wydarzyć bez pomocy jakichś bardzo silnych czarów. I tego właśnie trzeba się spodziewać w tym kraju, zamieszkanym głównie przez demony w postaci mówiących zwierząt oraz przez potwory wyglądające w połowie jak ludzie, a w połowie jak dzikie bestie. Mówi się też powszechnie, że Wielkiego Króla Narnii wspiera straszliwy, niezwycczony demon, który objawia się w postaci lwa. Dlatego też atakowanie Narnii jest przedsięwzięciem wątpliwym, którego skutki trudno przewidzieć. Nie zamierzam wyciągać ręki tak daleko, aby nie móc jej potem cofnąć.

- O, jak błogosławiony jest nasz Kalormen - powiedział wezyr, ponownie unosząc twarz z dywanu - którego władcę spodobało się bogom obdarzyć taką rozwąą i ostrożnością! Jak jednak raczył zauważyć nieomylny i mądry Tisrok, bolesna to sprawa, kiedy się jest zmuszonym odmówić sobie tak wykwiutnego dania jak Narnia. Zaprawdę, natchniony był ów poeta, który powiedział... - lecz w tym momencie Ahoszta dostrzegł, że czubek buta Rabadasza zaczyna się niecierpliwie cofać, więc nagle umilkł.

- Tak, to bardzo bolesne - rzekł Tisrok swoim niskim, spokojnym głosem. - Każdego ranka słońce ciemnieje w moich oczach i każdej nocy sen nie daje mi odpoczynku, ponieważ wciąż pamiętam, że Narnia jest wolnym krajem.

- O mój ojcie - powiedział królewicz - a jeśli wskażę ci sposób, w jaki możesz wyciągnąć rękę po Narnię i cofnąć ją bez szkody, gdy próba nie wypadnie pomyślnie?

- Gdybyś zdołał to uczynić, o Rabadaszu - rzekł Tisrok - to okazałbyś się najlepszym z synów.

- Posłuchaj więc, o mój ojcie. Jeszcze tej nocy i tej godziny wezmę tylko dwustu jeźdźców i przeprawię się przez pustynię. I niech wszyscy będą przekonani, że ty sam nic nie wiesz o mojej wyprawie. Zanim drugi ranek zaświta, będę u bram Anwardu, zamku władcy Archenlandii, króla Luni. Nie jesteśmy z nim w stanie wojny, więc zaskoczę ich i zdobędę zamek, zanim ktokolwiek zrozumie, o co chodzi. Potem ruszę przez przełęcz nad Anwardem, a potem w dół, przez Narnię, aż do Ker-Paravelu.

Wielkiego Króla tam nie będzie: kiedy go zęgnalem, gotował się do wyprawy przeciw olbrzymom z północnej granicy. Najprawdopodobniej zastanę bramy Ker-Paravelu otwarte. Okażę rozwagę i szlachetność i przeleję tyle tylko krwi narnijskiej, ile będzie konieczne. A wówczas pozostanie mi tylko spokojnie czekać, aż przyplynie „Blask Szmaragdu” z królową Zuzanną na pokładzie, by schwytać mojego zbłąkanego ptaszka, gdy tylko postawi stopę na lądzie, porwać ją na konia, a potem pędzić, pędzić, pędzić z powrotem do Anwardu.

- Ale czy nie jest prawdopodobne, o mój synu - powiedział Tisrok - że próba porwania tej kobiety zakończy się czyjąś śmiercią? A mam tu na myśli albo króla Edmunda, albo ciebie.

- Nie będzie ich tam na pokładzie wielu - odpowiedział Rabadasz - a ja każę dziesięciu moim ludziom rozbroić go i związać. Powstrzymam swą gwałtowną żądzę jego krwi, aby nie zaistniał powód do wojny między tobą i Wielkim Królem.

- A jeśli „Blask Szmaragdu” przybędzie do Ker-Paravelu wcześniej niż ty?

- Przy tych wiatrach jest to niemożliwe.

- Pozostaje jeszcze jedna rzecz, o mój wielce pomysłowy synu - rzekł Tisrok po chwili milczenia. - Wyjaśniłeś nam, w jaki sposób możesz porwać tę barbarzyńską dziewczkę. Czy mógłbyś nas teraz oświecić, w jaki sposób mam zdobyć Narnię i co ma wspólnego jedno z drugim?

- O mój ojcie, czyżby uszło twojej uwagi, że chociaż ja i moi jeźdźcy przemkniemy przez Narnię jak wypuszczona z łuku strzała, to po drodze zdobędziemy Anward, który zatrzymamy na zawsze? A mając Anward, będziemy panować nad bramą do Narnii. Twój garnizon w Anwardzie można będzie pomału zwiększać, aż zrobi się z tego cała armia.

- W tym, co mówisz, dostrzegam roztropność i przewidywanie. W jaki jednak sposób cofnę rękę, jeśli wszystko nie powiedzie się tak, jak zamýślasz?

- Powiesz, że zrobiłem to nie tylko bez twojej wiedzy i błogosławieństwa, ale wyraźnie wbrew twojej woli, popchnięty do tego gwałtownością uczucia i niecierpliwością młodzieńczego wieku.

- A jeśli Wielki Król zażąda wówczas, byśmy odesłali mu tę kobietę, jego siostrę?

- O mój ojcie, zapewniam cię, że tego nie uczyni. Bo chociaż ona sama odrzuciła to małżeństwo, powodując się kaprysem kobiecym, to Wielki Piotr jest człowiekiem rozsądnym i przewidującym: w żadnym razie nie będzie chciał utracić

owego wielkiego zaszczytu i korzyści, jakie mu już teraz daje sojusz z naszą dynastią, nie mówiąc już o przyszłości, gdy na tronie Kalormenu zasiądzie jego siostrzeniec.

- A nie zobaczy tego, jeśli będę żył wiecznie, czego mi bez wątpienia życzysz - powiedział nagle Tisrok głosem jeszcze bardziej chłodnym niż zwykle.

- Napiszemy też, o mój ojczy i o rozkoszy moich oczu - rzekł królewicz po dłuższej chwili krępującego milczenia - listy niby od królowej Zuzanny, w których oznajmi bratu, że pokochała mnie i wcale nie chce wracać do Narnii. Wszyscy wiedzą, że kobiety są zmienne jak blaszane koguty na dachu. A jeśli nawet w Ker-Paravelu nie dadzą wiary tym listom, to i tak nie ośmielą się przybyć do Taszbaanu, by ją odebrać.

- O oświecony wezryze - zwrócił się Tisrok do Ahoszty - podziel się swą mądrością z nami, którzy rozważamy ten dość niezwykły pomysł.

- Odwieczny Tisroku - odpowiedział Ahoszta - siła ojcowskiego uczucia nie jest mi obca, często też słyzałem, że synowie są dla swych ojców waczi więcej niż rubiny. Jakże więc śmiałym otworzyć przed tobą swe serce w sprawie, od której może zależeć życie tego oto królewicza?

- Jestem pewien, że się ośmielisz - rzekł Tisrok - bo bardzo szybko zrozumiesz, że to, co ci grozi, jeśli tego nie zrobisz, jest przynajmniej równie nieprzyjemne jak to, co cię czeka, gdy to zrobisz.

- Wysłuchać znaczy wykonać - jęknął nieszczęsny wezyr. - Racz więc przede wszystkim zwrócić uwagę, o najmądrzejszy z Tisroków, że niebezpieczeństwo, jakie grozi królewiczowi, wcale nie jest tak wielkie, jak się to może wydawać. Albowiem bogowie poskąpili tym barbarzyńcom światła roztropności, jak to widać choćby z tego, że ich poezja nie jest, tak jak nasza, pełna rzadkich sentencji i pożytecznych maksym, lecz opiewa tylko miłość i wojnę. Dlatego też nic nie będzie się im wydawało bardziej szlachetne i godne podziwu niż tak szalone przedsięwzięcie... Auu!

- tu przerwał, bo po słowie „szalone” królewicz wymierzył mu tęgiego kopniaka.

- Powstrzymaj się, o mój synu - rzekł Tisrok.

- A ty, godny szacunku wezryze, pod żadnym pozorem nie pozwól, by strumień twej elokwencji został zatamowany, niezależnie od tego, czy książę się powstrzyma, czy nie. Nic bowiem tak nie przystoi osobom odznaczającym się powagą i dobrymi obyczajami, jak znoszenie drobnych uciążliwości z godnością.

- Wysłuchać znaczy wykonać - rzekł wezyr, wykręcając się nieznacznie w taki sposób, by tylna część jego ciała znalazła się nieco dalej od czubka buta Rabadasza. - Tak więc, powiadam, nic nie będzie w ich oczach tak wybacalne, jeśli nie godne

pochwały, jak taka sza... e... ryzykowna próba, szczególnie zaś dlatego, że podjęta z miłości do kobiety. Dlatego też, nawet jeśli królewicz w wyniku splotu niekorzystnych okoliczności dostanie się w ich ręce, z całą pewnością jego życiu nic nie będzie zagrażało. O nie, może nawet być i tak, że choć sam nie zdoła porwać królowej Zuzanny, to jednak jego wielka odwaga i skrajność jego namiętności skłonią ku niemu jej serce.

- Całkiem niezły punkt widzenia, stary gaduło - powiedział Rabadasz. - Całkiem niezły, choć nie mam pojęcia, skąd ci to wpadło do tego szpetnego łba.

- Pochwała moich władców jest światłem dla moich oczu - rzekł skromnie Ahoszta. - Uważam też za bardzo prawdopodobne, o Tisroku, którego panowanie musi być i będzie nieskończone, że z pomocą bogów Anward wpadnie w ręce królewicza. A kiedy się to stanie, trzymamy Narnię za gardło.

Zapadło długie milczenie i w komnacie zrobiło się tak cicho, że dziewczęta wstrzymały oddech. W końcu przemówił Tisrok:

- Jedź, mój synu. Jedź i zrób, jak powiedziałeś. Nie oczekuj jednak ode mnie ani pomocy, ani poparcia. Nie będę szukał pomsty, jeśli cię zabiją, i nie będę cię wyciągał z niewoli, jeśli cię schwytają. Pamiętaj też, że niezależnie od tego, czy twoja wyprawa uda się, czy nie, jeśli przelejesz o jedną kroplę krwi narnijskich wielmożów więcej, niż to będzie konieczne, i jeśli z tego powodu wybuchnie otwarta wojna, to moja łaskawość zostanie ci odebrana raz na zawsze, a twoje miejsce w Kalormenie zajmie mój następny co do starszeństwa syn. A teraz jedź. Działaj szybko i bez rozgłosu, a przede wszystkim skutecznie. Niech moc nieubłaganego i niezwykniętego Tasa będzie w twoim mieczu i twojej włóczni.

- Wysłuchać znaczy wykonać - zawołał Rabadasz, przykleknął, by ucałować ojcowską dłoń, i wypadł z komnaty. Ku rozpaczy Arawis, która była okropnie ściśnięta, Tisrok i wezyr pozostali na swoich miejscach.

- O wezyrze - rzekł król - czy jest absolutnie pewne, że prócz nas trzech żadna żywa dusza nie wie o tej naradzie?

- O mój panie - odpowiedział Ahoszta - jest całkowicie niemożliwe, by ktoś o tym wiedział. Właśnie dlatego zaproponowałem (a ty w swej mądrości raczyłeś wyrazić na to zgodę), abyśmy się spotkali tu, w Starym Pałacu, gdzie nie odbywają się żadne narady. Nikt ze służby czy dworzan nie ma najmniejszego powodu, by tu przychodzić.

- To bardzo dobrze. Gdyby się ktokolwiek o tym dowiedział, musiałby umrzeć

natychmiast. I ty także, roztropny wezyrze, zapomnij o tym, co tu powiedziano. Wymazuję z mojej i twojej pamięci całą wiedzę o planach królewicza. Wyjechał bez mojej wiedzy i zgody. Nie wiem, dokąd się udał. Uczynił tak z powodu gwałtowności, zuchwałości i skłonności do nieposłuszeństwa, które tak często towarzyszą głupiej młodości. Nikt nie może być bardziej od nas zaskoczony, kiedy się dowiemy, że Anward jest w jego rękach.

- Wysłuchać znaczy wykonać - rzekł Ahoszta.

- I dlatego właśnie nie będziesz nigdy myślał, nawet w najskrytszych zakamarkach swego mózgu, że jestem najokrutniejszym z ojców, który wysłał swego pierworodnego syna na wyprawę oznaczającą prawdopodobnie jego śmierć, choć ciebie samego z pewnością by to uradowało. Z łatwością bowiem sięgam aż do dna twojego serca i wiem, że nie darzysz królewicza zbyt wielką miłością.

- O nieskazitelny Tisroku - odezwał się przymilnie wezyr - jeśli za miarę weźmiemy moją miłość do ciebie, to nie kocham ani królewicza, ani swego życia, ani chleba, ani wody, ani światła słońca.

- Twoje uczucia są wzniosłe i godne pochwały. Ja także nie miłuję żadnej z tych rzeczy, jeśli za miarę przyjmujemy uwielbienie, jakim darzę chwałę i potęgę mojego tronu. Jeśli królewiczowi się powiedzie, będziemy mieć Archenlandię, a być może i samą Narnię po pewnym czasie. Jeśli mu się nie powiedzie... cóż, mam jeszcze osiemnastu synów, a Rabadasz, jak to zwykle bywa z najstarszymi synami królów, zaczyna być niebezpieczny. Ponad pięciu Tisroków zmarło w Taszbaanie przed czasem tylko dlatego, że ich najstarsi synowie, jaśnie oświeceni książęta, zmęczeni oczekiwaniem na tron. Niech lepiej Rabadasz ochłodzi swą krew za granicami cesarstwa, niż miałaby wrzeć w beczynności. A teraz, o prześwietny wezyrze, to nocne nieumiarkowanie w ojcowskiej trosce domaga się zadośćuczynienia w postaci dobrego snu. Każ muzykantom przyjść do mojej komnaty. Zanim jednak sam się położysz, zniszcz akt łaski dla trzeciego kucharza, jaki dziś podpisaliśmy. Odczuwam wyraźne objawy niestrawności.

- Wysłuchać znaczy wykonać - rzekł wielki wezyr. Podczołgał się tyłem do drzwi, wstał, skłonił się i wyszedł. Tisrok nie ruszył się z miejsca i siedział długo w głębokiej ciszy, aż Arawis zaczęła się lękać, że zasnął. Lecz w końcu podniósł swoje olbrzymie ciało, czemu towarzyszyły dziwne trzaski i westchnienia, skinął na niewolników, by go poprzedzali ze światłem, i opuścił komnatę. Drzwi zamknęły się za nimi i znowu zapanowała ciemność. Dziewczęta odetchnęły głęboko.

ROZDZIAŁ 9 PRZEZ PUSTYNIĘ

- JAKIE TO STRASZNE! Jakie to okropne! - jęknęła Lasaraliina. - Och, kochana, tak się boję! Cała się trzęsę. Dotknij mnie.

- Pospiesz się - przerwała jej Arawis, która sama dygotała ze strachu. - Oni poszli do Nowego Pałacu. Im szybciej wyjdziemy z tego pokoju, tym prędzej będziemy bezpieczne. Och, ile czasu to trwało! Zaprowadź mnie zaraz do tej furtki nad rzeką. Szybko!

- Ależ, kochana, JAK MOŻESZ? - zapiszczała Lasaraliina. - Nie jestem teraz w stanie nic zrobić, nie teraz. Moje biedne nerwy! Nie, musimy trochę poleżeć w spokoju, a potem wrócić.

- Wrócić? Co ci przyszło do głowy?

- Och, ty niczego nie rozumiesz. Jesteś taka niemila - powiedziała Lasaraliina i wybuchnęła płaczem. Arawis doszła do wniosku, że nie ma czasu na okazywanie współczucia.

- Posłuchaj! - syknęła, chwytając przyjaciółkę za ramiona i porządnie nią potrząsając. - Jeżeli powiesz jeszcze słowo o powrocie i jeśli natychmiast nie ruszysz się stąd, żeby mnie zaprowadzić do tej furtki, to wiesz, co zrobię? Wybiegnę na korytarz i zacznę wrzeszczeć. A wtedy obie nas złapią.

- Ale wtedy nas z... z... zabiją! Nie słyszałaś, co powiedział Tisrok (oby żył wiecznie!)?

- Tak, słyszałam. Wolę być trupem niż żoną Ahoszty. Rusz się więc, dobrze ci radzę.

- Och, jakaś ty nieuprzejma. I to wobec mnie, w takim stanie...

Ale w końcu musiała ulec. Poprowadziła Arawis w dół tymi samymi schodami, którymi już raz schodziły, a potem jeszcze jednym korytarzem i w końcu znalazły się na zewnątrz. Księżyc świecił jasno. Przed nimi rozciągały się pałacowe ogrody, opadające tarasami aż do murów miejskich. Jedną z ujemnych stron przygód jest to, że kiedy znajdziemy się w jakimś cudownym miejscu, to najczęściej nerwy i brak czasu nie pozwalają nim się nacieszyć, tak więc i Arawis zapamiętała tylko (ale zapamiętała na wiele lat) mglisty obraz szarych w świetle księżycy trawników, spokojnie szemrzących fontann i długich, czarnych cieni cyprysowych drzew.

Kiedy zeszyły do podnóża zbocza i wyrósł przed nimi złowrogi mur, Lasaraliina trzęsła się tak, że Arawis musiała ją wyręczyć w otworzeniu furtki. Po drugiej stronie

murów jaśniała rzeka, pełna księżycowych migotań. Była tu mała przystań, a w niej kilka spacerowych łodzi.

- Żegnaj, Lasaraliino - powiedziała Arawis. - I dziękuję ci. Wybacz mi, jeśli okazałam się świnią. Ale pomyśl, od czego uciekam!

- Och, moja kochana - odpowiedziała Lasaraliina - czy naprawdę nie zmienisz zdania? Teraz, kiedy sama widziałas, jak potężnym człowiekiem jest Ahoszta?

- Potężny człowiek! - prychnęła Arawis z pogardą. - Ohydny, pełzający w kurzu niewolnik, który płaszczy się, kiedy go ktoś kopie, ale zachowuje wszystkie urazy na dnie serca, aby się zemścić. I to jak: podbechtując tego okropnego Tisroka, by wysłał syna na pewną śmierć. Tfu! Wolałbym poślubić jakiegoś pomywacza z kuchni mojego ojca niż takiego potwora jak on!

- Och, Arawis, Arawis! Jak możesz mówić takie okropne rzeczy, i to o Tisroku (oby żył wiecznie!)? Przecież jeśli ON zamierza to zrobić, to musi mieć rację!

- Żegnaj - przerwała jej Arawis. - Uważam, że twoje suknie są naprawdę cudowne. I twój dom jest taki piękny! Jestem pewna, że całe twoje życie będzie cudowne, chociaż mnie by ono nie odpowiadało. Zamknij za sobą po cichu furtkę.

Wyrwała się z uścisku przyjaciółki, wskoczyła do łódki, odepchnęła ją od nadbrzeża i w chwilę potem płynęła już przez rzekę, z olbrzymim prawdziwym księżycem nad głową i olbrzymim odbitym księżycem w wodzie. Powietrze było chłodne i orzeźwiające, a kiedy zbliżyła się do drugiego brzegu, usłyszała pohukiwanie sowy. „Ach, teraz jest lepiej!”, pomyślała. Zawsze mieszkała na wsi i miała już absolutnie dosyć wspaniałości Taszbaanu.

Kiedy wyszła na brzeg, znalazła się w ciemnościach, bo zbocze doliny i drzewa zasłoniły jej księżyc. Natrafiła jednak na tę samą drogę, którą wracał Szasta, i doszła nią, tak jak on, aż do końca trawy i początku piasku. I dopiero teraz, choć była tak dzielną dziewczyną, zabrakło jej odwagi. A jeśli nikt na nią nie czeka? A jeśli są tam upiory? Ale wysunęła brodę do przodu (i koniuszek języka) i ruszyła ku Grobowcom. Zanim do nich doszła, zobaczyła konie i szambelana.

- Możesz już wracać do swojej pani - powiedziała (zupełnie zapominając, że po zamknięciu bram miejskich to niemożliwe). - Masz tu trochę pieniędzy za twoje trudy.

- Wysłuchać znaczy wykonać - rzekł szambelan i natychmiast pobiegł z godną uwagi szybkością w kierunku miasta. Nie trzeba go było poganiać: on też myślał przez cały czas o upiorach.

Przez następne kilka chwil Arawis była bardzo zajęta, całując nosy i ściskając

szyje Hwin i Briego, jakby to były zupełnie zwykłe konie.

- A oto i Szasta! Dzięki niech będą Lwu! - powiedział Bri.

Arawis rozejrzała się i zobaczyła Szastę, który wyszedł ze swojej kryjówki, gdy tylko służący pognął w kierunku miasta.

- A teraz posłuchajcie - powiedziała Arawis. - Nie mamy ani chwili do stracenia. - I jak mogła najkrócej, opowiedziała im o wyprawie Rabadasza.

- Zdradzieckie psy! - zawołał Bri, potrząsając grzywą i tupiąc kopytem. - Atak w czasie pokoju, bez wypowiedzenia wojny! Ale już my im przygotowujemy pyszną owsiankę! Będziemy tam przed nimi.

- Myślisz, że zdołamy? - zapytała Arawis, wskakując lekko na siodło. Szasta mógł tylko marzyć, by kiedyś dosiadać konia tak jak ona.

- Bri-i-i-i-i-hi-i-i! - zarzął Bri. - Wskakuj, Szasto! Czy zdołamy? Ważne jest, kto pierwszy wyruszy w drogę.

- Mówił, że zamierza wyruszyć od razu - zauważyła Arawis.

- Ludzie zawsze tak mówią - powiedział Bri. - Ale nikt nie jest w stanie zebrać w ciągu minuty dwustu koni i dwustu jeźdźców, zaopatrzyć ich w wodę i prowiant, osiodłać konie i wyruszyć w drogę. W jakim kierunku jedziemy? Prosto na północ?

- Nie - odezwał się Szasta. - Znam właściwy kierunek. Zaznaczyłem go na piasku. Później wam to wyjaśnię. Musimy pójść trochę w lewo. O, tu!

- A teraz posłuchajcie - rzekł Bri. - Wszystkie te opowieści o galopowaniu przez dzień i noc bez przerwy to czysta fantazja. W rzeczywistości będzie to na przemian trucht i wolny krok, tyle że trucht powinien być żywy, a wolny krok krótki. A kiedy my, konie, idziemy wolnym krokiem, wtedy wy, ludzie, złazicie na ziemię i także idziecie. Rozumiemy się? Jesteś gotowa, Hwin? No, to w drogę! Narnia i Północ!

Na początku było cudownie. W ciągu kilku godzin nocy piasek oddał już prawie cały żar, jaki słońce nagromadziło w nim w ciągu dnia, i powietrze zrobiło się chłodne i czyste. Dokąd tylko można było sięgnąć wzrokiem, jaśniała wokół nich zalana księżycowym blaskiem pustynia jak powierzchnia spokojnego morza lub wielka, srebrna taca. Nie słychać było nic prócz chrzęstu piasku pod kopytami koni. Szasta z pewnością zasnąłby w siodle, gdyby nie musieli raz po raz zsiadać z koni i iść obok nich, pozwalając im nieco odpocząć.

Tak było przez długie godziny, aż nastał czas, gdy księżyc zniknął i posuwali się naprzód w zupełnej ciemności. A potem nadeszła taka chwila, w której Szasta

zauważył, że widzi szyję i łeb Briego nieco wyraźniej niż dotąd - i powoli, bardzo powoli, zaczął dostrzegać bezbrzeżną szarą płaszczyznę otaczającą ich ze wszystkich stron. Wyglądała na zupełnie martwą, jak część jakiegoś zmarłego świata. Szasta był już okropnie zmęczony, poczuł też, że robi mu się zimno i ma sucho w ustach. I przez cały czas wciąż to samo: monotonne skrzywienie skóry, podzwanianie wędzideł i głuchy odgłos kopyt - nie propatty-propatty, jak na twardej skale, lecz zabaddy-zabaddy kopyt na suchym piasku.

W końcu, po długich godzinach jazdy, z prawej strony pojawiła się nad widnokretem wąska i długa bruzda bladej szarości. Później - pas czerwieni. Wreszcie nadszedł poranek, tyle że nie było tu ani jednego ptaka, który by o tym oznajmił. Zrobiło się jeszcze zimniej niż w nocy i Szasta cieszył się, gdy konie zaczynały iść stępa, bo mógł się rozgrzać w czasie krótkiego marszu.

A potem nagle słońce wzeszło i wszystko zmieniło się w jednej chwili. Szary dotąd piasek zrobił się żółty i połyskiwał jak zmieszany z diamentami. Po lewej stronie wydłużały się niesamowicie ich własne cienie. Daleko przed nimi lśnił w słońcu podwójny szczyt góry Pir. Szasta zauważył, że zeszli nieco z właściwego kierunku. „Trochę w le-e-e-wo! Trochę w le-e-e-e-wo!” - zawołał śpiewnie. Ale najlepsze było to, że kiedy się spojrzęło za siebie, Taszbaan wydawał się już tylko małą, nieskończenie daleką plamką na horyzoncie. Grobowców już w ogóle nie widzieli: zniknęły na tle owego pojedynczego, postrzępionego garbu, którym było miasto Tisroka. Wszystkim zrobiło się raźniej.

Ale nie na długo. Taszbaan, bardzo odległy, kiedy na niego spojrzeli po raz pierwszy, jakoś nie oddalał się bardziej w miarę dalszej wędrówki. Szasta przestał w końcu odwracać się w siodle, bo za każdym razem odnosił wrażenie, że stoją w miejscu. Potem zaczęło mu dokuczać światło. Blask bijący od piasku sprawiał, że bolały go oczy, wiedział jednak, że nie powinien ich zamykać. Musi patrzeć przed siebie, musi wpijać wzrok w górę Pir i wykrzykiwać kierunek. Potem nadeszło gorąco. Zauważył to, gdy musiał po raz któryś zejść z Konia, by przejść kawałek pieszo: kiedy ześliznął się na piasek, bijący z niego żar uderzył go w twarz jak z otwartego piekarnika. Następnym razem było jeszcze gorzej. Ale za trzecim razem, gdy tylko dotknął bosymi stopami piasku, wrzasnął z bólu i czym prędzej wskoczył z powrotem na grzbiet Briego.

- Wybacz, Bri - wy stękał. - Nie mogę iść pieszo. Spali mi stopy.

- Ależ oczywiście! - powiedział Bri, dysząc ciężko. - Powiniennem sam o tym

pomyśleć. Zostań. Nic na to nie poradzimy.

- TOBIE to nie przeszkadza - rzekł Szasta do Arawis, która szła u boku Hwin. - Masz dobre buty.

Arawis nic nie odpowiedziała, ale minę miała wyraźnie napuszoną. Miejmy nadzieję, że nie robiła tego świadomie.

I znowu w drodze, kłusem i stępą, i znowu kłusem, i dzyń-dzyń-dzyń, skuiik-skuiik-skuiik, zapach rozgrzanego konia, zapach własnego potu, oślepiający blask, ból głowy. I nic się nie zmienia, mila za milą. Taszbaan wydaje się wciąż w tej samej odległości. Góry nie przybliżają się ani o krok. Zupełnie, jakby to miało trwać wiecznie: dzyń-dzyń-dzyń, skuiik-skuiik-skuiik, zapach rozgrzanego konia, zapach własnego potu.

Oczywiście próbuje się różnego rodzaju gier z samym sobą, aby tylko czas nie dłużył się tak niemiłosiernie - i oczywiście nie daje to żadnego skutku. Próbuje się też za wszelką cenę nie myśleć o napojach: o zmieszanym z lodem sorbecie w taszbańskim pałacu, o czystej źródlanej wodzie ściekającej z cichym, matowym pluskiem, o chłodnym, jedwabistym mleku, dostatecznie gęstym, a jednak nie nazbyt gęstym. I im bardziej próbuje się o tym wszystkim nie myśleć, tym bardziej się, rzecz jasna, myśli.

Wreszcie pojawiło się coś odmiennego: mnóstwo skał wyrastających z piasku na jakieś dziesięć metrów w górę i pięćdziesiąt metrów w szerz. Skały nie dawały zbyt wiele cienia, bo słońce było już bardzo wysoko, ale zadowolili się i tym, zatrzymując na krótki odpoczynek. Zjedli trochę i napili się wody. Napojenie konia ze skórzanego bukłaka nie jest wcale takie proste, ale zwierzęta doskonale potrafiły wykorzystać swoje długie, ruchliwe wargi. Wszyscy mieli już wszystkiego dosyć. Konie pokryte były pianą i oddychały chrapliwie. Dzieci poblady.

Po krótkim odpoczynku ruszyli ponownie w drogę. Znowu te same dźwięki, te same zapachy, ten sam oślepiający blask, aż w końcu, w końcu po prawej stronie zobaczyli swoje cienie, wydłużające się w miarę upływu czasu, aż wyciągnęły się tak, że sięgały wschodniego krańca świata. Powoli słońce zbliżało się do zachodniej części widnokregu. I oto było już zupełnie nisko; blask stracił swoją bezlitosną moc, choć wciąż jeszcze żar bijący od piasku był równie dokuczliwy jak w ciągu dnia. Cztery pary oczu wypatrywały tęsknie jakiegokolwiek śladu doliny, o której mówił kruk Złotonóg. Ale choć posuwali się wciąż naprzód, mila za milą, nie było widać nic, prócz płaskiej jak stół piaszczystej równiny. Zapadł zmrok, na niebie pojawiła się już większość

gwiazd, i wciąż głucho dźwięczały kopyta koni, i wciąż dzieci podnosiły się i opadały w siodłach, ledwo żywe z pragnienia i zmęczenia. I dopiero gdy wzeszedł księżyc, rozległ się obcy, chropowaty, przypominający szczekanie psa głos, wydobywający się z popękanych ust Szasty:

- Jest! Wreszcie jest!

Nie mylił się. Przed nimi, nieco na prawo, płaska pustynia zaczynała opadać w dół głębokim jarem, a po obu jego brzegach piętrzyły się skalne garby. Konie, zbyt zmęczone, by coś powiedzieć, natychmiast skrzyły w tym kierunku i za minutę lub dwie znaleźli się w ciasnym wąwozie. Z początku poczuli się jeszcze gorzej niż na otwartej pustyni, bo między skalnymi ścianami wisiał zaduch, w którym trudno było oddychać; zrobiło się też ciemniej, bo nie dochodziło tu światło księżyca. Wąwóz opadał dość łagodnie w dół i wkrótce skały po obu stronach stały się urwistymi zboczami. Potem zaczęła się pojawiać skąpa roślinność: jakieś kolczaste krzaki przypominające kaktusy i twarda, ostra trawa, o którą można było pokaleczyć palce. Wkrótce skończył się piasek, a kopyta koni zachrzęściły na otoczakach. Za każdym zakrętem wąwozu - a zakrętów było wiele - wypatrywali z utęsknieniem jakiejś wody. Konie były już u kresu sił i Hwin, potykając się i dysząc ciężko, wlokła się za Brim. Ogarniała ich już rozpacz, gdy w końcu dotarli do niewielkiej, błotnistej rozpadliny, a po chwili zobaczyli nikłą strużkę wody płynącą leniwie wśród kamieni. Wkrótce trawa zrobiła się miększa i bujniejsza, strużka zamieniła się w strumyk, strumyk w potok z zaroślami po obu brzegach, potok stał się rzeką, i wreszcie nadszedł moment, gdy Szasta, który popadł w coś w rodzaju drzemki, nagle uświadomił sobie, że Bri zatrzymał się, a on sam ześlizguje się na trawę. Przed nimi szumiał niewielki wodospad, tworząc szerokie rozlewisko; oba konie stały już w wodzie z opuszczonymi łbami i piły, i piły, i piły...

- Och! - zdołał tylko zawołać Szasta i wskoczył do wody (sięgała mu do kolan), wsadzając głowę prosto pod wodospad. Była to najcudowniejsza chwila w jego życiu.

Minęło z dziesięć minut, zanim wszyscy czworo (dzieci prawie zupełnie przemoczone) wyszli z wody i zaczęli się rozglądać wokół siebie. Księżyc był już tak wysoko, że oświetlał wnętrze doliny. Oba brzegi rzeki porastała bujna, puszysta trawa, a poza nią na zbocza wspinały się gęste zarośla i drzewa. Wśród tego cienistego poszycia na pewno rosły jakieś wspaniałe, kwitnące krzewy, bo całą polankę przepelniała mieszanina chłodnych, cudownych zapachów. A z najciemniejszych zaciszy drzew rozległ się dźwięk, jakiego Szasta nigdy dotąd nie słyszał - śpiew

słowika.

Wszyscy byli zbyt zmęczeni, by mówić lub jeść. Konie nie czekały nawet na zdjęcie upręży i położyły się w trawie. Arawis i Szasta zrobili to samo.

Około dziesięciu minut później rozległ się cichy głos Hwin:

- Ale nie wolno nam zasnąć. Musimy utrzymać przewagę nad tym Rabadaszem.

- Tak - powiedział bardzo wolno Bri. - Nie wolno nam zasnąć. Tylko trochę odpoczniemy.

Szasta wiedział dobrze (przynajmniej przez chwilę), że wszyscy zasną, jeśli natychmiast nie wstanie i nie spróbuje czegoś zrobić. Czuł, że powinien to uczynić. Nawet już postanowił, że wstanie i nakłoni resztę do ruszenia w dalszą drogę. Ale jeszcze nie teraz... jeszcze nie w tej chwili... za minutę...

Wkrótce księżyc świecił i słowik śpiewał nad dwoma śpiącymi końmi i dwojgiem śpiących dzieci.

Pierwsza obudziła się Arawis. Słońce stało wysoko na niebie i minął już chłód poranka. „To moja wina”, pomyślała z rozpaczą, skoczyła na nogi i zaczęła budzić pozostałych. „Trudno oczekiwać, by konie nie zmrużyły oka po całodziennej wędrówce przez pustynię, nawet jeśli potrafią mówić. Ten chłopiec też nie jest niczemu winien; nie otrzymał przecież właściwego wychowania. Ale JA powinnam wiedzieć, że zaśniemy na dobre.” Pozostali rozglądali się dookoła nieprzytomnym wzrokiem.

- Hej-ho! Bri-ho! - zawołał Bri. - Co, spałem z siodłem na grzbiecie? Nigdy więcej. Okropnie niewygodnie...

- Słuchajcie! Weźcie się w garść! - powiedziała Arawis. - Straciliśmy już połowę poranka. Nie możemy czekać ani chwili dłużej.

- Uczciwy koń musi rano dostać porcyjkę trawy

- zauważył Bri.

- Obawiam się, że nie ma na to czasu - przerwała mu Arawis.

- Skąd ten piekielny pośpiech? - spytał Bri.

- Przebyliśmy przecież pustynię, czy nie?

- Ale nie jesteśmy jeszcze w Archenlandii. A musimy tam być przed Rabadaszem.

- Och, wyprzedzamy go o całe mile. Czyż nie wybraliśmy krótszej drogi? Szasto, czy ten kruk nie mówił, że to najkrótsza droga?

- Wcale nie mówił, że jest KRÓTSZA - odpowiedział Szasta. - Powiedział tylko,

że jest LEPSZA, bo dochodzi się nią do rzeki. Jeżeli tamta oaza leży prosto na północ od Taszbaanu, to obawiam się, że nasza droga musi być dłuższa.

- No cóż, ja nie jestem w stanie wędrować dalej bez przekąski - stwierdził Bri. - Zdejmij mi wędzidło, Szasto.

- P-posłuchajcie - odezwała się nieśmiało Hwin.

- Podobnie jak Bri czuję, że NIE MOGĘ iść dalej bez jedzenia. Ale kiedy konie mają na grzbiecie ludzi (z ostrogami i tymi innymi rzeczami), to czy nie są często zmuszane iść dalej, chociaż czują się tak jak my teraz? I często okazuje się w końcu, że mogą. Chodzi m-mi o to, że... czy teraz nie powinniśmy dać z siebie nawet więcej, teraz, kiedy jesteśmy wolnymi końmi? To wszystko dla Narnii.

- Myślę, pani - rzekł Bri miazdzącym tonem - że wiem trochę więcej niż ty o wyprawach i forsownych marszach, i o tym, co może, a czego nie może wytrzymać koń.

Hwin nic na to nie odpowiedziała, będąc, jak większość pełnokrwistych kłaczy, istotą bardzo wrażliwą i potulną, której łatwo jest zamknąć usta. W rzeczywistości miała całkowitą rację i gdyby Briego dosiadał w tym momencie jakiś Tarkaan, to rumak rychło by się przekonał, że jest zdolny do wielu jeszcze godzin ciężkiego marszu. Ale jednym ze złych skutków zniewolenia jest to, że kiedy nie ma już nikogo, kto by nas do czegoś zmuszał, często okazuje się, że prawie całkowicie utraciliśmy zdolność do zmuszenia samych siebie do czegoś.

Tak więc musieli poczekać, aż Bri „coś przekąsi”, a potem napije się wody, i oczywiście Hwin i dzieci nie przypatrywały się temu beczynnemu, lecz zrobiły to samo. Dochodziła jedenasta, kiedy w końcu ruszyli w drogę, a i wówczas Bri nie wysiłał się zbyt. Utrzymywanie zdrowego tempa przejęła na siebie Hwin, mimo że była słabsza i bardziej zmęczona.

Trzeba przyznać, że dolina, którą jechali, z brązową chłodną rzeką, z trawą, mchem, dzikimi kwiatami i rododendronami wprost zapraszała do powolnej jazdy.

ROZDZIAŁ 10

PUSTELNIK POŁUDNIOWYCH KRESÓW

PO KILKU GODZINACH JAZDY dolina rozszerzyła się i otworzyła. Mogli teraz zobaczyć, co jest daleko przed nimi. Rzeka, wzdłuż której jechali, wpadała tu do drugiej, szerszej i bardziej rwącej, płynącej z lewa na prawo, czyli z zachodu na wschód. Za tą nową rzeką rozpościerała się czarowna kraina niskich zielonych wzgórz, wznosząca się łagodnie aż do samych Północnych Gór. Na prawo piętrzyły się skaliste szczyty, niektóre z plamami śniegu w żlebach; na lewo, tak daleko, jak sięgał wzrok, ciągnęły się porośnięte sosnami zbocza, posępne granie, głębokie wąwozy i błękitne turnie. Szasta nie mógł już odnaleźć góry Pir wśród tych szczytów. Natomiast wprost przed nimi w łańcuchu gór widniała zalesiona przełęcz, która bez wątplenia musiała być owym przejściem wiodącym z Archenlandii do Narnii.

- Briiii-huuuu! Północ, zielona Północ! - zarżał Bri. I z całą pewnością wznoszące się przed nimi wzgórza były bardziej zielone niż cokolwiek Arawis i Szasta - wychowani na dalekim południu - mogli sobie dotąd wyobrazić. Serca im rosły, gdy kłusowali w dół, ku zbiegowi rzek, grząc kopytami po kamieniach.

Płynąca na wschód rzeka, której źródła kryły się w owych wyższych górach zachodniej części łańcucha, była wyraźnie zbyt wartka i gęsto poprzecinana skalnymi porohami, by marzyć o jej przepłynięciu w tym miejscu. Zaniepokojeni ruszyli wzdłuż jej brzegu w poszukiwaniu przeprawy i po jakimś czasie znaleźli miejsce wystarczająco płytkie, by przejść rzekę w bród. Huk bystrego nurtu, pienne wiry wokół pęcin koni, chłodne, orzeźwiające powietrze i polatujące błyskawicznymi skokami ważki napęłniły Szastę dziwnym podnieceniem.

- Przyjaciele! Jesteśmy w Archenlandii! - zawołał Bri, gdy wśród głośnego plusku i zimnych bryzgów wyszli wreszcie na północny brzeg rzeki. - O ile się nie mylę, rzekę, którą właśnie przeszliśmy, nazywają Krętą Strzałą.

- Mam nadzieję, że mieścimy się w czasie - mruknęła Hwin.

Teraz zaczęli się wspinać powoli na zbocze najbliższego wzgórza, które okazało się tak strome, że musieli iść zakosami. Kraina, w którą się zagłębili, przypominała rozległy, dziki park: wszędzie porośnięty trawą i kępami drzew, nigdy nie dość gęstymi i dużymi, by nazwać je lasem. Szasta, który przez całe życie mieszkał w bezleśnej, stepowej okolicy, nigdy nie widział tylu gatunków drzew. Gdybyście tam byli, rozpoznalibyście na pewno (czego Szasta nie potrafił) dęby, buki, srebrne brzozy, jarzębinę i kasztany. W trawie buszowały króliki, czmychające we wszystkie strony na

ich widok, a w pewnym momencie zobaczyli całe stado danieli, pierzchające przed nimi do najbliższej kępy drzew. I nigdzie nie było ani śladu drogi czy jakiegoś domostwa.

- Czy to wszystko nie jest po prostu wspaniale? - powiedziała Arawis.

Na szczycie pierwszego wzgórza dosiedli koni i Szasta odwrócił się w siodle, by popatrzeć za siebie. Nie było już widać Taszbaanu; aż do widnokregu rozpościerała się płaska pustynia, przzerwana tylko wąską, zieloną rozpadliną, którą dostali się do zbiegu rzek.

- Hej! - zawołał. - A co to takiego?!

- A co? - zapytał Bri i szybko się odwrócił. To samo zrobiła Hwin.

- To - rzekł Szasta, wskazując ręką. - Wygląda jak jakiś dym. Może to pożar?

- To mi przypomina burzę piaskową - powiedział Bri.

- Przecież nie ma wiatru - zauważyła Arawis.

- Och! - zawołała Hwin. - Spójrzcie! Tam się coś błyszczy. Patrzcie! Przecież to hełmy... i zbroje. I to się porusza... to pędzi w naszą stronę!

- Na wielkiego Tazsa!... - odezwała się Arawis zduszonym głosem. - To wojsko. To konnica Rabadasza!

- Oczywiście, to oni - powiedziała Hwin. - Tego się właśnie cały czas obawiałam. Szybko! Musimy być pierwsi w Anwardzie. - I bez zastanowienia okręciła się w miejscu na tylnych nogach, a potem ruszyła od razu ostrym galopem prosto na północ. Bri podrzucił gwałtownie łbem i uczynił to samo.

- Prędej, Bri, prędzej! - wołała Arawis przez ramię.

Był to naprawdę wyczerpujący galop. Gdy tylko osiągnęli szczyt kolejnego łańcucha wzgórz, otwierała się przed nimi następna dolina, a za nią następny grzbiet, a chociaż byli nieomal pewni, że pędzą w dobrym kierunku, nikt nie miał pojęcia, jak daleko jest Anward. Na szczycie kolejnego grzbietu Szasta jeszcze raz spojrzął za siebie. Połyskująca orężem chmura na pustyni znikła. Zamiast tego zobaczył ruchliwą, czarną masę, przypominającą wielką kolumnę mrówek, spływającą szybko ku brzegowi Krętej Strzały.

- Są już nad rzeką! - wrzasnął dziko.

- Prędej! Prędej! - zawołała Arawis. - Jeśli nie będziemy w Anwardzie pierwsi, wszystko stracone. Galopem, Bri, galopem! Przypomnij sobie, że jesteś koniem bojowym!

„Biedne zwierzę, przecież na pewno robi wszystko, na co je stać”, powtarzał

sobie w duchu Szasta, powstrzymując się w ten sposób od podobnych okrzyków. I z całą pewnością biedne konie dawały z siebie wszystko, a w każdym razie były o tym przekonane, co nie zawsze oznacza to samo. Bri zrównał się z Hwin i galopowali teraz bok w bok z głuchym tętentem kopyt po murawie. Wszystko wskazywało na to, że Hwin nie wytrzyma długo takiego tempa.

Nagle rozległ się za nimi dźwięk, który kazał im zapomnieć o pościgu konnicy Rabadasza. Nie był to bowiem dźwięk, którego się spodziewali, nie było to dudnienie kopyt i dzwonienie rynsztunku zmieszane z kalormeńskimi okrzykami bojowymi. Szasta rozpoznał ten dźwięk od razu. Był to ten sam gardłowy ryk, który usłyszał w ową księżycową noc, gdy po raz pierwszy spotkali Arawis i Hwin. Bri również go poznał. Jego oczy połyskiwały czerwienią, a uszy przylegały płasko do czaszki. I właśnie teraz Bri odkrył, że w rzeczywistości nie biegł dotąd tak szybko - nie w pełni tak szybko - jak potrafił. Szasta odczuł tę zmianę natychmiast. Teraz naprawdę galopowali ze wszystkich sił. W ciągu kilku sekund wyprzedzili Hwin o dobre kilka metrów.

„To nieuczciwe - pomyślał Szasta. - Przecież chyba miałem prawo być pewny, że TU nie spotkamy żadnych lwów!” Spojrzał za siebie. Wszystko było aż nazbyt jasne. Za nimi - a odległość zmniejszała się z każdą sekundą - pędziło olbrzymie płowe zwierzę, przylegając ciałem do trawy jak kot uciekający prosto do drzewa, gdy do ogrodu wpadnie obcy pies.

Szasta spojrzął przed siebie i zobaczył coś, w co nie potrafił uwierzyć - w tej chwili nie był nawet w stanie o tym dobrze pomyśleć. Pędzili prosto ku gładkiej, zielonej ścianie, wysokiej na jakieś trzy metry. W środku tej ściany znajdowała się otwarta brama. A w bramie stał wysoki starzec, ubrany w lnianą szatę koloru jesiennych liści, opadającą aż do bosych stóp. Wspierał się na długiej, prostej lasce, a jego broda sięgała kolan.

Szasta uchwycił tę scenę kątem oka i ponownie odwrócił głowę. Lew już prawie doścignął Hwin, raz po raz próbując schwytać zębami jej tylne nogi. Pysk klaczy pokrywała piana, a z jej szeroko otwartych oczu znikła wszelka nadzieja.

- Stój! - wrzasnął Szasta w ucho rumaka. - Musimy wrócić! Musimy im pomóc!

Bri zawsze później utrzymywał, że tego nie usłyszał, w każdym razie - nie zrozumiał, a ponieważ był na ogół bardzo prawdomównym koniem, musimy się z tym zgodzić.

Szasta wyłuskał stopy ze strzemion, zwiesił obie nogi z jednego boku Konia,

zawahał się przez jeden straszny ułamek sekundy - i skoczył. Poczł silne, bolesne uderzenie i poturlał się po ziemi, ale zanim zdał sobie sprawę, jak bardzo jest potłuczony, już biegł chwiejnym krokiem na pomoc Arawis. Jeszcze nigdy w życiu nie zrobił czegoś podobnego i nie zastanawiał się, dlaczego to uczynił.

Jeden z najokropniejszych dźwięków na świecie - kwik śmiertelnie przerażonego konia - rozdarł powietrze. Arawis zawisła nisko nad karkiem Hwin i próbowała wydobyć swój miecz z pochwy. I nagle wszyscy - Arawis, Hwin i lew - znaleźli się tuż nad Szasta. Lew stanął na tylnych łapach, większy teraz ponad wszelkie wyobrażenie, i zamachnął się na Arawis prawą przednią łapą. Arawis krzyknęła i zachwiała się w siodle. Lew rozerwał jej suknię na ramionach. Szasta, na wpół oszalała z przerażenia, zatoczył się ku bestii. Nie miał broni, nie miał nawet kija czy kamienia. Bez zastanowienia krzyknął głupio do lwa tak, jak się odpędza psa:

- Uciekaj! Do domu!

Przez ułamek sekundy patrzył prosto w rozdziawioną, wściekłą paszczę. A potem, ku jego największemu zdumieniu, lew - wciąż uniesiony na tylnych łapach - otrząsnął się nagle, skręcił łeb ku ogonowi, opadł na cztery łapy i uciekł.

Szasta nawet przez chwilę nie wierzył, że bestia uciekła na dobre. Odwrócił się i popędził ku bramie w zielonym murze, której istnienie dopiero teraz uświadomił sobie naprawdę. Hwin, potykając się, bliska omdlenia, już do niej dotarła; Arawis utrzymywała się wciąż w siodle, lecz jej plecy broczyły krwią.

- Wejdz, wejdz, moja córko - powiedział starzec w dziwnej szacie. - Wejdz i ty, mój synu. - Szasta usłyszał odgłos zamykanej bramy. Po chwili brodaty nieznajomy pomagał Arawis zejść z konia.

Znajdowali się na obszernym, idealnie okrągłym dziedzińcu otoczonym wysoką ścianą z zielonego torfu. Pośrodku była sadzawka tak pełna nieruchomej wody, że jej poziom prawie sięgał murawy. Tuż nad sadzawką, ocieniając ją całkowicie, rosło największe i najpiękniejsze drzewo, jakie Szasta kiedykolwiek widział. Nieco dalej widać było niski domek z kamienia pokryty grubą, omszałą strzechą. Usłyszał beczenie, a potem dostrzegł pod zieloną ścianą kilka kóz. Całą kolistą przestrzeń wewnątrz ogrodzenia pokrywała bujna, wspaniała trawa.

- Czy jesteś... czy... ty... - wystękał Szasta, dysząc ciężko - czy jesteś władcą Archenlandii, królem Luną?

Starzec potrząsnął przecząco głową.

- Nie - odpowiedział spokojnie. - Jestem Pustelnikiem Południowych Kresów. A

teraz, mój synu, nie trać czasu na pytania, lecz bądź posłuszny. Ta dziewczeczka jest ranna. Wasze konie są całkowicie wyczerpane. W tej chwili Rabadasz znalazł już bród przez Krętą Strzałę. Jeśli wyruszysz w dalszą drogę natychmiast, bez chwili wytchnienia, zdążysz jeszcze ostrzec króla Lunę.

Serce Szasty zamarło na te słowa, bo czuł, że nie ma już sił. Zabolało go dotkliwie okrucieństwo i niesprawiedliwość tego żądania. Jeszcze się nie nauczył, że kiedy się dokona czegoś dobrego, nagrodą jest zwykle inne zadanie - jeszcze większe i jeszcze cięższe. Ale głośno powiedział tylko:

- Gdzie jest król?

Pustelnik odwrócił się i wskazał swą laską.

- Spójrz. Tam jest druga brama, dokładnie naprzeciw tej, którą tu weszliście. Otwórz ją i idź prosto przed siebie, zawsze prosto przed siebie, przez to, co płaskie, i przez to, co strome, przez to, co równe, i przez to, co wyboiste, przez to, co suche, i przez to, co mokre. Wiem, że spotkasz króla Lunę, gdy pójdziesz prosto przed siebie, nie zbaczając nigdy z raz obranego kierunku. Lecz spiesz się, biegnij, biegnij, przez cały czas biegnij.

Szasta skinął głową, pobiegł ku północnej bramie i wkrótce za nią zniknął. Wtedy Pustelnik, który przez cały czas podtrzymywał Arawis lewą ręką, zaprowadził ją do kamiennego domu. Po dłuższej chwili wyszedł z niego sam.

- Teraz kolej na was, bracie i siostró - zwrócił się do koni.

Nie czekając na odpowiedź - biedne zwierzęta były zresztą zbyt wyczerpane, by mówić - rozkulbaczył je, a potem wyczyścił tak dokładnie i umiejętnie, że żaden z królewskich koniuszych nie zrobiłby tego lepiej.

- A teraz zapomnijcie o wszystkim i odpoczywajcie. Tu jest woda, a tu trawa. Kiedy wydoję moje siostry kozy, dostaniecie ciepłą karmę.

- Szlachetny panie - odezwała się Hwin słabym głosem - czy Tarkiina przeżyje? Czy lew jej nie zabił?

- Dzięki mej sztuce wiem naprawdę wiele o rzeczach terażniejszych - powiedział Pustelnik z uśmiechem - ale nawet ja nie wiem zbyt wiele o rzeczach przyszłych. Dlatego też nie mogę powiedzieć, czy jakikolwiek człowiek - mężczyzna czy kobieta - lub zwierzę będzie żyć, kiedy zajdzie dziś słońce. Ale bądźcie dobrej myśli. Wszystko wskazuje na to, że ta dziewczeczka będzie żyć tak długo, jak każda inna w jej wieku.

Kiedy Arawis przyszła do siebie, stwierdziła, że leży na niskim, niezwykle

miękkim łożu w chłodnym, pustym pokoju o ścianach z kamienia. Nie mogła zrozumieć, dlaczego leży twarzą w dół, ale kiedy spróbowała się przewrócić na plecy i poczuła w nich ostry, piekący ból, przypomniała sobie wszystko. Nie wiedziała natomiast, czym wymoszczone jest to cudowne posłanie, tak miękkie i jednocześnie sprężyste - bo było ono zrobione z wrzosu (który jest najlepszym posłaniem na świecie), a wrzos był czymś, czego jeszcze nigdy nie widziała i o czym nigdy nawet nie słyszała.

Drzwi otworzyły się i wszedł Pustelnik niosący dużą drewnianą misę. Postawił ją ostrożnie na podłodze, podszedł do łoża i zagadnął:

- Jak się czujesz, córko?

- Bardzo mnie bołą plecy, ojciec - odpowiedziała Arawis. - Ale poza tym nic mi nie jest.

Ukląkł przy niej, położył rękę na jej czole i wyczuł puls.

- Nie masz gorączki - rzekł. - Szybko wyzdrowiejesz. Myślę nawet, że nie ma powodu, byś nie miała wstać już jutro. Ale teraz musisz to wypić.

Podniósł drewnianą misę i ostrożnie nachylił do jej ust. Arawis nie mogła się powstrzymać przed grymasem, kiedy przełknęła pierwszy łyk, bo kozie mleko wywołuje pewien wstrząs u tych, którzy nie są do niego przyzwyczajeni. Ale była bardzo spragniona i udało się jej wypić wszystko, a kiedy skończyła, poczuła się lepiej.

- A teraz, moja córko, możesz spać, jeśli masz ochotę - powiedział Pustelnik. - Twoje rany są przemyte i opatrzone. Jeszcze bołą, ale nie są bardziej groźne niż rozcięcia po uderzeniu batem. Musiał to być bardzo dziwny lew: zamiast ściągnąć cię z konia i chwycić zębami, tylko przejechał pazurami po twoich plecach. Dziesięć krwawych śladów: bolesne, ale niezbyt głębokie i zupełnie niegroźne.

- Ach tak! - zawołała Arawis. - A to MIAŁAM szczęście!

- Córko - rzekł Pustelnik - żyję już na tym świecie sto i dziewięć zim, lecz nigdy jeszcze nie spotkałem czegoś takiego jak szczęście. Jest w tym wszystkim coś, czego nie rozumiem, ale jeśli tylko kiedyś będzie trzeba, byśmy to zrozumieli, to możesz być pewna, że tak się stanie.

- A co z Rabadaszem i jego dwustu jeźdźcami? - zapytała.

- Myślę, że pojedą inną drogą. Muszą znaleźć bród, a to dobry kawałek na wschód od nas. Stamtąd wyruszą prosto do Anwardu.

- Biedny Szasta! Czy to daleko? Czy dotrze tam przed nimi?

- Jest nadzieja, że tak będzie - odpowiedział starzec.

Arawis położyła się, tym razem na boku, i zapytała:

- Czy spałam długo? Chyba się już ściemnia?

Pustelnik popatrzył przez jedyne okno, które wychodziło na północ.

- To nie jest ciemność nocy - powiedział po chwili. - To chmury toczą się ze szczytu Burzystego Wierchu. W tych okolicach paskudna pogoda zawsze stamtąd przychodzi. W nocy będzie gęsta mgła.

Następnego dnia Arawis czuła się tak dobrze, że - choć plecy jeszcze ją bolały - Pustelnik pozwolił jej wstać. Oczywiście wyszła natychmiast, by porozmawiać z końmi. Pogoda poprawiła się i teraz cały krąg wewnątrz ogrodzenia z darni - jak wielka zielona misa - napełnił się słońcem. Było to bardzo spokojne i samotne miejsce.

Hwin podbiegła truchtem do Arawis i obdarzyła ją czułym końskim pocałunkiem.

- A gdzie jest Bri? - zapytała Arawis, kiedy już wypytały się o swoje zdrowie i sen.

- Tam - odpowiedziała klacz, wskazując nosem. - Bardzo cię proszę, idź do niego i spróbuj porozmawiać. Dzieje się z nim coś niedobrego. Nie mogłam z niego wyciągnąć ani jednego słowa.

Bri leżał w trawie z łbem zwróconym ku zielonej ścianie i chociaż musiał usłyszeć, że nadchodzą, nie odwrócił głowy i milczał.

- Dzień dobry, Bri - zaczęła Arawis. - Jak się czujesz?

Bri mruknął coś, czego nikt nie zrozumiał.

- Pustelnik mówi, że Szasta chyba zdąży do Anwardu przed nimi - ciągnęła Arawis - a więc wygląda na to, że nasze kłopoty się kończą. Narnia, w końcu Narnia, pomyśl tylko, Bri!

- Nigdy nie zobaczę Narnii - rzekł cicho rumak.

- Czy źle się czujesz, kochany Bri? - zapytała Arawis.

Bri odwrócił w końcu głowę, a minę miał tak żalospną, jak tylko może mieć koń.

- Wracam do Kalormenu - powiedział.

- Co?! Wracasz do niewoli?

- Tak. Jestem stworzony, by być niewolnikiem. Jak mógłbym się pokazać wśród wolnych koni narnijskich? Ja, który porzuciłem klacz, dziewczynę i chłopca na pastwę lwu, a sam pogalopowałem jak szalony, żeby uratować własną skórę?

- Wszyscy pędziliśmy jak szaleni - zauważyła Hwin.

- Ale nie Szasta! - warknął Bri. - On w każdym razie pobiegł we właściwym kierunku: Z POWROTEM. I to właśnie zawstydzają mnie najbardziej: ja, mieniący się bojowym koniem, zahartowany w setkach bojów, ja... zawstydzony przez chłopca, przez dziecko, po prostu źrebię, które nigdy nie miało miecza w dłoni, które nigdy nie przeszło porządnego przeszkolenia wojskowego, które nawet nie miało dobrego przykładu!

- Wiem, Bri, co czujesz - powiedziała Arawis. - Ja czuję to samo. Szasta był naprawdę zdumiewający, był wspaniały. Jestem równie godna pożałowania jak ty. Ucierałam mu nosa, patrzyłam na niego z góry przez cały czas, odkąd się spotkaliśmy, a teraz się okazało, że jest najbardziej wart podziwu z nas wszystkich. Ale myślę, że lepiej zostać i przeprosić go, niż wracać do Kalormenu.

- Łatwo ci mówić. Ty nie zhańbiłaś się tak jak ja. Ja utraciłem wszystko.

- Mój dobry koniu - odezwał się Pustelnik, który zbliżył się nie zauważony, bo jego białe stopy bezszelestnie stąpały po bujnej, pokrytej rosą trawie. - Mój dobry koniu, nie straciłeś niczego poza swoją próżnością. Nie, nie, mój bracie, nie strzyż uszami i nie wstrząsaj tak grzywą. Jeśli naprawdę czujesz się tak upokorzony, to musisz się nauczyć słuchać głosu rozsądku. Musisz zrozumieć, że wcale nie jesteś tym Wielkim Koniem, jakim się wydawałeś samemu sobie, gdy żyłeś wśród tych biednych, niemych stworzeń. Oczywiście, byłeś dzielniejszy i mądrzejszy OD NICH. Ale to wcale nie twoja zasługa. To wcale nie oznacza, że musisz być kimś niezwykłym również w Narnii. Dopóki będziesz o tym pamiętał, będziesz bardzo przyzwoitym koniem, tak w ogóle, jak i w porównaniu z innymi. A teraz, jeśli ty, mój bracie, i ty, moja czworonożna siostrze, pójdziecie ze mną do kuchni, to zobaczymy, co się dzieje z drugą połową tej mieszanki, którą wam wczoraj przygotowałem.

ROZDZIAŁ 11

NIEPROSZONY TOWARZYSZ WĘDRÓWKI

Kiedy Szasta przeszedł przez północną bramę, zobaczył przed sobą porośniętą trawą i wrzosem zbocze, którego wierzchołek ginął wśród drzew. Nie musiał teraz o niczym myśleć, nie musiał niczego planować: musiał tylko biec, a to i tak było niemało. Nogi i ręce mu dygotały, w boku czuł okropny, kłujący ból, oczy zalewały krople piekącego potu. Stawiał stopy niepewnie i kilka razy na luźnych kamieniach o mało nie skręcił nogi w kostce.

Drzewa rosły tu gęściej, a na rozległych polanach pojawiły się wysokie paprocie. Słońce znikło, lecz mimo to nie zrobiło się wcale chłodniej. Był to jeden z owych gorących, szarych dni, kiedy wydaje się, że much jest dwa razy więcej niż zazwyczaj. Twarz Szasty była nimi dosłownie oblepiona, jednakże nawet nie próbował ich odganiać. Pochłaniała go tylko jedna myśl: jak najszybciej dotrzeć do Anwardu.

Nagle usłyszał dźwięk rogu. Nie był to grzmiący, ponury ryk rogów w Taszbaanie, lecz wesołe zawołanie: ti-ro-to-to-ho! W następnej chwili wbiegł na szeroką polanę i znalazł się wśród tłumu ludzi.

Tak mu się w każdym razie wydawało. W rzeczywistości było tam piętnastu, może dwudziestu ludzi w zielonych, myśliwskich strojach. Niektórzy siedzieli na koniach, inni stali, trzymając swoje wierzchowce za uzdy. W samym środku ktoś przytrzymał strzemień konia, na którego miał właśnie wskoczyć wesoły, tęgi, z policzkami jak czerwone jabłka i z roziskrzonymi oczami - król.

Gdy tylko Szasta wybiegł z zarośli na polanę, król zapomniał o swoim koniu. Wyciągnął ku chłopcu ramiona i z rozpromienionym obliczem zawołał donośnym, głębokim głosem, który zdawał się wydobywać z samego dna jego piersi:

- Korinie! Mój synu! To ty! Pieszko i w łachmanach! Co...

- Nie - wyrzucił z siebie Szasta, dysząc ciężko i potrząsając gwałtownie głową. - Nie księżę Korin. Ja... ja... wiem, że jestem podobny... widziałem jego wysokość w Taszbaanie... przesyła pozdrowienia...

Król wpatrywał się w Szastę w osłupieniu.

- Czy t-ty jesteś k-królem Luną? - wyjąkał Szasta. I nie czekając na odpowiedź, mówił szybko dalej: - O panie, królu... pędź... Anward... zamknąć bramy... wróg blisko... Rabadasz i dwustu jeźdźców!

- Czy jesteś tego pewien, chłopcze? - zapytał jeden z myśliwych.

- Widziałem ich... na własne oczy - rzekł Szasta. - Ścigam się z nimi przez całą

drogę z Taszbaanu.

- Pieszko? - spytał myśliwy, unosząc brwi.

- Konie... z Pustelnikiem...

- Przestań go wypytywać, Darinie - odezwał się król. - Widzę prawdę w jego twarzy. Panowie, musimy natychmiast wracać. Dajcie temu chłopcu zapasowego konia. Przyjacielu, czy potrafisz szybko jeździć?

Zamiast odpowiedzi Szasta włożył nogę w strzemień konia, którego mu przyprowadzono, i błyskawicznie wskoczył na jego grzbiet. Robił to już setki razy z Brim w ciągu ostatnich kilku tygodni, z całą pewnością zupełnie inaczej niż owej pierwszej nocy, kiedy Bri powiedział, że wspina się na konia jak na stóg siana.

Przyjemnie mu się zrobiło, gdy usłyszał, jak Darin powiedział do króla:

- Ten chłopiec dosiada konia jak prawdziwy jeździec. Dam głowę, że płynie w nim szlachetna krew.

- Tak, jego krew, oto jest problem - odpowiedział król. I znowu wpatrzył się badawczo w chłopca, a w jego nieruchomych, szarych oczach było coś dziwnego, coś, co przywodziło na myśl głód.

Grupa jeźdźców ruszyła cwałem w drogę. Siodło Szasty było bardzo wygodne, nie wiedział jednak zupełnie, co począć z cugłami, ponieważ nigdy ich nie dotykał, gdy siedział na grzbiecie Briego. Kątem oka obserwował uważnie, jak radzą sobie z cugłami inni (podobnie jak robią to niektórzy z nas na przyjęciach, kiedy nie są całkiem pewni, którego noża czy widelca użyć do danej potrawy), i próbował naśladować ruchy ich rąk. Nie śmiał jednak naprawdę kierować koniem; ufał, że ten będzie biegł tam, gdzie reszta. Wierzchowiec, którego dosiadł, był zwykłym, niemym koniem, lecz miał tyle sprytu, by wyczuć, że ten dziwny chłopiec na jego grzbiecie nie ma bata ani ostróg i nie panuje nad sytuacją. Wkrótce znaleźli się w ogniu kawalkady.

Ale i tak była to szybka jazda. Pęd konia uwolnił chłopca od dokuczliwych much. Wdychał głęboko orzeźwiające powietrze i czuł zadowolenie, że wykonał poleczone mu zadanie. Po raz pierwszy od przybycia do Taszbaanu (jak się to wydawało odległe!) zaczął znowu cieszyć się życiem.

Podniósł głowę, żeby zobaczyć, jak blisko są już szczyty gór. Ku swemu zaskoczeniu nie zobaczył ich w ogóle: zamiast nich toczyła się z góry jakaś niewyraźna szarość. Nigdy jeszcze nie był w wysokich górach i nie był pewien, co to właściwie jest. „To chyba chmura - pomyślał - chmura, która opada. Rozumiem. Tu, w górach, jest

się naprawdę w niebie. Zaraz zobaczą, jak to jest: znaleźć się w środku chmury. Ależ to zabawne! Często o tym marzyłem.” Daleko, po lewej stronie, słońce już zachodziło.

Teraz wjechali na coś w rodzaju drogi i konie pobieły jeszcze szybciej. Szasta zaczął zostawać w tyle. Parę razy, gdy droga zakręcała (po obu stronach była teraz gęsta ściana puszczy), stracił z oczu pozostałych jeźdźców na sekundę lub dwie.

Potem zanurzyli się w mgłę albo raczej mgła stoczyła się na nich. Świat poszarzał. Szasta nie spodziewał się, że w środku chmury będzie tak zimno, mokro i ciemno. Szarość przechodziła w czerń z zastraszającą szybkością.

Na czele kolumny co chwila odzywał się róg i za każdym razem ten dźwięk wydawał się coraz odleglejszy. Teraz Szasta stracił już z oczu innych jeźdźców, lecz był przekonany, że zobaczy ich za najbliższym zakrętem. Ale kiedy minął zakręt, nie zobaczył nikogo. Właściwie nie widział już nic. Jego koń szedł stępa.

- Kłusem, koniu, kłusem! - zawołał. Z oddali dobiegł go słaby dźwięk rogu. Bri zawsze mu tłumaczył, że powinien trzymać pięty z dala od jego boków, więc wyobraził sobie, że stanie się coś okropnego, gdy uderzy konia piętami. Teraz była okazja, by to wypróbować.

- Posłuchaj, koniu - powiedział. - Jeśli nie ruszysz żwawiej, to wiesz, co zrobię? Wbiję ci obie pięty w boki. Naprawdę to zrobię.

Koń nie zwrócił najmniejszej uwagi na tę groźbę. Szasta usadowił się mocniej w siodle, przywarł udami do boków, zacisnął zęby i uderzył konia bosymi piętami tak mocno, jak potrafił. Jedynym efektem było to, że koń pobiegł pięć lub sześć kroków czymś, co zapewne miało być truchtem, po czym powrócił znowu do powolnego człapania. Zrobiło się zupełnie ciemno. „Dlaczego przestali grać na tym rogu?”, zaniepokoił się Szasta. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, było jednostajne kapanie wody z gałęzi drzew.

„No cóż, myślę, że nawet tym krokiem w końcu gdzieś dojedziemy - pocieszał się w duchu. - Mam tylko nadzieję, że nie natrafimy na Rabadasza i jego ludzi”. Wydawało mu się, że ta powolna wędrówka trwa już bardzo długo. Zaczął nienawidzić swego konia; poczuł też głód.

Wreszcie dotarł do miejsca, w którym droga wyraźnie się rozwidlała. Zastanawiał się właśnie, która z nich prowadzi do Anwardu, gdy usłyszał za sobą hałas. Dreszcz przebiegł mu po plecach: był to tętent wielu koni. „Rabadasz!”, pomyślał z rozpaczą. Nie było czasu na zgadywanie, którą drogę wybierze kalormeński królewicz. „Ale jeśli ja wybiorę jedną z nich - powiedział do siebie - on MOŻE wybrać

drugą: natomiast jeśli zostanę na miejscu, NA PEWNO mnie złapią”. Zeskoczył z konia i poprowadził go tak szybko, jak mógł, prawą drogą.

Odgłos pędzącej konnicy zbliżał się szybko i po minucie lub dwóch Szasta był pewien, że są już na rozstaju dróg. Wstrzymał oddech, oczekując na to, co się stanie.

Padła cicha komenda „Stać!”, a potem rozległa się mieszanina typowo końskich odgłosów: chrapliwe parskanie, przebieranie kopytami, gryzienie wędzideł, poklepywanie po szyjach. Wreszcie dobiegł go czyjś głos:

- Uważać mi na to, co powiem. Od zamku dzieli nas ze dwieście metrów. Pamiętajcie o rozkazach. Kiedy znajdziemy się w Narnii, a powinniśmy tam być o wschodzie słońca, macie zabijać tylko wtedy, gdy będzie to naprawdę konieczne. W tej wyprawie każda kropla narnijskiej krwi ma być dla was droższa niż galon waszej własnej. W TEJ wyprawie, powtarzam. Bogowie ześlą nam jeszcze szczęśliwą godzinę i wówczas nie zostawimy ani jednej żywej istoty między Ker-Paravelem a Latarnianym Pustkowiem. Ale nie jesteśmy jeszcze w Narnii. Jesteśmy w Archenlandii. Przy ataku na zamek króla Luny liczy się przede wszystkim zaskoczenie. Pokażcie, na co was stać. W ciągu godziny zamek musi być mój. A kiedy już będzie, daję wara wszystko, co tam znajdziecie. Rezygnuję z mojej części łupu. Pozabijajcie wszystkich barbarzyńców wewnątrz murów, od starca po dziecko urodzone wczoraj. Wszystko pozostałe jest wasze, do podziału: kobiety, złoto, klejnoty, broń, wino. Jeśli zobaczę, że ktoś zawaha się u wrót zamku, zostanie spalony żywcem. W imię Tasza, niezwycięzonego i nieubłaganego - naprzód!

Z głośnym chrzęstem i tętentem kolumna ruszyła w drogę, a Szasta odetchnął głęboko. Nie ulegało wątpliwości, że wybrali lewą drogę. Długo czekał, by ostatni dźwięk zamarł w oddali, bo chociaż przez cały dzień powtarzał sobie „dwieście koni”, to tak naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że to jest aż tak dużo. W końcu zapanowała cisza, przerywana tylko odgłosem kropli spadających z drzew.

Teraz wiedział już, która droga prowadzi do Anwardu, ale oczywiście nie mógł z niej skorzystać; oznaczałoby to wpadnięcie w ręce żołnierzy Rabadasza. „Cóż mam począć”, powtarzał w duchu. W końcu zdecydował się wsiąść na konia i pojechać dalej drogą, którą wybrał, w słabej nadziei znalezienia jakiegoś domostwa, gdzie będzie mógł poprosić o schronienie i posiłek. Pomyślał też, rzecz jasna, o powrocie do Arawis, Briego i Hwin, ale teraz nie miał już najmniejszego pojęcia, w jakim kierunku jest pustelnia.

- Ostatecznie - powiedział na głos - ta droga musi dokądś prowadzić.

Zapewne miał rację, wszystko jednak zależy od tego, co się rozumie przez słowo „dokądś”. Na razie droga prowadziła dokądś w tym znaczeniu, że naokoło było coraz więcej i więcej drzew, czarnych i ociekających wodą, i robiło się coraz zimniej. Dziwny, lodowaty wiatr pędził wokół niego mgłę, choć nigdy jej nie rozpędzał. Gdyby Szasta bywał już w górach, wiedziałby po tych oznakach, że jest coraz wyżej - być może już na samej przełęczy. Ale, niestety, nie miał o górach zielonego pojęcia.

„Naprawdę, jestem najniezwyklejszym chłopcem, jaki kiedykolwiek żył na świecie. Wszystkim jakoś wszystko się udaje, tylko mnie spotykają same nieszczęścia. Ci narnijscy panowie i ich piękna królowa wydostali się bezpiecznie z Taszbaanu - ja zostałem. Arawis, Hwin i Bri siedzą sobie w zacisznym domu tego starego Pustelnika - mnie oczywiście wysłano w drogę. Król Luna i jego towarzysze na pewno dotarli bezpiecznie do zamku i zamknęli bramy na długo przed przybyciem wojska Rabadasza - ja zostałem na zewnątrz.

Zmęczony i głodny tak się rozszalał nad swoim losem, że łzy popłynęły mu po policzkach.

Zapewne płakałby długo, brnąc na otępiałym koniu w nieznane, w zimnie i ciemności, gdyby nie zdarzyło się coś, co go przeraziło. Nagle poczuł, że ktoś lub coś idzie obok niego. Było już tak ciemno, że nic nie widział. A to coś (lub ktoś) szło tak cicho, że nawet nie słyszał odgłosu kroków. Słyszał tylko oddech. Jego niewidzialny towarzysz zdawał się oddychać naprawdę potężnie i Szasta odniósł wrażenie, że musi to być jakieś naprawdę wielkie stworzenie. A zaczął słyszeć ten oddech stopniowo, tak że nie potrafił teraz powiedzieć, jak długo ma tego straszego towarzysza. Bardzo go to przeraziło.

Przypomniał sobie, jak dawno temu słyszał, że w północnych krajach są olbrzymy. Zagryzł wargi w panicznym strachu. Ale przestał już płakać, choć właściwie dopiero teraz miał do tego prawdziwy powód.

To coś (jeśli to nie była osoba) szło wciąż obok niego tak spokojnie, że Szasta zaczął już mieć nadzieję, że to tylko wytwór jego wyobraźni. Ale właśnie wtedy, gdy był już tego zupełnie pewien, usłyszał wyraźnie tuż obok siebie głębokie westchnienie. Nie, to nie mogło mu się wydawać! Wyraźnie poczuł ciepło, jakie owionęło jego zmarznąętą lewą rękę.

Gdyby ten koń nadawał się do czegoś - albo gdyby Szasta wiedział, co zrobić, żeby się do czegoś nadawał - chłopiec postawiłby wszystko na jedną kartę i spróbował uciec od tego niechcianego towarzysza dzikim galopem. Wiedział jednak, że nie

potrafi zmusić konia do galopu. Nie pozostawało mu nic innego, jak wlec się nadal noga za nogą z owym niewidzialnym towarzyszem kroczącym i oddychającym miarowo u jego boku. W końcu nie mógł już dłużej tego znieść.

- Kim jesteś? - zapytał prawie szeptem.

- Kimś, kto długo czekał na to, aż przemówisz - odpowiedziało to coś. Głos nie był donośny, ale bardzo dźwięczny i głęboki.

- Czy jesteś... czy jesteś olbrzymem?

- Możesz mnie nazwać olbrzymem - rzekł Głos - ale nie jestem podobny do tych stworzeń, które nazywacie olbrzymami.

- Nie mogę cię w ogóle zobaczyć - powiedział Szasta, wpatrując się uważnie w ciemność. A potem przysła mu do głowy jeszcze bardziej przerażająca myśl i dodał głosem przechodzącym w pisk: - Ale przecież nie jesteś chyba... nie jesteś czymś UMARŁYM, prawda? Och, błagam cię, odejdz, zostaw mnie w spokoju! Co złego ci zrobiłem? Jestem tylko najnieszczęśliwszą osobą na całym świecie.

Ponownie poczuł ciepło oddechu na ręce i twarzy.

- Czy to jest oddech ducha? - usłyszał. - Opowiedz mi o swoich zmartwieniach.

Ten oddech wzbudził w chłopcu pewne zaufanie, opowiedział więc, że nigdy nie znał swoich prawdziwych rodziców, a wychowywał go surowo stary rybak. A potem opowiedział historię swojej ucieczki i o tym, jak ścigały ich lwy, i wszystko o tym, co się zdarzyło w Taszbaanie, i o nocy spędzonej wśród Grobowców, i o tym, jak bardzo bał się dzikich zwierząt warczących na niego na pustyni. I opowiedział o skwarze i pragnieniu, jakie towarzyszyły ich wędrówce przez pustynię, i o tym, jak prawie już byli u celu, gdy inny lew napadł ich i zranił Arawis. I także o tym, jak dawno nie miał nic w ustach.

- Wcale nie nazwałbym cię pechowcem - rzekł Głos.

- Czy nie uważasz, że tylko pechowiec może spotkać tyle lwów na swojej drodze?

- Lwów? Był tylko jeden lew - powiedział Głos.

- Jeden? O czym ty mówisz! Powiedziałem ci przecież, że już pierwszej nocy były przynajmniej dwa i...

- Był tylko jeden, za to bardzo szybki.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?

- Bo ja byłem tym lwem. - A kiedy Szasta zaczerpnął głęboko powietrza i pozostał tak, z otwartymi ustami, Głos mówił dalej: - To ja byłem tym lwem, który

zmusił cię do spotkania Arawis. Ja byłem tym kotem, który dotrzymywał ci towarzystwa między domami zmarłych. Ja byłem tym lwem, który odpędzał szakale, kiedy spałeś. Ja byłem tym lwem, który dodał koniom nowej siły płynącej z lęku, tak że ostatecznie zdołałeś dotrzeć do króla Luny we właściwym czasie. I chociaż tego zupełnie nie pamiętasz, ja byłem lwem, który popychał łódkę, w której leżałeś

- bliskie śmierci niemowlę - by dopłynęła do brzegu, gdzie był człowiek obudzony o północy, aby cię zabrać.

- A więc to ty zraniłeś Arawis?

- Tak, to ja.

- Ale dlaczego?

- Dziecko - powiedział Głos - opowiadam ci twoją historię, nie jej. Nikomu nie opowiadam cudzych historii.

- Kim TY jesteś? - zapytał Szasta.

- Sobą - odpowiedział Głos, tak głęboko i nisko, że ziemia zadrżała, i znowu: - Sobą - głośno, wyraźnie i pogodnie; i potem po raz trzeci: - Sobą

- szeptem tak cichym, że prawie go nie było słychać, a jednak zdawał się napływać ze wszystkich stron, jakby zaszumiały nim liście na wszystkich drzewach.

Szasta już się nie bał, że Głos należy do czegoś, co może go zjeść, albo że jest to głos jakiegoś upióra. Zadrżał, ale był to zupełnie nowy, inny rodzaj drżenia. Poczł dziwną radość.

Czerń mgły ustąpiła szarości, a szarość zamieniła się w biel. Musiało się to zacząć jakiś czas temu, ale podczas rozmowy z tym Kimś wcale tego nie zauważył. A teraz biel wokół niego stała się jasnością, która go oślepiła. Gdzieś przed sobą usłyszał śpiew ptaków. Widział już wyraźnie grzywę, uszy i łeb swego konia, oświetlone złotym blaskiem padającym z lewej strony. Szasta był pewien, że to wzeszło słońce.

Spojrzał w tamtą stronę i ujrzał kroczącego obok siebie Lwa wyższego od konia. Koń wcale się go nie bał albo go w ogóle nie widział. A światło promieniowało z Lwa. Nikt nigdy nie widział czegoś bardziej strasznego i wspaniałego zarazem.

Na szczęście Szasta spędził całe życie zbyt daleko na południu Kalormenu, by słyszeć opowieści szeptane sobie w Taszbaanie o straszliwym narnijskim demonie pojawiającym się w postaci lwa. I oczywiście nie znał też żadnej z prawdziwych opowieści o Aslanie, Wielkim Lwie, synu Władcy-zza-Morza, Królu nad wszystkimi wielkimi królami Narnii. Ale wystarczyło tylko raz spojrzeć w twarz Lwa, by ześliznąć się z konia i upaść Królowi do stóp. Nie był w stanie wypowiedzieć słowa, ale też nie

chciał niczego mówić i czuł, że może milczeć.

Wielki Król nad wszystkimi królami nachylił się ku niemu. Szastę otoczyła złota grzywa i płynący z niej dziwny, uroczysty zapach. Lew dotknął jego czoła językiem. Szasta podniósł głowę i ich spojrzenia spotkały się. A potem nagle blada jasność mgły i dzika jasność Lwa splotły się w jeden wirujący krąg, który skurczył się i zniknął. Był znowu sam z koniem na porośniętym trawą zbocz, pod błękitnym niebem. I śpiewały ptaki.

ROZDZIAŁ 12

SZASTA W NARNII

„CZYŻBY TO WSZYSTKO BYŁO TYLKO SNEM?”, zastanawiał się Szasta. Ale nie mógł to być sen, ponieważ na trawie zobaczył głęboki, wielki ślad przedniej łapy Lwa. Ile musiał ważyć, jeśli zostawił taki ślad! Jednak w odcisku łapy było jeszcze coś innego godnego uwagi. Na dnie zgromadziło się trochę wody. A kiedy Szasta podziwiał jego rozmiary i głębokość, wody wyraźnie przybyło. Wkrótce przelewała się przez krawędzie zagłębienia, aż w końcu po zboczu płynął już wśród trawy mały strumyk.

Szasta nachylił się i napił do syta, a potem zanurzył twarz i opryskał włosy. Woda była nadzwyczaj zimna, przejrzysta jak szkło i bardzo orzeźwiająca. Wytrząsając wodę z uszu i odgarniając mokre włosy z czoła, zaczął rozglądać się po okolicy.

Był wczesny poranek. Słońce dopiero co weszło znad lasu, który ciągnął się w dole zbocza i daleko po prawej stronie. Kraina, na którą patrzył, bardzo go zaskoczyła. Była to rozległa, zielona dolina, porośnięta gdzieś drzewami, spoza których błysnęła ku niemu rzeka płynąca na północny zachód. Na dalekim krańcu doliny widniały jakieś wysokie, skaliste szczyty, choć niższe od tych, jakie widział wczoraj. Po chwili zaczął się domyślać, gdzie jest. Odwrócił się i spojrzął za siebie. Zbocze, na którym stał, należało do łańcucha o wiele wyższych gór.

- Rozumiem - powiedział do siebie. - To są owe wysokie góry między Archenlandią a Narnią. Wczoraj byłem po tamtej stronie, a więc nocą musiałem przejść przez przełęcz. Co za szczęście, że na nią trafiłem! A zresztą nie, to nie było żadne szczęście... to ON! A teraz jestem w Narnii.

Rozsiodłał konia i zdjął mu uzdę. - Jesteś naprawdę okropnym koniem - powiedział. Ale koń nie zwrócił na to żadnej uwagi i natychmiast zaczął się paść. To, co myślał o Szaście, nie było zbyt pochlebne.

„Och, żebym tak i ja mógł jeść trawę!”, pomyślał Szasta. - „Do Anwardu nie ma co wracać, na pewno jest oblężony ze wszystkich stron. Lepiej zejść w dolinę i poszukam czegoś do zjedzenia”.

Zszedł więc po zboczu (a bose stopy zdrętwiały mu z zimna od rosy pokrywającej trawę), aż dotarł do lasu. Wiodła weń jakby ścieżka. Poszedł nią i nie minęło wiele minut, gdy usłyszał gruby, nieco zaspany głos:

- Dzień dobry, sąsiedzie.

Szasta zaczął się rozglądać na wszystkie strony w poszukiwaniu właściciela głosu i wreszcie zobaczył małą, kolczastą istotę o czarnej twarzy, która wyszła ku niemu pomiędzy drzew. Był to jeż, zapewne mały w porównaniu z człowiekiem, ale nadzwyczaj duży jak na jeża.

- Dzień dobry - powiedział Szasta. - Ale ja nie jestem żadnym sąsiadem. Muszę wyznać, że w tych stronach jestem po raz pierwszy.

- Ach, tak? - rzekł jeż, wyraźnie oczekując dalszych wyjaśnień.

- Przyszedłem z za gór, z Archenlandii.

- Ach, z Archenlandii - zdziwił się jeż. - To strasznie daleko. Nigdy tam nie byłem.

- I myślę - dodał Szasta - że ktoś tu powinien się dowiedzieć, że w tej właśnie chwili cała armia dzikich Kalormeńczyków atakuje Anward.

- Niemożliwe! - zawołał jeż. - Pomyśleć tylko! A mówią, że Kalormen leży setki, tysiące mil stąd, gdzieś na samym końcu świata, za wielkim morzem z piasku.

- Nie jest to aż tak daleko, jak myślisz - rzekł Szasta. - Ale czy nie powinno się coś zrobić z tym atakiem na Anward? Czy nie powinno się zawiadomić Wielkiego Króla?

- Z pewnością, coś trzeba z tym zrobić - zgodził się jeż. - Tylko że ja właśnie idę do łóżka na dłuższą dzienną drzemkę. Cześć, sąsiedzie!

Ostatnie słowa skierowane były do jasnobrązowego królika, którego głowa wynurzyła się właśnie z trawy opodal ścieżki. Jeż powtórzył natychmiast królikowi, co usłyszał od Szasty. Królik zgodził się, że są to bardzo ważne wiadomości i że ktoś powinien je przekazać komuś, żeby można było coś z tym zrobić.

I tak się zaczęło. Co kilka minut przyłączały się do nich różne stworzenia, jedne z gałęzi drzew nad ich głowami, inne z podziemnych domostw pod ich stopami, aż zebrało się pięć królików, wiewiórka, dwie sroki, kozionogi faun i mysz, a wszyscy mówili jednocześnie i wszyscy zgadzali się z jeżem. Prawda zaś była taka, że w owym Złotym Wieku, kiedy już Czarownica i Zima ustąpiły z Narnii, a Wielki Król Piotr panował na Ker-Paravelu, mniejsi mieszkańcy narnijskich lasów czuli się tak szczęśliwi i bezpieczni, że zaczęli być trochę niefrasobliwi.

W końcu pojawiły się jednak dwie bardziej rozsądnie myślące istoty. Jedną był Czerwony Karzeł, który - jak się okazało - miał na imię Bajon. Drugą był jelen, cudowne, arystokratyczne stworzenie z wielkimi, wilgotnymi oczami, z nakrapianymi bokami i nogami tak pełnymi wdzięku i cienkimi, że wyglądały, jakby można je było

złamać dwoma palcami.

- Lew ożył! - zagrział karzeł, gdy tylko usłyszał opowieść Szasty. -Jeśli tak, to co my tu jeszcze robimy?

Wróg w Anwardzie! Te wieści muszą być natychmiast przesłane do Ker-Paravelu. Trzeba będzie zwołać armię. Narnia musi wyruszyć na pomoc królowi Lunie.

- Ach! - zawołał jeź. - Ale przecież Wielkiego Króla nie ma w Ker. Jest na północy, ściga tych olbrzymów. A jeśli już mówimy o olbrzymach, to przyszło mi do głowy...

- Kto zanieś wiadomość? - przerwał mu karzeł. - Czy ktoś tutaj jest szybszy ode mnie?

- Chyba ja - odezwał się jeleń. - Co mam powiedzieć? Ilu jest Kalormeńczyków?

- Dwustu, a przewodzi im Rabadasz. I... - ale jeleń już skoczył w drogę: wszystkie cztery nogi oderwały się jednocześnie od ziemi i w tej samej chwili jego biały zad zniknął wśród drzew.

- Ciekaw jestem, dokąd on właściwie poleciał - rzekł królik. - Przecież nie zastanie Wielkiego Króla w Ker-Paravelu.

- Zastanie królową Łucję - powiedział Bajon. - A wtedy... Hej! Co się dzieje z tym człowiekiem? Zrobił się zupełnie zielony. Patrzcie, przecież on jest bliski omdlenia. Może jest wyczerpany z głodu? Młodzińcze, kiedy jadłeś ostatni raz?

- Wczoraj rano - odpowiedział Szasta słabym głosem.

- A więc chodź - rzekł karzeł, obejmując chłopca w pasie swoim grubym, krótkim ramieniem. - No, sąsiedzi, powinniśmy się wstydzić. Pójdiesz ze mną, chłopcze. Najpierw śniadanie, potem gadanie.

Mrucząc wciąż wymówki, karzeł poprowadził Szastę w las tak szybko, jak tylko mógł. Szli dłużej, niżby

sobie w tej chwili Szasta życzył, i mimo że droga wiodła w dół, nogi się pod nim uginały, gdy wyszli z lasu na gołe zbocze. Stał tam niewielki domek z dymiącym kominem i otwartymi drzwiami. Kiedy podeszli bliżej, Bajon zawołał:

- Hej! Braciszku! Mamy gościa na śniadaniu.

I natychmiast wraz z głośnym skwierczeniem doszedł do Szasty cudowny zapach. Taki zapach czuł pierwszy raz w życiu, choć mam nadzieję, że wy znacie go dobrze. Był to bowiem zapach bekonu, jajecznicy i grzybów smażących się razem w jednym rondlu.

- Uważaj na głowę - powiedział Bajon o pół sekundy za późno, bo Szasta już wyrznął czołem w niskie odrzwia. - A teraz - ciągnął karzeł - usiądź sobie wygodnie. Stół jest trochę dla ciebie za niski, no tak, więc i stołek też. O, tak będzie dobrze. Tu jest owsianka, a tu garnek ze śmietaną, a tu łyżka.

Kiedy Szasta skończył owsiankę, dwaj bracia Bajona (Figlin i Kruchopaluch) postawili na stole misę jajecznicy z bekonem i grzybami, dzbanek kawy, dzbanek gorącego mleka i grzanki.

Wszystko to było dla Szasty wspaniałe i nowe, bo jedzenie kalormieńskie jest zupełnie inne. Nawet nie wiedział, czym są te plasterki czegoś brązowego, bo nigdy przedtem nie widział grzanek. Nie wiedział, czym była owa złota, miękka rzecz rozsmarowana na ich wierzchu, bo w Kalormenie używa się oliwy zamiast masła. Zresztą sam dom też różnił się bardzo zarówno od ciemnej, zatechłej, śmierdzącej rybą chatki Arszisza, jak i od przeładowanych ozdobami, kolumnami i dywanami sal pałacowych w Taszbaanie. Izba była niska, a wszystko w niej zrobiono z drewna. Na ścianie wisiał zegar z kukułką, zaś na stole leżał obrus w czerwono-białą kratkę; była też głęboka misa z polnymi kwiatami i białe firanki w oknach.

Posługiwanie się kubkami, talerzami, nożami i widelcami sprawiało Szaście trochę kłopotu, i to nie tylko dlatego, że były bardzo małe, ale i dlatego, że było ich tak wiele. Nie mógł też przyzwyczać się do tego, że jego talerze i kubki były wciąż czymś napełniane, a sami bracia raz po raz mówili do siebie: „Poproszę masło” albo: „Jeszcze jeden kubek kawy”, albo: „Zjadłbym jeszcze trochę tych grzybków”, albo: „A może by tak usmażyć jeszcze po jajku?” A kiedy wreszcie zjedli tyle, ile mogą zjeść trzy karły, pociągnęli losy, kto będzie zmywał, i wypadło na Figlina. Bajon i Kruchopaluch wyszli z Szasta na zewnątrz i wskazali na długą ławkę, która biegła wzdłuż ściany domku. Wszyscy usiedli, rozprostowali nogi, westchnęli głęboko z zadowolenia, a karły napełniły fajki. Słońce przygrzewało już mocno i rosa znikła z trawy: gdyby nie lekki wiaterek, byłoby za gorąco.

- A teraz, przybyszu - rzekł Bajon - pokażę ci nasz kraj. Z tego miejsca widać prawie całą południową Narnię. Jesteśmy dumni z tego widoku. Tam, na lewo, między tymi bliższymi wzgórzami, widzisz Zachodnie Góry. A to okrągłe wzgórze na prawo zwane jest Wzgórzem Kamiennego Stołu. Tuż za...

Ale w tym momencie przerwało mu chrapanie Szasty, który zasnął, mając za sobą nocną wędrówkę i dobre śniadanie. Karły zaczęły sobie dawać znaki, że nie trzeba go budzić, a było przy tym tyle szeptania, kiwania głowami, wstawania i

chodzenia na palcach, że z pewnością by go obudziły, gdyby nie był tak zmęczony.

Spał zdrowo cały dzień i obudził się dopiero na kolację. Wszystkie łóżka w tym domu były dla niego za krótkie, ale karły zrobiły mu na podłodze posłanie z wrzosu. Spał kamiennym snem przez całą noc, nie śniąc i nie zmieniając pozycji.

Następnego ranka, gdy kończyli śniadanie, usłyszeli ostry, natarczywy dźwięk, dochodzący gdzieś z daleka.

- Trąbki! - zawołał Bajon i wszyscy czterej wybiegli na dwór.

Trąbki zabrzmiały ponownie. Był to dla Szasty zupełnie nowy dźwięk, nie tak potężny i uroczysty jak dźwięk rogów Tazbaanu ani tak wesoły i żywy jak myśliwski róg króla Luny, lecz jasny, ostry i dzielny. Dźwięk dobiegał wyraźnie z lasów na wschodzie i wkrótce usłyszeli tętent koni. W chwilę później z lasu wyłoniło się czoło kolumny.

Pierwszy jechał na gniadym koniu baron Peridan z wielkim sztandarem Narnii - czerwonym lwem na zielonym polu. Szasta poznał go od razu. Potem jechało ramię w ramię trzech jeźdźców: dwu na wielkich koniach bojowych i jeden na kucyku. W jednym z jeźdźców Szasta rozpoznał króla Edmunda, natomiast drugim była pani o jasnych włosach i miłej, pogodnej twarzy, ubrana w zbroję i hełm, uzbrojona w łuk i kołczan pełen strzał. („To królowa Łucja”, szepnął Bajon.) A trzecim, na kucyku, był Korin! Za nimi wynurzyła się z lasu cała armia: jeźdźcy na zwykłych koniach, jeźdźcy na mówiących koniach (które pozwalają się

dosiadać tylko przy bardzo szczególnych okazjach, na przykład kiedy Narnia wyrusza na wojnę), centaury, srogie, zawzięte w boju niedźwiedzie, potężne mówiące psy, a na samym końcu sześć olbrzymów. Bo w Narnii mieszkają też dobre olbrzymy. I chociaż Szasta wiedział już, że walczą po słusznej stronie, z początku nie mógł na nie patrzeć bez lęku: są takie rzeczy na świecie, do których trzeba się długo przyzwyczajać. Kiedy król i królowa dojechali do domku, a karły zaczęły się nisko kłaniać, król zawołał:

- Ahoj, przyjaciele! Czas na odpoczynek! - I od razu wybuchła wrzawa i zrobił się wielki ruch: jeźdźcy zsiadali z koni, otwierano sakwy z prowiantem, zabrzmiały okrzyki i rozmowy. Korin podbiegł do Szasty, schwycił go za obie dłonie i krzyknął:

- Co?! TY tutaj? A więc ci się udało! Jakże się cieszę! No, czeka nas nie lada zabawa. To się nazywa mieć prawdziwe szczęście. Dopłynęliśmy do portu w Ker-Paravelu wczoraj rano i pierwszą osobą, którą spotkaliśmy, był jelen Chervus z tymi wszystkimi wiadomościami o ataku na Anward. Czy nie sądzisz...

- Kim jest przyjaciel waszej książęcej mości? - zapytał król Edmund, który właśnie zsiadł z konia.

- Czy nie widzisz sam, panie? - rzekł Korin. - To mój sobowtór, ten chłopiec, którego wzięliście za mnie w Taszbaanie.

- Ach, więc to jest twój sobowtór! - wykrzyknęła królowa Łucja. - Rzeczywiście, podobni do siebie jak bliźniacy. To niesamowite!

- Niech mi wasza królewska mość wybaczy - rzekł Szasta do króla Edmunda. - Nie byłem zdrajcą, naprawdę. I nic nie mogłem poradzić na to, że usłyszałem wasze plany. Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, by zdradzić je waszym wrogom.

- Wiem, że nie byłeś zdrajcą, chłopcze - rzekł król, kładąc dłoń na głowie Szasty. - Ale jeśli nie chcesz być wzięty za zdrajcę, następnym razem staraj się nie słuchać tego, co nie jest przeznaczone dla twoich uszu. No, nie ma już o czym mówić.

Potem było takie zamieszanie, wymiana zdań, krzątania, że Szasta na kilka minut stracił z oczu Korina, Edmunda i Łucję. Ale Korin należał do tych chłopców, o których z całą pewnością nie można na długo zapomnieć. Nie minęło wiele czasu, gdy Szasta usłyszał donośny głos króla Edmunda:

- Na grzywę Lwa, mój książę, tego już za wiele! Czy wasza książęca mość nigdy się nie poprawi? Bardziej jesteś krewki niż cała nasza armia razem wzięta! Wolałbym już mieć pod swoimi rozkazami pułk szerszeni niż ciebie.

Szasta przecisnął się przez tłum i zobaczył króla Edmunda, rzeczywiście bardzo rozgniewanego, Korina, nieco zawstydzonego, i dziwnego karła siedzącego na ziemi i krzywiącego się z bólu. Paru faunów stało w pobliżu, najwidoczniej dopiero co rozdzieliwszy walczących.

- Gdybym tylko miała przy sobie mój kordiał - powiedziała królowa Łucja - nie byłoby już po tym nawet śladu. Ale Wielki Król zabronił mi kategorycznie brać go ze sobą na zwykłe wyprawy wojenne. Mam go zachować na zupełnie nadzwyczajne wypadki.

A oto, co się stało. Zaraz po pierwszej rozmowie z Szasta ktoś pociągnął Korina za łokieć. Był to karzeł zwany Głoginem.

- Co takiego, Głoginie? - zapytał Korin.

- Wasza wysokość - rzekł karzeł, odciągając go na stronę - dziś przejdziemy przez przełęcz, a stamtąd już blisko do zamku twojego ojca. Bitwa może się zacząć jeszcze przed nocą.

- Wiem - powiedział Korin. - Czy to nie wspaniałe?

- Wspaniałe czy nie, otrzymałem ścisły rozkaz od króla Edmunda: mam pilnować, by wasza wysokość nie znalazł się wśród walczących. Pozwolono ci popatrzeć na bitwę z daleka, a to i tak jest już wystarczające zagrożenie, biorąc pod uwagę miody wiek waszej wysokości.

- Cóż za bzdury! - wybuchnął Korin. - To jasne, że będę walczył. Przecież królowa Łucja też będzie wśród łuczników.

- Jej królewska mość zrobi, jak zechce - powiedział Głogin - ale ty jesteś pod moją opieką. Albo dasz mi zaraz uroczyste książęce słowo, że będziesz trzymał swego kucyka obok mojego (ani na pół szyi w przodzie), aż dam waszej wysokości znak do odwrotu, albo - to są słowa jego królewskiej mości

- pojedziemy związani ze sobą mocnym sznurem, jak więźniowie.

- Zwałę cię z nóg, jeśli spróbujesz mnie związać

- rzekł Korin.

- Chciałbym to zobaczyć - warknął karzeł.

Tego było już za wiele dla takiego chłopca jak Korin. W ciągu sekundy obaj toczyli ze sobą zażartą walkę. Byłaby to walka wyrównana, bo chociaż Korin miał dłuższe ręce i był wyższy, to karzeł był starszy i silniejszy. Nie została jednak rozstrzygnięta (jak to często bywa, gdy walczy się na nierównym zboczu wzgórza), ponieważ Głogin miał nieszczęście poślizgnąć się na kamieniu i upaść na nos, a gdy próbował się podnieść, stwierdził, że ma skręconą nogę w kostce. Było to naprawdę dokuczliwe zwichnięcie, uniemożliwiające jazdę konną przez okrągłe dwa tygodnie.

- Pomyśl tylko, książę, co zrobiłeś - rzekł król Edmund. - Pozbawiłeś nas doświadczonego żołnierza tuż przed bitwą.

- Chętnie zajmę jego miejsce - odpowiedział Korin.

- Dość! - przerwał mu Edmund. - Nikt nie wątpi w twoją odwagę. Ale chłopiec w bitwie jest niebezpieczny jedynie dla swoich.

W tym momencie król musiał się zająć jakąś inną sprawą, a Korin przeprosił uprzejmie karła, podbiegł do Szasty i szepnął:

- Szybko. Mamy teraz wolnego kucyka i rynsztunek karła. Bierz to i zmykaj, zanim ktoś zauważy.

- Ale po co? - zdziwił się Szasta.

- Jak to po co? Po to, żebyśmy mogli razem walczyć w bitwie. Nie masz ochoty?

- Och... eee... tak, oczywiście - powiedział Szasta. Ale w rzeczywistości nie miał na to najmniejszej ochoty i zaczął odczuwać niezbyt przyjemne mrowienie w

kręgosłupie.

- O, znakomicie - szepnął Korin. - To załóż przez głowę. Teraz pas do miecza. Musimy tylko trzymać się w ogonie kolumny i siedzieć cicho. Kiedy już bitwa się zacznie, wszyscy będą zbyt zajęci, aby zwracać na nas uwagę.

ROZDZIAŁ 13

OBŁĘŻENIE ANWARDU

Okolo jedenastej cała kawalkada była już w drodze na zachód, mając góry po lewej stronie. Korin i Szasta jechali na samym końcu, tuż za olbrzymami. Łucja i Edmund zajęci byli omawianiem planu bitwy i chociaż Łucja zapytała w pewnej chwili: „A gdzie jest jego durnowata wysokość?”, Edmund odpowiedział tylko: „Nie na przedzie kolumny, a to już jest pomyślna wiadomość. Nie przejmuj się nim”.

Szasta opowiedział Korinowi swoje przygody i wyznał, że uczył się jazdy konno od Briego, więc nie bardzo wie, co robić z cugłami. Korin wyjaśnił, jak się nimi posługiwać, a prócz tego opowiedział o potajemnej ucieczce z taszbańskiego portu.

- A gdzie jest królowa Zuzanna?

- W Ker-Paravelu. Wiesz, ona jest trochę inna niż Łucja. O, Łucja jest tak dobra jak mężczyzna, a w każdym razie jak chłopak. Królowa Zuzanna bardziej przypomina normalną, dorosłą kobietę. Nie jeździ na wojenne wyprawy, choć trzeba przyznać, że świetnie strzela z łuku.

Wijąca się wokół wzniesienia droga stawała się coraz węższa, a urwisko po prawej stronie coraz bardziej strome. W końcu jechali już wszyscy jeden za drugim nad krawędzią prawdziwej przepaści i Szastę ciarki przeszły na myśl, że jechał już tą drogą w nocy, nic nie wiedząc o przepaści. „Ale przecież byłem bezpieczny - uspokoił się w duchu. - Przecież to właśnie dlatego Lew szedł z mojej lewej strony. Przez cały czas był pomiędzy mną a krawędzią urwiska”.

Potem ścieżka skręciła w lewo, na południe, oddalając się od urwiska. Po obu stronach pojawił się gęsty las. Wspinali się teraz w górę, ku przełęczy. Gdyby nie drzewa, widok byłby wspaniały, ale las ciągnął się nieprzerwanie i nie widzieli nic, prócz szczytów potężnych turni, wynurzających się co jakiś czas znad koron drzew. Raz czy dwa zobaczyli orła szybującego wysoko na tle błękitnego nieba.

- Czują bitwę - rzekł Korin, wskazując na ptaka. - Wiedzą, że przygotowujemy im ucztę.

Szaście wcale się to nie podobało.

Kiedy przeszli przez siodło przełęczy, las rozstał się i Szasta zobaczył z góry całą Archenlandię, błękitną i nieco zamgloną, a nawet (tak mu się przynajmniej wydawało) skrawek pustyni poza nią. Ale słońce, które miało się już ku zachodowi, świeciło mu prosto w oczy, nie widział więc niczego wyraźnie.

Tutaj armia narnijska zatrzymała się i rozwinęła, a potem nastąpiła seria

przegrupowań. Oddział bardzo groźnie wyglądających mówiących zwierząt, którego Szasta wcześniej nie zauważył i który składał się głównie z różnego rodzaju drapieżników (leopardów, panter i innych wielkich kotów), zajął pozycję po lewej stronie. Olbrzymy otrzymały rozkaz zajęcia prawego skrzydła, ale zanim wyruszyły, zdjęły coś, co niosły na plecach, i na chwilę usiadły. Wówczas Szasta zobaczył, co to było: każdy miał parę butów - strasznych, ciężkich, nabijanych gwoździami buciorów do kolan - które dopiero teraz wkładał na nogi. Potem każdy oparł na ramieniu potężną maczugę i wszyscy pomaszerowali, by zająć swoje pozycje. Łucznicy, a z nimi królowa Łucja, usadowili się z tyłu. Szasta przyglądał się z zaciekawieniem, jak zakładają cięciwy na łuki; potem rozległy się krótkie, dźwięczne stęknięcia, kiedy je wypróbowywali. I gdziekolwiek się spojrzano, widać było ludzi zaciskających pasy, zakładających hełmy, dobywających mieczy i rzucających płaszcze na ziemię. Nikt już nic nie mówił. Wszystko to było bardzo uroczyste i bardzo groźne. „I ja biorę w tym udział... naprawdę biorę w tym udział”, myślał Szasta.

Potem z daleka dobiegł ich hałas i wrzawa: wrzask wielu ludzi i miarowe dudnienie.

- To taran - szepnął Korin. - Próbują rozwalić bramę.

Nawet Korin wyglądał teraz dosyć poważnie.

- Dlaczego król Edmund nie rusza? - niecierpliwił się. - Nie mogę wytrzymać tego oczekiwania. Robi się zimno.

Szasta kiwnął głową, mając nadzieję, że nie wygląda na tak przerażonego, jak się czuł.

Wreszcie - trąbka! Narnijczycy ruszyli - najpierw wolno, potem lekkim biegiem - a sztandar rozwinął się na wietrze. Przeszli przez niewielki grzbiet i nagle otworzyła się przed nimi cała scena: mały, najeżony basztemi zameczek z bramą po ich stronie. Niestety - bez fosy, ale oczywiście z zamkniętymi wrotami i opuszczoną kratą. Na murach widać było jasne plamki twarzy obrońców. A poniżej około pięćdziesięciu pieszych Kalormeńczyków kołysało olbrzymim pniem, co jakiś czas uderzając jego końcem w bramę. Lecz teraz scena nagle się zmieniła. Główny trzon armii Rabadasza, gotowy do wtargnięcia do zamku po wyważeniu bramy, zauważył Narnijczyków spadających jak burza po zboczu. Nie ulegało wątpliwości, że ci Kalormeńczycy znali dobrze żołnierskie rzemiosło. Wydawało się, że nie minęła sekunda, a wszyscy byli już na koniach, w bojowym szyku, zataczając krąg, aby stawić im czoło - już pędząc prosto na nich.

Przestrzeń między dwoma wojskami błyskawicznie malała. Szybciej, szybciej. Wszystkie miecze dobyte, wszystkie tarcze przy nosach, wszystkie modlitwy wypowiedziane, wszystkie zęby zaciśnięte. Szasta był śmiertelnie przerażony, lecz nagle pomyślał: „Jeżeli stchórzę w tej bitwie, będę tchórzem w każdej następnej bitwie w moim życiu. Teraz... albo nigdy”.

Kiedy jednak obie linie starły się wreszcie ze sobą, prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, co się właściwie dzieje. Wybuchło okropne zamieszanie, tumult, wrzawa. Bardzo szybko wytrącono mu miecz z ręki, a cugle jakoś się poplątały. Wkrótce stwierdził, że zsuwa się powoli z konia. Potem zobaczył przed sobą włócznię, zrobił unik i stoczył się na ziemię, uderzając boleśnie wierzchem lewej dłoni w czyjąś zbroję, a potem...

Ale nie ma sensu opisywać bitwy tak, jak widział ją Szasta: zbyt mało wiedział, o co chodzi w tej walce w ogóle, a nawet jaki jest w niej udział jego samego. Aby wam opisać, co się naprawdę działo, najlepiej będzie, gdy zabiorę was kilka mil dalej, tam gdzie Pustelnik Południowych Kresów siedział pod rozłożystym drzewem, wpatrzony w gładką powierzchnię sadzawki, razem z Brim, Arawis i Hwin.

Bo właśnie w tę sadzawkę patrzył zawsze Pustelnik, kiedy chciał wiedzieć, co się dzieje na świecie, poza zielonymi murami jego pustelni. Tam, jak w zwierciadle,

mógł oglądać to, co się dzieje na ulicach miast leżących o wiele dalej niż Tazbaan albo jakie okręty wpływają właśnie do portu Redhaven na dalekich Siedmiu Wyspach, albo co to za rabusie lub dzikie zwierzęta grasują w wielkiej Zachodniej Puszczy między Latarnianym Pustkowiec a Telmarem. A tego dnia w ogóle nie odchodził od sadzawki, nawet po to, aby coś zjeść czy wypić, ponieważ wiedział, że w Archenlandii dzieją się bardzo ważne rzeczy. Arawis, Hwin i Bri towarzyszyli mu przez cały czas. Wiedzieli już, że jest to magiczna sadzawka: w lustrze wody nie odbijały się nieruchome drzewo i niebo, ale w głębi migały jakieś mgliste, kolorowe i ruchome kształty, przesuwane się bez przerwy w dziwnym korowodzie. Nie mogli jednak niczego zobaczyć wyraźnie. Tylko Pustelnik widział wszystko dokładnie i od czasu do czasu mówił im, co się właśnie dzieje. Na krótko przedtem, nim Szasta ruszył do swojej pierwszej w życiu bitwy, Pustelnik mówił:

- Widzę jednego... dwa... trzy., orły szybujące wokół Burzystego Wierchu. Jeden z nich to najstarszy ze wszystkich orłów. Wylatuje tylko wtedy, gdy zanoszą się na jakąś bitwę. Widzę, jak polatuje tu i tam, wpatrując się w dół... czasem patrzy na Anward, a czasem na wschód, poza Burzysty. Ach... widzę teraz, czym Rabadasz i jego

ludzie byli tak zajęci przez cały dzień. Ścięli i oczyścili z gałęzi olbrzymie drzewo, a teraz wychodzą z lasu, niosąc je jak taran. Czegoś się nauczyli po nieudanym nocnym ataku. Rabadasz mądrzej by postąpił, każąc swym ludziom sporządzić drabiny, ale to zajęłoby mu więcej czasu, a on jest niecierpliwy. Co za głupiec! Powinien wycofać się do Taszbaanu zaraz po pierwszym nieudanym ataku, bo cały jego plan opierał się na szybkości i na zaskoczeniu. Teraz ustawiają taran przed bramą. Ludzie króla Luny ostrzeliwują ich zawzięcie z murów. Pięciu Kalormeńczyków dosięgły strzały, ale reszta już jest bezpieczna. Trzymają tarcze nad głowami. Teraz Rabadasz wydaje rozkazy. Są z nim jego najbardziej zaufani wasale, dzicy Tarkaanowie ze wschodnich prowincji. Widzę ich twarze. Jest tam Korradin z zamku Tormunt, i Azrooh, i Chlomasz, i Ilgamut z krzywą wargą, i jakiś wysoki Tarkaan z purpurową brodą.

- Na grzywę Lwa, to mój dawny pan, Anradin! - zawołał Bri.

- Ciiiiicho! - syknęła Arawis.

- Teraz walą już taranem w bramę. Gdybym mógł nie tylko widzieć, lecz i słyszeć, byłby to straszliwy hałas! Uderzenie za uderzeniem... żadna brama nie wytrzyma tego przez dłuższy czas. Ale zaraz, poczekajcie! Pod Burzystym Wierchem coś spłoszyło ptaki. Wychodzą całe tłumy. Poczekajcie... jeszcze nie widzę... Ach! Teraz! Teraz widzę. Cała grań na wschodzie poczerniała od jeźdźców. Gdyby tylko wiatr rozwinął chorągiew... Teraz spadają w dół. Aha! Widzę sztandar. Narnia! Narnia! To czerwony lew. Pędzą w dół zboczem. Widzę króla Edmunda. Jest tam też jakaś kobieta, z tyłu z łucznikami. Och!

- Co się stało? - zapytała Hwin, wstrzymując oddech.

- Jego wszystkie koty okrążyły wroga z lewej strony.

- Koty? - zdumiała się Arawis.

- Wielkie koty, leopardy, pantery - wyjaśnił Pustelnik niecierpliwie. - Ach tak, rozumiem. Koty zatoczyły krąg i atakują teraz tych, co są pieszo. Dobre posunięcie. Teraz kalormeńskie konie szaleją ze strachu. Teraz koty są już między nimi. Ale Rabadasz zdołał przegrupować szyk i ma ze sobą stu ludzi w siodłach. Szarżują na Narnijczyków. Dzieli ich sto metrów. Pięćdziesiąt. Widzę króla Edmunda. Widzę barona Peridana. Ale cóż to? Widzę dwoje dzieci w narnijskim szyku. Cóż to za pomysł, by je wysłać do walki! Dziesięć metrów. Spotkali się. Olbrzymy na prawym skrzydle dokonują prawdziwych cudów... ale jeden upada... zdaje się strzała ugodziła go w oko. W środku... straszliwe zamieszanie. Lepiej widać to, co się dzieje po lewej stronie. Tam są ci dwaj chłopcy. Na żywego Lwa, jeden z nich... to królewicz Korin!

Drugi, podobny do niego jak dwa ziarenka grochu do siebie... ależ tak, to wasz mały przyjaciel, Szasta! Korin walczy jak mężczyzna. Powalił Kalormeńczyka. Widzę teraz lepiej, co się dzieje w środku. Rabadasz i Edmund byli już blisko siebie, ale teraz tłum walczących znowu ich rozdzielił.

- Ale co z Szasta? - zapytała Arawis.

- Och, co za głupiec! - zawołał Pustelnik. - Biedny, dzielny głupiec. Nie ma pojęcia o walce. W ogóle nie posługuje się tarczą. Odkrywa cały bok, zupełnie nie wie, co robić z mieczem. O, teraz sobie przypomniał. Wymachuje nim dziko... o mały włos uciąłby głowę swemu kucykowi. Naprawdę, obetnie mu ją, jeśli nie będzie uważał. Teraz miecz wyleciał mu z ręki. To po prostu morderstwo, wysłać dziecko do bitwy, przecież za chwilę będzie już po nim. Zrób unik, głupcze... och, spadł...

- Zabity?! - wykrzyknęły jednocześnie trzy głosy.

- Skąd mam wiedzieć? Koty już wykonały swoje zadanie. Wszystkie konie bez jeźdźców leżą martwe albo się rozpięchły: na nich już Kalormeńczycy nie uciekną. Teraz koty wracają na główne pole bitwy. Rzucają się na tych ludzi z taranem. Taran porzucony. O tak, wspaniale! Brama otwiera się od wewnątrz, na pewno załoga Anwardu robi wypad. Tak! Już widzę pierwszych trzech. Król Luna w środku, bracia Dar i Darin po jego bokach. Za nimi Tran i Szar, a potem Koi ze swoim bratem Kolinem. Jest ich tam dziesięciu... dwudziestu... prawie trzydziestu. Linia Kalormeńczyków pęka. Król Edmund zadaje wspaniałe ciosy. Właśnie ugodził śmiertelnie Korradina. Wielu Kalormeńczyków rzuciło broń i ucieka do lasu. Ci, co zostali, bronią się rozpaczliwie. Olbrzymy zamykają krąg od prawego skrzydła... koty od lewego... król Luna z tyłu. Została już tylko mała garstka wrogów, walczą wsparci o siebie plecami. Twój Tarkaan upada, Bri, Luna i Azrooh walczą ze sobą... król chyba jest górą... król dzielnie się trzyma - król zwyciężył. Azrooh już leży, król Edmund upada... nie, podniósł się... walczy z Rabadaszem w samej bramie zamku. Znowu poddało się kilku Kalormeńczyków. Darin zwyciężył Ilgamuta. Nie widzę, co się stało z Rabadaszem. Chyba martwy, osunął się na mur zamku, ale nie jestem pewien. Chlamasz i król Edmund wciąż jeszcze walczą, ale to już koniec bitwy. Chlamasz się poddał. Całkowita klęska Kalormeńczyków.

Kiedy Szasta spadł z konia, był pewien, że już po nim. Ale konie, nawet w bitwie, o wiele rzadziej tratuja ludzi, niż wam się wydaje. Po długich dziesięciu minutach grozy Szasta zdał sobie nagle sprawę, że w najbliższym sąsiedztwie nie ma już żadnych końskich nóg oraz że wrzawa (a wciąż jeszcze rozbrzmiewały różne głosy i

dźwięki) nie jest już wrzawą bitewną. Usiadł i rozejrzał się dokoła. Nawet on, niewiele wiedzący o bitwach, zrozumiał, że Archenlandczycy i Narnijczycy zwyciężyli. Wszyscy żywi Kalormeńczycy byli jeńcami, brama zamku stała otworem, a król Luna i król Edmund ściskali sobie dłonie ponad taranem oblężniczym. Z otaczającego ich kręgu baronów i rycerzy dobiegały odgłosy bezładnych i podnieconych, lecz wyraźnie rozradowanych rozmów. I nagle wszystkie głosy zlały się i podniosły w jednym wielkim wybuchu śmiechu.

Szasta dźwignął się z ziemi zupełnie odrętwiały i pobiegł w ich kierunku, żeby zobaczyć, z czego się śmieją. A zobaczył naprawdę bardzo komiczną scenę. Nieszczęsny Rabadasz wisiał na zamkowym murze, wymachując rozpaczliwie nogami jakieś pół metra od ziemi. Jego kolczuga ze stalowych kólek była dziwnie podciągnięta, tak że zacisnęła się pod ramionami i zakryła mu pół twarzy. Wyglądał zupełnie jak człowiek usiłujący zdjąć bardzo sztywną koszulę, która jest na niego za mała. W opowieściach, które później krążyły (a możecie być pewni, że opowiadano o tym często jeszcze przez wiele dni), to, co się wydarzyło, wyglądało mniej więcej tak:

Na początku bitwy jeden z olbrzymów zamachnął się na Rabadasza nogą w nabijanym gwoździami bucie. But wprawdzie nie trafił w Rabadasza, co uratowało mu życie, lecz kopnięcie nie okazało się zupełnie bezużyteczne, bowiem jeden z gwoździ rozerwał stalową kolczugę księcia tak łatwo, jak wy czy ja moglibyśmy komuś rozerwać zwykłą koszulę. W ten sposób, kiedy Rabadasz spotkał się oko w oko z Edmundem, miał na plecach w kolczudze dziurę. A kiedy Edmund zaczął go coraz bardziej przyciskać do muru, wskoczył na kamienny występ w murze i stamtąd zasypywał króla ciosami miecza. Szybko jednak doszedł do wniosku, że ta pozycja czyni z niego znakomity cel dla wszystkich narnijskich łuczników, więc zdecydował się zeskoczyć ponownie na ziemię. Chciał przy tym wyglądać bardzo groźnie i bardzo imponująco - i bez wątpienia przez moment tak wyglądał, gdy skoczył z okrzykiem: „Piorun Tasza spada z wysoka!” Musiał jednak skoczyć w bok, ponieważ przed nim tak było gęsto od ludzi, że nie miałby gdzie wylądować. A wówczas, zupełnie jakby sobie to ktoś wymarzył, dziura w kolczudze trafiła dokładnie na hak wystający z muru. (Dawno temu było tam kółko do przywiązywania koni). I w ten sposób został już tam, na murze, jak sztuka wypranej bielizny powieszona do wysuszenia, wystawiony na pośmiewisko.

- Pozwól mi zejść, Edmundzie - wył. - Pozwól mi zejść i walcz ze mną jak król i mężczyzna albo zabij mnie, jeśli jesteś zbyt wielkim tchórzem.

- Z pewnością... - zaczął Edmund, lecz król Luna przerwał mu:

- Za pozwoleniem, wasza królewska mość. Nie tak. - Po czym zwrócił się do Rabadasza: - Wasza książęca wysokość, gdybyś rzucił nam to wyzwanie tydzień temu, to nie byłoby nikogo w całym państwie króla Edmunda - od Wielkiego Króla po najmniejszą mówiącą mysz - kto by ci nie odpowiedział. Lecz atakując nasz zamek Anward w czasie pokoju, bez wypowiedzenia wojny, udowodniłeś, że nie jesteś rycerzem, lecz zdrajcą... kimś, kto bardziej zasługuje na chłostę niż na zaszczyt skrzyżowania miecza z kimkolwiek obdarzonym honorem. Zdejmijcie go, zwiążcie i zaprowadźcie do zamku, później pomyślimy, co zechcemy z nim uczynić.

Kilka par silnych rąk odebrało Rabadaszowi miecz i ściągnęło na ziemię. Poprowadzono go do zamku, a on krzyczał, groził, przeklinał, a nawet płakał. Bo chociaż zniosłby tortury, nie potrafił znieść ośmieszenia. W Taszbaanie każdy traktował go zawsze bardzo poważnie.

W tym momencie Korin podbiegł do Szasty, chwycił go za rękę i zaczął ciągnąć do króla Luni wołając:

- On tu jest! Ojczy, on tu jest!

- Tak, a tu jesteś wreszcie TY! - rzekł król burkliwym głosem. - I brałeś udział w bitwie, nie słuchając moich zakazów. Przecież ty możesz złamać ojcu serce! W twoim wieku bardziej by pasowała różga do twoich majtek niż miecz do twojej dłoni.

Ale każdy, nie wyłączając Korina, widział, że król był z niego bardzo dumny.

- Panie, nie besztań go już więcej - rzekł baron Darin. - Jego książęca wysokość nie byłby twoim synem, gdyby nie odziedziczył twoich skłonności. *Załóżę się, że bardziej by cię zasmuciło, gdyby się zachował zupełnie inaczej.*

- Dobrze już, dobrze - mruknął król. - Tym razem zapomnijmy o tym. A teraz...

To, co teraz nastąpiło, zaskoczyło Szastę bardziej niż jakiegokolwiek z dotychczasowych wydarzeń. Nagle znalazł się w objęciach króla Luni, przypominających trochę uścisk niedźwiedzia. Król ucałował go w oba policzki, postawił z powrotem na ziemi i powiedział:

- Stańcie obok siebie, chłopcy, i niech cały dwór was zobaczy. Podnieście głowy. A teraz, panowie, popatrzcie na tych dwóch. Czy ktoś ma jeszcze jakieś wątpliwości?

A Szasta wciąż jeszcze nie mógł zrozumieć, dlaczego wszyscy gapili się na niego i Korina ze zdumieniem ani dlaczego wybuchła potem radosna wrzawa i wiwaty.

ROZDZIAŁ 14

JAK BRI STAŁ SIĘ MĄDRZEJSZYM KONIEM

POWRÓĆMY TERAZ DO ARAWISI KONI. Patrząc w swoją magiczną sadzawkę, Pustelnik był w stanie powiedzieć im, że Szasta żyje i nawet nie odniósł poważniejszych ran, bo widział, jak chłopiec powstał z pola bitwy i jak został serdecznie powitany przez króla Lunę. Ale ponieważ Pustelnik mógł tylko widzieć, a nie słyszeć, i nie wiedział, co kto mówi, to teraz, gdy skończyła się bitwa, a zaczęły rozmowy, nie warto było już dłużej wpatrywać się w taflę wody.

Następnego ranka cała trójka zaczęła się zastanawiać, co robić dalej.

- Mam już tego dosyć - powiedziała Hwin. - Pustelnik jest dla nas bardzo dobry i jestem mu bardzo wdzięczna za wszystko, to pewne. Ale coś mi się zdaje, że jedząc bez przerwy i nie zażywając ruchu, utylam jak czyjś ulubiony kucyk. Musimy wyruszyć w drogę. Do Narnii!

- Och, nie dzisiaj, pani - rzekł Bri. - Po co się tak spieszyć? Może za parę dni, nie uważacie?

- Musimy najpierw zobaczyć się z Szasta. Przecież trzeba go pożegnać... i... i przeprosić... - powiedziała Arawis.

- O to, właśnie to - zawołał Bri z wielkim zapalem. - Właśnie to chciałem powiedzieć.

- Ależ oczywiście - zgodziła się Hwin. - Na pewno jest w Anwardzie. To jasne, że musimy się z nim i zobaczyć, i pożegnać. Ale Anward leży przecież po drodze do Narnii. Dlaczego nie mielibyśmy wyruszyć w drogę od razu? Ostatecznie wszyscy chcieliśmy dostać się do Narnii, czyż nie?

- Chyba tak - powiedziała Arawis, którą coraz bardziej dręczyło pytanie, co właściwie powinna zrobić teraz, kiedy już tu się znalazła. Czowała się nieco osamotniona.

- Oczywiście, oczywiście - rzekł Bri pospiesznie. - Ale przecież chyba nie ma potrzeby popędzania życia. Mam nadzieję, że wiecie, co chcę przez to powiedzieć?

- Nie, ja nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć - przerwała mu Hwin. - Dlaczego właściwie nie chcesz wyruszyć w drogę natychmiast?

- Mmmm... Briii-huuu... - mruknął Bri. - No cóż, czy nie rozumiesz, pani... to bardzo ważne wydarzenie... powrócić do swojej ojczyzny... mmm... wrócić do społeczności... najlepszej społeczności... jest sprawą zasadniczą, by sprawić dobre wrażenie... być podobnym do siebie...

Hwin wybuchnęła soczystym końskim śmiechem.

- Ach, chodzi o twój ogon! Teraz wszystko rozumiem. Chcesz poczekać, aż ci ogon odrośnie! Nawet nie wiemy, czy w Narnii nosi się teraz długie ogony. Naprawdę, Bri, jesteś tak próżny jak ta Tarkiina w Tazbaanie!

- Jesteś po prostu głupi, Bri - dodała Arawis.

- Na grzywę Lwa, Tarkiino, naprawdę taki nie jestem - oburzył się Bri. - Żywię tylko właściwy szacunek do siebie i do innych koni, to wszystko.

- Bri, już od dawna chciałam cię o coś zapytać - powiedziała Arawis, którą w ogóle niewiele obchodził jego obcięty ogon. - Dlaczego wciąż mówisz: „Na grzywę Lwa” i „Na Lwa”? Myślałam, że nienawidzisz lwów.

- Masz całkowitą rację - odpowiedział Bri. - Ale kiedy mówię o „Lwie”, mam na myśli Aslana, wielkiego wybawcę Narnii, który przepędził Czarownicę i Zimę. Wszyscy Narnijczycy przysięgają na niego.

- Ale czy on jest lwem?

- Nie, nie, oczywiście nie - zaprzeczył gwałtownie Bri.

- We wszystkich kalormeńskich opowieściach mówi się, że jest lwem - powiedziała Arawis. - Ale jeśli nie jest, to dlaczego go tak nazywasz?

- No cóż, w twoim wieku chyba trudno byłoby ci to zrozumieć - odrzekł Bri. - Ja zaś byłem małym źrebakiem, kiedy mnie stąd porwano, więc sam tego dobrze nie rozumiem.

(Mówiąc to, Bri był odwrócony tyłem do zielonej ściany otaczającej pustelnię, a Arawis i Hwin stały do niego przodem. Mówił nieco przemądrzałym tonem i oczy miał na wpół przymknięte, więc nie zauważył, że twarze jego towarzyszek bardzo się zmieniły. Wytrzeszczyły oczy i otworzyły usta, a miały święte prawo to uczynić, bo kiedy Bri mówił, na szczyt zielonego ogrodzenia z darni wskoczył olbrzymi Lew. Był o wiele jaśniejszy, większy, wspanialszy i bardziej przerażający niż jakikolwiek lew, jakiego w życiu widziały. Po chwili zeskoczył do środka i zaczął się zbliżać do Briego. Stąpał bezszelestnie, a Hwin i Arawis nie były w stanie wydobyć z siebie głosu.)

- Bez wątpienia - ciągnął Bri - kiedy mówią o nim jako o lwie, mają tylko na myśli, że jest silny i dziki jak lew... dla naszych wrogów, rzecz jasna. Nawet tak mała dziewczynka jak ty, Arawis, powinna zrozumieć, że byłoby zupełnym absurdem przypuszczać, że on jest PRAWDZIWYM lwem. Oznaczałoby to nawet pewien brak szacunku. Gdyby był lwem, to byłby zwierzęciem, tak jak my. Przecież... - i tu Bri zaczął się śmiać - przecież gdyby był lwem, miałby cztery łapy, ogon i... WĄSY!... Aj! Ooooooch! HUUUUUU! Ratunku!

Bo właśnie gdy wypowiedział słowo „WĄSY”, jeden z wąsów Aslana ukłuł go w ucho. Bri pobiegł jak strzała do przeciwległej strony ogrodzenia i tam zawrócił, bo ściana była za wysoka, by ją przeskoczyć. Arawis i Hwin cofnęły się. Przez chwilę zrobiło się zupełnie cicho.

Potem Hwin, trzęsąc się cała, wydała z siebie dziwne rzenie i podbiegła truchtem do Lwa.

- Zechciej mi wybaczyć, ale jesteś taki cudowny - powiedziała. - Możesz mnie zjeść, jeśli masz ochotę. Wolałabym być zjedzona przez ciebie niż przez kogokolwiek na świecie.

- Moja najdroższa córko - powiedział Aslan, składając lwi pocałunek na jej rozedrganym, aksamitnym nosie. - Wiedziałem, że nie będziesz się wahała do mnie podejść. Radość będzie twoja.

Potem podniósł głowę i przemówił mocniejszym głosem:

- A teraz ty, Bri, ty biedny, dumny, przestraszony koniu. Zbliź się. Jeszcze bliżej, mój synu. Nie wąż się nie mieć odwagi. Dotknij mnie. Oto są moje łapy, oto mój ogon, oto moje wąsy. Jestem prawdziwym zwierzęciem.

- Aslanie - powiedział Bri trzęsącym się głosem - obawiam się, że muszę być strasznym głupcem.

- Szczęśliwy koń, który o tym wie, dopóki jeszcze jest młody. Dotyczy to również człowieka. Podejdz bliżej, Arawis, moja córko. Spójrz! Moje łapy są miękkie. Tym razem nic ci nie grozi.

- Tym razem, panie? - zapytała Arawis.

- To ja ciebie zraniłem. Byłem jedynym lwem w całej twojej wędrówce. Czy wiesz, dlaczego cię zraniłem?

- Nie, panie.

- Rany na twoich plecach - łza za łzę, ból za ból, krew za krew - odpowiadały ranom, jakie pozostawił bat na plecach niewolnicy twojej macochy, tej niewolnicy, którą uśpiłaś przed swoją ucieczką. Trzeba było, abyś poznała, co się wówczas czuje.

- Tak, panie. Pozwól, że...

- Pytaj, moja córko.

- Czy spotkała ją jeszcze jakaś inna krzywda za to, co zrobiłam?

- Moje dziecko - odpowiedział Lew - opowiadam ci twoją historię, nie jej. Każdemu opowiadam tylko o nim samym. - Potrząsnął grzywą i przemówił łagodniejszym głosem: - Weselcie się, moi mili. Niedługo znowu się spotkamy.

Przedtem jednak będziecie mieć jeszcze jednego gościa. - Po tych słowach jednym susem wskoczył na ogrodzenie i zniknął im z oczu.

Może to dziwne, ale nie mieli ochoty rozmawiać o nim, gdy zniknął. Każde odeszło powoli w inną stronę i spacerowało samotnie, rozmyślając.

Około pół godziny później oba konie zostały zawołane na tył domu, gdzie Pustelnik przygotował dla nich coś smacznego do jedzenia. Arawis wciąż spacerowała samotnie, pogrążona w myślach, gdy nagle usłyszała ostry dźwięk trąbki za bramą.

- Kto tam? - zawołała.

- Jego wysokość książę Kor z Archenlandii - brzmiała odpowiedź.

Arawis otworzyła bramę i cofnęła się nieco, aby przepuścić przybyszów.

Najpierw weszli dwaj żołnierze z halabardami i stanęli po obu stronach bramy. Potem wszedł herold, a za nim trębacz.

- Jego królewska wysokość książę Kor z Archenlandii prosi o posłuchanie u pani Arawis! - zawołał herold. Potem on i trębacz rozstąpili się, żołnierze sprezentowali halabardy i wszedł sam książę. Cała jego świta wyszła, zamykając za sobą bramę.

Książę skłonił się i był to bardzo niezdarny ukłon jak na księcia. Arawis dygnęła po kalormeńsku (co w ogóle nie przypomina naszego dygania), a uczyniła to bezbłędnie i z wdziękiem, bo oczywiście uczono ją, jak to robić. Potem podniosła głowę, aby przyjrzeć się księciu.

Zobaczyła chłopca. Miał gołą głowę, a jego włosy otaczał wąski diadem ze złota. Jego wierzchnia tunika zrobiona była z białego, delikatnego batystu, tak że prześwitywała przez nią jaskrawa czerwień spodniej tuniki. Lewa dłoń, wsparta na emaliowanej rękojeści miecza, owinięta była bandażem.

Arawis spojrzała dwa razy na jego twarz, zanim wciągnęła głęboko powietrze i zawołała:

- Przecież to jest Szasta!

Szasta zaczerwienił się gwałtownie i zaczął mówić bardzo szybko:

- Posłuchaj, Arawis, mam nadzieję, że nie pomyślisz, iż przychodzę tu w taki sposób... ten trębacz i w ogóle... żeby zrobić na tobie wrażenie albo żeby pokazać, że się zmieniłem, albo coś podobnie bzdurnego. Naprawdę, wołałbym przyjść tu w swoim dawnym ubraniu, ale je spalono, a mój ojciec powiedział...

- Twój ojciec? - przerwała mu Arawis.

- Moim ojcem jest król Luna. Właściwie to mogłem sam się tego domyślić,

skoro Korin jest tak do mnie podobny. Jesteśmy bliźniakami. No, i nie nazywam się Szasta, lecz Kor.

- Kor to ładniejsze imię niż Szasta - powiedziała Arawis.

- W Archenlandii tak się zwykle nazywa braci - wyjaśnił Szasta (albo raczej księżę Kor) - Dar i Darin, Koi i Kolin, Kor i Korin.

- Szasto... to znaczy Korze - zaczęła Arawis i urwała, a po chwili ciągnęła dalej: - Nie, nic nie mów. Muszę ci od razu coś powiedzieć. Wybacz mi, że byłam taką świnią. Ale, uwierz mi, zmieniłam się już przedtem, zanim się dowiedziałam, że jesteś królewiczem. To się stało wtedy, gdy zawróciłeś, aby stawić czoło Lwu.

- On nie miał zamiaru cię zabijać.

- Wiem - powiedziała Arawis, kiwając głową. Oboje milczeli uroczyście przez chwilę, gdy poznali, że każde z nich spotkało już Aslana.

Nagle Arawis przypomniała sobie o zabandażowanej ręce Kora.

- Słuchaj! - zawołała. - Zapomniałam! Byłeś przecież w bitwie. Czy to rana?

- Ech, tylko zadraśnięcie - odpowiedział Kor, używając po raz pierwszy tonu, który można by nazwać „książęcym”. Ale w chwilę później wybuchnął śmiechem i dodał: - Jeśli chcesz znać prawdę, to nie jest żadna rana. Zdarłem sobie skórę z kostek, co mogło się przydarzyć każdemu takiemu niezdarze nawet bez zbliżania się do bitewnego pola.

- W każdym razie wziąłeś udział w bitwie. To musiało być wspaniałe.

- Było zupełnie inaczej, niż myślałem - rzekł Kor.

- Ale Sza... Korze, nie opowiedziałeś mi jeszcze o królu Lunie i o tym, jak cię poznał.

- A może byśmy usiedli? Bo to jest trochę dłuższa opowieść. Wiesz, ojciec jest zupełnie fantastyczny. Cieszyłbym się tak samo... albo prawie tak samo... gdybym się dowiedział, że jest moim ojcem, a nie jest królem. Chociaż czeka mnie Wychowanie i Nauka, i różne inne okropne rzeczy. Ale chciałaś wiedzieć, jak do tego wszystkiego doszło. Otóż Korin i ja byliśmy bliźniętami. I w jakiś tydzień, może dwa, po naszym narodzeniu zabrano nas do jednego starego, mądrego centaura w Narnii, żeby nas pobłogosławił czy coś w tym rodzaju. Ten centaur był prorokiem, jak to bywa z wieloma centaurami. Może jeszcze nigdy nie widziałaś centaura? Wczoraj w bitwie było ich kilku. Zupełnie niesamowite istoty, chociaż nie mogę powiedzieć, że bym się przy nich czuł najlepiej. Wiesz co, Arawis, myślę, że w tych północnych krajach jest wiele rzeczy, do których trzeba się będzie przyzwyczaić.

- Na pewno, ale opowiedz mi wreszcie wszystko.

- No więc, gdy tylko centaur zobaczył Korina i mnie, popatrzył na mnie i powiedział: „Nadejdzie dzień, gdy ten chłopiec uratuje Archenlandię od największego zagrożenia, jakie ją kiedykolwiek spotkało”. Oczywiście mój ojciec i moja matka bardzo się ucieszyli. Ale był tam ktoś, kto wcale się nie ucieszył.

Nazywał się Bar... był przedtem wielkim kanclerzem mojego ojca. Najwidoczniej zrobił coś złego... ZANIEWIERZYŁ coś czy coś w tym rodzaju, nie zapamiętałem dobrze tego słowa i niezbyt dobrze zrozumiałem ten kawałek opowieści... i ojciec musiał pozbawić go urzędu. Ale na tym się skończyło, pozwolono mu odejść z zamku i zamieszkać gdzieś w Archenlandii. A on musiał być naprawdę zły do szpiku kości, bo później wyszło na jaw, że już dawno brał pieniądze od Tisroka i przesyłał mu za to do Taszbaanu wiele tajnych informacji. Więc jak tylko usłyszał, że ja mam kiedyś uratować Archenlandię od wielkiego niebezpieczeństwa, postanowił usunąć mnie z drogi. No, i udało mu się porwać mnie (nie wiem dokładnie jak) i wywieźć konno wzdłuż Krętej Strzały nad morze. Przedtem wszystko sobie przygotował i tam czekał na niego okręt z jego zwolennikami. Wypłynęli w morze, ale mojemu ojcu bardzo szybko o tym doniesiono i puścił się w pościg. Kiedy dojechał na wybrzeże, Bar wypłynął już w morze, tylko żagiel było jeszcze widać. Ojciec wsiadł na jeden ze swoich okrętów wojennych i... pomyśl tylko... w ciągu dwudziestu minut odbił od brzegu. Musiał to być wspaniały pościg. Przez sześć dni ścigali galeon Bara i w końcu zmusili go do bitwy. Była to wielka bitwa morska... opowiadano mi o niej wczoraj wieczorem... od dziesiątej rano aż do zachodu słońca. Baron Bar został zabity. Ale jeden z jego ludzi wziętych do niewoli wyznał, że wczesnym rankiem tego samego dnia, kiedy Bar już wiedział, że go dogonimy, wsadził mnie z jednym tylko rycerzem do łodzi ratunkowej i wysłał w morze. Nigdy już jej nie znaleziono. A była to, rzecz jasna, ta sama łódź, którą Aslan... on chyba kryje się za wszystkimi opowieściami!... zepchnął na brzeg we właściwym miejscu, tak aby Arszisz mnie uratował. Chciałbym znać imię tego rycerza, bo wszystko wskazuje na to, że uratował mi życie, zagładzając się sam na śmierć.

- Aslan powiedziałaby, że to już należy do historii życia kogoś innego - wtrąciła Arawis.

- No tak, zapomniałem o tym - przyznał Kor.

- Bardzo jestem ciekawa, jak się to proroctwo spełni - powiedziała Arawis - i co to będzie za niebezpieczeństwo, przed którym uchronisz Archenlandię.

- No cóż - rzekł Kor nieco zakłopotany - oni uważają, że ja już to zrobiłem.

Arawis klasnęła w dłonie.

- No tak, to jasne! Jaka jestem głupia. I jakie to cudowne! Archenlandia nigdy nie mogła być bardziej zagrożona niż wówczas, gdy Rabadasz przeszedł przez Strzałę ze swoimi jeźdźcami. A ty zdołałeś przedrzeć się do króla, by go ostrzec. Czy nie czujesz się dumny?

- Wydaje mi się, że jestem raczej trochę przerażony tym wszystkim - rzekł Kor.

- I będziesz mieszkał w Archenlandii - powiedziała Arawis nieco melancholijnie.

- Ach! Mało brakowało, a zapomniałbym, po co tu przybyłem. Ojciec pragnie, abyś z nami zamieszkała. Mówi, że brakuje mu damy na dworze (nie wiem, dlaczego to nazywają dworem), odkąd zmarła moja matka. Och, zgódź się, Arawis! Polubisz mojego ojca... i Korina. Nie są tacy jak ja, zostali właściwie wychowani. Nie musisz się obawiać, że...

- Och, przestań - przerwała mu Arawis - bo się naprawdę pobijemy. Oczywiście, że się zgadzam.

- No, to chodźmy zobaczyć się z końmi. Odbyło się wzruszające i radosne powitanie. Bri,

wciąż usposobiony bardzo potulnie, zgodził się, by od razu iść do Anwardu: on i Hwin wyruszą do Narnii... następnego dnia. Wszyscy czworo pożegnali się serdecznie z Pustelnikiem i obiecali, że wkrótce znowu go odwiedzą. Zanim nadeszło południe, byli już w drodze. Konie spodziewały się, że Arawis i Kor ich dosiądą, ale Kor wyjaśnił im, że z wyjątkiem wojny, kiedy każdy musi robić wszystko, co trzeba i co potrafi, nikomu w Narnii czy w Archenlandii nigdy nawet się nie śniło, by dosiąść mówiącego konia.

To przypomniało biednemu Briemu o tym, jak mało wie o narnijskich zwyczajach i jak okropne błędy może popełnić. Tak więc, gdy Hwin pogrążona była w szczęśliwych marzeniach, Bri robił się z każdym krokiem coraz bardziej nerwowy.

- Nie przejmuj się, Bri - powiedział Kor. - Mnie czekają o wiele gorsze rzeczy niż ciebie. Ty nie będziesz WYCHOWYWANY. Ja będę się uczył czytania, pisania, heraldyki, tańca, historii i muzyki, podczas gdy ty będziesz sobie galopował po wzgórzach Narnii i tarzał się w trawie, ile tylko dusza zapragnie.

- W tym właśnie rzecz - rzekł Bri. - Czy mówiące konie tarzają się? A jeśli nie? Tego bym nie zniósł. Co o tym myślisz, Hwin?

- W każdym razie ja mam zamiar się tarzać - odpowiedziała klacz. - Nie sądzę, żeby kogoś obchodziło, czy będziesz się *tarzać*, czy nie.

- Czy jesteśmy już blisko zamku? - zapytał Bri.

- Jeszcze jeden zakręt - odparł księżę.

- No, to zaraz się wytarzam. Może to ostatni raz. Zaczekajcie na mnie minutkę.

Minęło pięć minut, zanim podniósł się wreszcie, parszcząc głośno, cały oblepiony źdźbłami paproci.

- Teraz jestem gotowy - powiedział ponurym głosem. - Prowadź, księżę. Narnia i Północ.

Ale wyglądał bardziej jak koń idący na pogrzeb niż porwany za młodu i wracający po latach do domu i wolności.

ROZDZIAŁ 15

RABADASZ ŚMIESZNY

ZA NASTĘPNYM ZAKRĘTEM droga wyprowadziła ich z lasu i tam, za zielonymi łąkami, zobaczyli zamek Anward osłonięty przed północnym wiatrem wysoką, zalesioną granią. Był to bardzo stary zamek, zbudowany z czerwono-brązowego kamienia.

Zanim dotarli do bramy, wyszedł im na spotkanie król Luna. Wyglądał zupełnie inaczej, niż Arawis wyobrażała sobie króla. Ubrany był w najstarszy ze swoich starych strojów, bo właśnie robił obchód psiarni i zatrzymał się tylko na moment, aby umyć ręce. Za to ukłon, jakim przywitał Arawis, godny był cesarza.

- Młoda damo - rzekł - witamy cię serdecznie. Gdyby żyła moja ukochana żona, na pewno spotkałyby cię większe owacje i honory, ale i tak nie moglibyśmy tego zrobić z gorętszym sercem. Bardzo mi przykro, że spotkały cię takie niepowodzenia i że byłaś zmuszona do opuszczenia domu swego ojca, co na pewno nie jest miłe. Mój syn Kor opowiedział mi już o waszych przygodach i o twojej dzielności.

- To on sam tego wszystkiego dokonał - powiedziała Arawis. - Rzucił się na lwa, aby mnie ratować.

- Co takiego? - zdziwił się król, a twarz mu pojaśniała z dumy. - Nigdy nie słyszałem tej części waszej historii.

Więc Arawis opowiedziała ją. A Korowi, który bardzo chciał, aby wszyscy ją poznali (lecz czuł, że nie powinien jej sam opowiadać), nie podobała się tak, jak tego oczekiwał; prawdę mówiąc, było mu trochę głupio. Za to jego ojcu podobała się bardzo i w ciągu kilku następnych tygodni opowiedział ją tylu osobom, że Kor zaczął już pragnąć, aby nigdy się nie wydarzyła.

Potem król zwrócił się do Hwin i Briego i był wobec nich tak uprzejmy jak wobec Arawis, i zadał mnóstwo pytań dotyczących ich rodzin i miejsc, w których żyli, zanim zostali porwani. Konie były trochę skrupowane, bo jeszcze się nie przyzwyczyły do tego, że ludzie mogą z nimi rozmawiać jak z równymi (oczywiście dorośli ludzie, bo Arawis i Kor się nie liczyli).

Po jakimś czasie z zamku wyszła królowa Łucja, a król Luna powiedział do Arawis:

- Moja droga, oto jest umiłowana przyjaciółka naszego domu. Chciała osobiście doglądnąć, by twoje komnaty zostały przygotowane jak należy, a z pewnością uczyniła to lepiej, niż ja mógłbym to zrobić.

- Czy nie chciałabyś pójść ze mną i zobaczyć, jak to wygląda? - zapytała Łucja, całując Arawis. Polubiły się od razu i po chwili odeszły do zamku, aby pomówić o przygotowanym dla Arawis saloniku i o jej sypialni, i o strojach dla niej, i o wszystkich podobnych sprawach, o jakich zwykle rozmawiają dziewczęta w takich sytuacjach.

Po drugim śniadaniu zjedzonym na tarasie (były tam pieczone ptaki na zimno, pasztet myśliwski, wino, chleb i ser) król Luna zmarszczył brwi, westchnął ciężko i powiedział:

- Hej-ho! Moi przyjaciele, niestety mamy jeszcze jedną rzecz na głowie. Mamy tę żalostną kreaturę, Rabadasza. Trzeba się zastanowić, co z nim zrobić.

Łucja siedziała po prawej ręce króla, a Arawis po lewej. Król Edmund i baron Darin siedzieli naprzeciw siebie u dwu szczytów stołu, a Dar, Peridan, Kor i Korin po tej samej stronie co król Luna.

- Wasza królewska mość ma święte prawo ściąć mu głowę - rzekł Peridan. - Napaść, jakiej się dopuścił, stawia go w jednym rzędzie z mordercami.

- To bezsporna prawda - powiedział Edmund. - Ale nawet zdrajca może się poprawić. Znam jednego, któremu się to udało. - I zamyślił się głęboko.

- Zabijając tego Rabadasza, musielibyśmy się liczyć z wypowiedzeniem wojny przez Tisroka - zauważył Darin.

- Nic nam nie może zrobić - rzekł król. - Jego siła polega na liczebności armii, a liczna armia nigdy nie będzie w stanie przekroczyć pustyni. Ale nie mam serca do zabijania z zimną krwią (nawet zdrajców). Złamać mu kark w bitwie... o, to co innego, tu by się moje serce bynajmniej nie buntowało, ale to całkiem inna sprawa.

- Jeśli o mnie chodzi - powiedziała Łucja - to radziłabym waszej królewskiej mości dać mu jeszcze jedną szansę. Niech wraca do Kalormenu, jeśli tylko przyrzeknie, że już nigdy nie będzie próbował takich sztuczek w przyszłości. Może dotrzyma słowa.

- Może. Może małpy zaczną być uczciwe - powiedział Edmund. - Ale, na grzywę Lwa, jeśli złamie słowo, to z pewnością stanie się to w takim czasie i w takim miejscu, że każdy z nas będzie mógł rozplatać mu głowę w uczciwej, otwartej walce.

- Możemy spróbować - zdecydował król i od razu zwrócił się do jednego z usługujących im dworzan: - Poślij po więźnia, przyjacielu.

Przyprowadzono przed nich Rabadasza skutego w łańcuchy. Spojrzawszy na niego, można było pomyśleć, że spędził noc w jakiejś zatęchłej norze bez jedzenia i picia. W rzeczywistości był zamknięty w całkiem wygodnym pokoju, do którego

dostarczono mu wyśmienitą kolację. Był jednak zbyt rozwścieczony, by tknąć jadła, i całą noc spędził, tłukąc się po komnacie, rycząc ze złości i przeklinając. Nic więc dziwnego, że nie wyglądał najlepiej.

- Nie trzeba chyba wyjaśniać waszej książęcej mości - powiedział król Luna - że zarówno na mocy umów między państwami, jak i mając na uwadze roztropną politykę, mamy tak oczywiste prawo do twojej głowy, jak tylko śmiertelnik może mieć wobec innego śmiertelnika. Niemniej, biorąc pod uwagę twoją młodość i wychowanie w kraju niewolników i tyranów, w trakcie którego z pewnością nie wpojono ci dobrych manier i dworskich obyczajów, postanowiliśmy puścić cię wolno na następujących warunkach: po pierwsze...

- Idź do diabła, barbarzyński psie! - zaklął Rabadasz. - Nie zamierzam nawet wysłuchać twoich warunków. Tfu! Pleciesz coś górnolotnie o wychowaniu i nie wiem o czym jeszcze. To bardzo łatwe pouczać człowieka w łańcuchach, ha! Każ zdjąć ze mnie te plugawe więzy, daj mi miecz i dopiero wtedy niech któryś z was spróbuje ze mną rozmawiać!

Prawie wszyscy zerwali się ze swoich miejsc, a Korin zawołał:

- Ojczy! Czy mogę go TRZASNAĆ? Błagam!

- Spokój! Wasze wysokości! Moi panowie! -zagrzmiał król. - Czyżby brakowało nam powagi, by zwracać uwagę na błazeńskie wyczyny jakiegoś pajaca! Usiądź, Korinie, albo opuścisz komnatę. Zwracam się raz jeszcze do waszej książęcej mości: proszę wysłuchać naszych warunków.

- Nie słucham żadnych warunków stawianych przez barbarzyńców i czarnoksiężników - odpowiedział hardo Rabadasz. - Żaden z was nie ośmieli się tknąć choćby jednego włosa z mojej głowy. Każda zniewaga mojej osoby będzie kosztowała morze narnijskiej i archenlandzkiej krwi. Straszna będzie pomsta Tisroka, a już teraz na nią zasłużyliście. Ale spróbujcie mnie zabić, a opowieści o stosach i torturach w tych północnych krajach jeszcze za tysiąc lat będą budziły zgrozę na całym świecie. Strzeżcie się! Strzeżcie! Strzeżcie! Piorun Tasza spada z wysoka!

- A czy nigdy nie zawadził o hak w połowie drogi? - zapytał Korin.

- Wstydź się, Korinie - rzekł król. - Nigdy nie szydź z człowieka, chyba że jest od ciebie silniejszy. Wtedy - wolna droga!

- Och, ty głupi Rabadaszu... - westchnęła Łucja.

W następnej chwili Kor zdumiał się, nie wiedząc, dlaczego wszyscy nagle powstali i zamarli w głębokiej ciszy. Na wszelki wypadek zrobił to samo. I wtedy

zobaczył dlaczego. Aslan był pośród nich, choć nikt nie widział, kiedy wszedł. Rabadasz wzdrygnął się, gdy olbrzymie cielsko Lwa stanęło między nim a jego oskarżycielami.

- Rabadaszu - powiedział Aslan - bądź ostrożny. Twoja zguba jest blisko, ale wciąż jeszcze możesz jej uniknąć. Zapomnij o swojej dumie (z czego właściwie jesteś dumny?) i o swoim gniewie (kto cię skrzywdził?) i przyjmij łaskę tych szlachetnych królów.

Rabadasz wytrzeszczył oczy, wyszczerzył zęby w strasznym, złowrogim grymasie rekina i poruszył kilka razy uszami w górę i w dół (każdy może się tego nauczyć, jeśli tylko jest uparty). To zawsze odnosiło skutek w Kalormenie. Najdzielniejsi z dzielnych trzęśli się jak osiki, gdy zaczynał robić te miny, zwykli ludzie padali na ziemię, a bardziej wrażliwi często mdleli. Ale Rabadasz nie zdawał sobie sprawy, że bardzo łatwo było przestraszyć ludzi, którzy wiedzieli, że może kazać ich natychmiast ugotować żywcem. W Archenlandii jego grymasy nie robiły na nikim wrażenia. Tylko Łucja pomyślała, że zrobiło mu się po prostu niedobrze.

- Demon! Demon! Demon! - wrzasnął książę. - Wiem, kim jesteś. Jesteś tym odrażającym narnijskim diabłem. Jesteś wrogiem bogów. Dowiedz się, kim JA jestem, okropna zjawo. Jestem potomkiem Tasza... Tasza niezwykłego i nieubłaganego. Niech cię dosięgnie jego przekleństwo! Pioruny w postaci skorpionów spadną na ciebie jak deszcz. Góry Narnii zostaną zrównane z ziemią. Wszystkie...

- Miej się na baczności, Rabadaszu - powiedział spokojnie Aslan. - Twoja zguba jest coraz bliżej, już jest u drzwi, już naciska kłamkę.

- Niech niebo runie! - wrzeszczał Rabadasz. - Niech się ziemia rozstąpi! Niech krew i ogień pochłoną świat! Bądź jednak pewien, że nigdy, nigdy nie ustąpię, dopóki nie zaciągnę za włosy do mojego pałacu tej barbarzyńskiej królowej, tej córki psów, tej...

- Godzina wybiła - rzekł Aslan. I Rabadasz ku swojemu zdumieniu spostrzegł, że wszyscy zaczęli się śmiać.

Nie mogli się powstrzymać. Rabadasz poruszał przez cały czas uszami i gdy tylko Aslan powiedział „Godzina wybiła”, z jego uszami zaczęło się robić coś dziwnego. Wydłużyły się, aż urosły wysoko ponad głowę, a na dodatek pokryły się gęstym, szarym puszkim. I kiedy wszyscy zastanawiali się, gdzie już widzieli takie uszy, zaczęła się zmieniać również i twarz Rabadasza. Wydłużyła się, rozszerzyła u góry, oczy zrobiły się większe, nos zapadł się (albo raczej twarz stała się jednym

wielkim nosem), a wszystko pokryły szare włoski.

A potem zaczęły mu rosnać ręce, a kiedy oparły się o podłogę, dłonie zmieniły się w kopyta. Stał teraz na czterech nogach, ubranie gdzieś znikło i wszyscy śmiali się coraz głośniej i głośniej (nikt nie mógł się powstrzymać): nie ulegało wątpliwości, że to, co jeszcze przed chwilą było Rabadaszem, zamieniło się po prostu w osła. A okropne było również i to, że ludzką mowę pozostawiono mu nieco dłużej niż ludzkie kształty, kiedy więc pojął, w co go zamieniono, zaskomlał:

- Och, tylko nie osioł! Łaski! Choćby to był nawet koń... nawet koń... na-a-ae-e-k-o-o-o-u-u-i-uuuu! - Słowa utonęły w oślim ryku.

- A teraz posłuchaj mnie, Rabadaszu - powiedział Aslan. - Sprawiedliwość zostanie połączona z łaską. Nie będziesz osłem na zawsze.

Na te słowa osioł postawił uszy, a to także było śmieszne, więc wszyscy ryknęli jeszcze większym śmiechem, na próżno starając się powstrzymać.

- Wzywaleś Tasza - rzekł Aslan - i w świątyni Tasza zostaniesz uzdrowiony. Musisz stanąć przed ołtarzem Tasza w Taszbaanie podczas wielkiego Święta Jesieni tego roku i wówczas, wobec całego miasta, ośle kształty z ciebie opadną i wszyscy poznają w tobie księcia Rabadasza. Lecz dopóki będziesz żył, pamiętaj: gdy tylko oddalisz się więcej niż dwadzieścia mil od wielkiej świątyni w Taszbaanie, natychmiast zamienisz się z powrotem w osła. Lecz z tej drugiej zmiany nie będzie już więcej powrotu do ludzkich kształtów.

Zapanowała krótka cisza, a potem wszyscy otrząsnęli się i spojrzeli po sobie, jakby się obudzili ze snu. Aslan zniknął. Była jednak jakaś dziwna jasność w powietrzu i na trawie, a ich serca przepełniała taka radość, że wszyscy mieli pewność, że nie mógł to być sen. A zresztą - stał przed nimi osioł. Król Luna miał miękkie serce i widząc swego wroga w tak żalonym stanie, zapomniał o gniewie.

- Wasza książęca mość - powiedział - jest mi naprawdę bardzo przykro, że doszło do takiej ostateczności. Wasza Wysokość może zaświadczyć, że nikt z nas nie jest za to odpowiedzialny. Jest oczywiste, że będzie nam przyjemnie wyprawić waszą wysokość statkiem do Taszbaanu na... eee... kurację, którą Aslan zalecił. Stworzymy najlepsze warunki, na jakie pozwala sytuacja waszej wysokości: wybierzemy najlepszy statek do przewożenia bydła, postaramy się o świeżutkie marchewki i wyborowy oset...

Ale ogłuszający ryk osła i dobrze wycelowane kopnięcia, jakim poczęstował jednego ze strażników, były oczywistym sygnałem, że uprzejme słowa króla nie zostały mile przyjęte.

I na tym zakończę już historię Rabadasza. We właściwym czasie odesłano go statkiem do Taszbaanu i zaprowadzono do świątyni Tasza podczas Święta Jesieni; w ten sposób stał się znowu człowiekiem. Widziało to cztery lub pięć tysięcy ludzi i owa przemiana, a także wszystkie okoliczności całej sprawy nie dały się wyciszyć. Kiedy po śmierci starego władcy Kalormenu Rabadasz został nowym Tisrokiem, stał się najbardziej pokojowym królem w dziejach Kalormenu. Przyczyna była dość prosta: nie ośmielając się oddalić od Taszbaanu dalej niż na dziesięć mil, nigdy nie mógł sam pójść na wojnę, a nie chciał, by Tarkaanowie zdobyli sławę jego kosztem, gdyż w ten właśnie sposób Tisrokowie już nieraz tracili tron. Tak czy owak, choć powodem było jego samolubstwo i żądza władzy, odtąd wszystkie mniejsze kraje wokół Kalormenu odetchnęły i rozwijały się w spokoju. Podczas jego panowania nazywano go oficjalnie Rabadaszem Spokojnym, ale po jego śmierci - a i przedtem za jego plecami - nazywano go Rabadaszem Śmiesznym i jeśli chcecie go znaleźć w jakiejś dobrej historii Kalormenu, musicie go szukać pod tym ostatnim przydomkiem. I po dziś dzień, kiedy w kalormeńskiej szkole ktoś zrobi coś wyjątkowo głupiego, przezywany jest „drugim Rabadaszem”.

Tymczasem w Anwardzie wszyscy byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy, zwłaszcza że tego wieczoru na łące przed zamkiem odbyła się wielka uczta z okazji zwycięstwa. Zapalono mnóstwo lampionów i ognisko, wino płynęło z beczek strumieniami, snuto przedziwne opowieści, strzelano dowcipami, aż w końcu zapadła cisza i na środek kręgu wyszedł królewski poeta z dwoma skrzypkami. Arawis i Kor westchnęli, oczekując okropnych nudów, bo jedyną poezją, jaką dotąd znali, były poematy kalormeńskie, a teraz już sami możecie je sobie wyobrazić. Ale gdy tylko rozległy się pierwsze dźwięki skrzypiec, poczuli, jakby ognie sztuczne wybuchły w ich głowach, a poeta zaśpiewał starą pieśń o Pięknym Olwinie: o tym, jak zwyciężył olbrzyma Pira i przemienił go w kamień (skąd właśnie wzięła się góra Pir - olbrzym miał dwie głowy), a potem zdobył rękę pani Liln. A kiedy pieśń się skończyła, pragnęli, by zaczęła się raz jeszcze. I chociaż Bri nie potrafił śpiewać, opowiedział za to o bitwie pod Zalindrehem. A Łucja opowiedziała jeszcze raz o starej szafie i o tym, jak ona, król Edmund, królowa Zuzanna i Wielki Król Piotr po raz pierwszy przybyli do Narnii. Wszyscy, oprócz Arawis i Kora, słyszeli już tę opowieść wiele razy, ale zawsze chcieli wysłuchać jej raz jeszcze.

Aż nadszedł czas, a przecież musiał on nadejść wcześniej czy później, kiedy król Luna oznajmił, że o tej porze młodzi ludzie powinni już leżeć w łóżkach.

- A jutro, Korze - dodał - oprowadzę cię po całym zamku, pokażę wszystkie umocnienia, wszystkie jego mocne i słabe miejsca, bo tobie przypadnie czuwać nad wszystkim, gdy mnie zabraknie.

- Ale przecież to Korin będzie wówczas królem, ojczy - rzekł Kor.

- Nie, młodzieńcze - powiedział król Luna. - Ty jesteś moim dziedzicem. Korona przypadnie tobie.

- Ale ja nie chcę... Wolałbym raczej...

- Nie jest ważne, czy tego chcesz, czy nie. Takie jest prawo.

- Ale przecież jako bliźniacy jesteśmy w tym samym wieku!

- Nie! - odparł król ze śmiechem. - Ktoś musi zawsze przyjść pierwszy na świat. Jesteś starszy od Korina o całe dwadzieścia minut. No, mam nadzieję, że jesteś od niego mądrzejszy, a nie jest to w końcu takie trudne. - I spojrzał na Korina z błyskiem w oczach.

- Ależ ojczy, czy nie możesz uczynić swym następcą tego, kogo zechcesz?

- Nie. Król podlega prawu, bo to prawo czyni go królem. Tak jak wartownikowi nie wolno opuścić wyznaczonego mu posterunku, tak i ty nie możesz wyrzec się korony.

- Och, Korinie - zwrócił się Kor do swego brata - naprawdę wcale tego nie chcę. I posłuchaj... jest mi naprawdę strasznie przykro. Nigdy nawet mi się nie śniło, że moim przeznaczeniem będzie odebranie ci królestwa.

- Hurra! Hurra! - zawołał Korin. - Nie będę musiał być królem! Nie będę musiał być królem! Zawsze będę księciem! Książę zawsze ma najlepiej.

- I jest to prawdziwsze, niż twemu bratu się wydaje, Korze - powiedział król Luna. - Bo oto, co znaczy być królem: trzeba być pierwszym w każdym rozpaczliwym ataku i ostatnim w każdym rozpaczliwym odwrocie; a kiedy w kraju nastanie głód (jak to się raz po raz zdarza w złych latach), trzeba nosić piękniejsze stroje i śmiać się głośniej, ale jeść mniej niż jakikolwiek z twoich poddanych.

Kiedy obaj chłopcy poszli na górę do sypialni, Kor jeszcze raz zapytał Korina, czy nie można na to nic poradzić. A Korin powiedział:

- Jeżeli jeszcze raz o tym wspomnisz, to... to znajdziesz się na podłodze.

Byłoby miło zakończyć tę opowieść, mówiąc, że od tego czasu dwaj bracia nigdy już o nic się nie spierali, ale obawiam się, że nie byłoby to zgodne z prawdą. W rzeczywistości kłócili się i bili ze sobą tak często, jak wszyscy inni bracia w ich wieku, a większość tych bójek kończyła się (jeśli nie zaczynała) tym, że Kor leżał na ziemi. Bo

choć później, kiedy obaj dorośli i zostali pasowani na rycerzy, Kor stał się najgroźniejszym przeciwnikiem w bitwie, to ani on, ani nikt inny w Północnych Krajach nie mógł się równać z Korinem w walce na pięści. Dlatego właśnie zdobył przydomek „Korin Piorunoręki”, zwłaszcza gdy udało mu się poskromić niedźwiedzia Odstępcę z Burzystego Wierchu, który był mówiącym niedźwiedziem, ale z nieznanых powodów powrócił do zwyczajów dzikich, niemych niedźwiedzi. Pewnego zimowego dnia, kiedy śnieg leżał już na stokach gór, Korin wspinał się do jego legowiska na narnijskim zboczu Burzystego i walczył z nim na pięści przez trzydzieści trzy rundy bez gongu i bez mierzenia czasu. W końcu niedźwiedź poddał się, bo przestał już cokolwiek widzieć, i zgodził się naprawić swój spaczony charakter. Arawis też dość często kłóciła się (i chyba nawet biła) z Korem, ale zawsze w końcu się godzili, tak że po latach, kiedy oboje dorośli, tak byli przyzwyczajeni do swoich sprzeczek i pogodzeń, że wzięli ślub, aby było wygodniej. Po śmierci króla Luny Kor został królem, a Arawis królową Archenlandii. Wszyscy poddani darzyli ich szacunkiem i miłością. Ich syn, Ram Wielki, był najśłynniejszym ze wszystkich królów Archenlandii. Bri i Hwin dożyli szczęśliwie długich lat w Narnii, każde znalazło sobie towarzysza życia. I nie było wiele takich miesięcy, w których jedno lub drugie, albo oboje razem, nie przebiegaliby truchtem przez przełęcz, aby odwiedzić swych przyjaciół w Anwardzie.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział 1	JAK SZASTA WYRUSZYŁ W PODRÓŻ.....
Rozdział 2	PRZYGODA W DRODZE.....
Rozdział 3	U BRAM TASZBAANU.....
Rozdział 4	SZASTA SPOTYKA NARNIJCZYKÓW.....
Rozdział 5	KSIĄŻĘ KORIN.....
Rozdział 6	SZASTA WSROD GROBOWCÓW.....
Rozdział 7	KSIEŻNICZKA ARAWIS W TASZBAANIE.....
Rozdział 8	TAJNA NARADA.....
Rozdział 9	PRZEZ PUSTYNIĘ.....
Rozdział 10	PUSTELNIK POŁUDNIOWYCH KRESÓW.....
Rozdział 11	NIEPROSZONY TOWARZYSZ WĘDRÓWKI.....
Rozdział 12	SZASTA W NARNII.....
Rozdział 13	OBŁĘŻENIE ANWARDU.....
Rozdział 14	JAK BRI STAŁ SIĘ MĄDRZEJSZYM KONIEM.....
Rozdział 15	RABADASZ ŚMIESZNY.....